

Varsovie BN

DLP IMP D 1-8-80030308

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/390**

**1980**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

BRUKSELCZYK :

**WIDZIANE Z BRUKSELI I Z BELGRADU**

J. KUŚMIEREK : **O HANDLU Z ROSJĄ**

A. KRUCZEK : **W SOWIECKIEJ PRASIE**

CZ. MIŁOSZ : **BYŁ RAZ...**

## SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Observatorium</i> .....	3
I. M. Bocheński, OP:	<i>Autorytety kościelne a sprawa ks. Künga</i> .....	7
Kamila Chylińska:	<i>O socjalizmie demokratycznym (I)</i> ..	11
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli i z Belgradu</i> ..	22
M. Broński:	<i>Afganistan: kraj, ludzie, historia</i> ....	31
Zbigniew Byrski:	<i>Czy metamorfoza Cartera?</i> .....	38
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	45
K R A J		
Józef Kuśmierek:	<i>O handlu z Rosją</i> .....	51
S A S I E D Z I		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	65
Benedykt Heydenkorn:	<i>Centralna organizacja ukraińska na Zachodzie</i> .....	72
Pavel Tigrid:	<i>Jak pomagać dysydemtom?</i> .....	76
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	81
WOLNA TRYBUNA		
Andrzej Korboński:	<i>Waszyngton, Moskwa, czyli kosmate myśli świeżo upieczonego Amerykanina</i> .....	84
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel - Stefan Kisielewski:	<i>O podwójnym myśleniu i działaniu</i> ..	102
CI, CO ODESZLI		
Czesław Miłosz:	<i>Był raz...</i> .....	107
K S I A Ź K I		
Pierre Emmanuel:	<i>Wiersze Karola Wojtyły po francusku</i>	118
Zdzisław Bau:	<i>Kissinger i jego pamiętnikarstwo</i> ....	121
—	<i>Zapowiedzi wydawnicze na rok 1980</i>	129
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	131
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	132
◆		
R. Glücksmann-Kobryńska, B. Heydenkorn, W. Iwaniuk, T. Karpiński, O. Lashchenko, J. Łobodowski, W. Nowik, Wł. Odojewski, Wł. S. Poncet, List z Kraju:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	140
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	149
—	<i>Sprostowanie</i> .....	149
DOKUMENTY		
—	<i>Apel Chrześcijan Przedstawicieli Europy Wschodniej w Rzymie</i> .....	150
—	<i>List z Wrocławia do A. Sacharowa</i> ..	151
KSS „KOR”:	<i>Oświadczenie w sprawie Sacharowa</i> ..	151
ROPCiO:	<i>Oświadczenie w sprawie Sacharowa</i> ..	152
Jacek Kuroń:	<i>Oświadczenie</i> .....	152
Komitet Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu:	<i>Pismo do Rady Państwa w sprawie zmian w prawie wyborczym</i> ....	153
—	<i>Oświadczenie w rocznicę wypadków na Wybrzeżu</i> .....	154

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ — Marzec - Mars 1980

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

N. C. Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz 11-ty — \$25,00 .....	F. 100,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz 15-ty — \$25,00 .....	F. 100,00
Marian J. Blachaczek, Chicago, Ill. (USA), po raz 6-ty — \$ 6,50	F. 26,00
Inż. G. M. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 13-ty ..	F. 135,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 23-ci — \$ 38,00 .....	F. 152,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 45-ty — \$ 53,17	F. 212,60
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), zamiast kart z życzeniami świątecznymi i noworocznymi dla Przyjaciół — \$ 153,25	F. 613,00
Manfred Dąbrowski, Audincourt (Francja), po raz 4-ty .....	F. 30,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz 9-ty — \$ 14,00	F. 56,00
Juliusz Dżianott, Rosario (Argentyna), po raz 4-ty — \$ 26,00	F. 104,00
Józef Eichelkraut, Alger, Minn. (USA) — dla uczczenia pamięci Mieczysława Kościucha — \$ 2,00 .....	F. 8,00
Wiktoria Felis, Chicago, Ill. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00 .....	F. 32,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 4-ty — \$ c. 10,00	F. 35,00
Stefan J. Ginilewicz, Brownsville, Tx. (USA), po raz 5-ty — \$ 20,00 .....	F. 80,00
Dr Jerzy Gintel, Caracas, po raz 19-ty .....	F. 70,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz 17-ty .....	F. 150,00
Leon Grobelny, Dearborn, Mich. (USA) — \$ 8,00 .....	F. 32,00
Marek Hurwic, Paryż, po raz 12-ty .....	F. 100,00
Wacław H. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz 19-ty — \$ 15,00 .....	F. 60,00
Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 4-ty — \$ 10,00	F. 40,00
Rita Kłoszewska, Los Angeles, Ca. (USA) w imieniu swoim i Anny Giermek-Briscoe — zamiast kwiatów na trumnę śp. Józefa Zbigniewa Kliszewskiego — \$ 20,00 .....	F. 80,00
Henryk Komez, Trondheim (Norwegia), po raz 5-ty .....	F. 20,00
Halina Kościuch, Detroit, Mich. (USA) — dla uczczenia pamięci Syna Henryka i Męża Mieczysława — \$ 25,00 ..	F. 100,00
Inż. M. Lawina, Dubendorf (Szwajcaria), po raz 5-ty — Fs. 30,00 .....	F. 75,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria) .....	F. 100,00
Jacek Macierewicz, Calgary, Alta (Kanada) — \$ c. 19,00 .....	F. 66,50
Tadeusz Maczyński, Chicago, Ill. (USA), po raz 4-ty — \$ 45,00	F. 180,00
Ewa i Boyden Marison, Arlington, Va. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Hilarego Krzysztofiaka — zgodnie z życzeniem Jego żony, Krystyny — \$ 40,00 .....	F. 160,00
Dr I. S. Matthews, Logan, Ohio (USA) — \$ 20,00 .....	F. 80,00
Wilhelm Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz 8-my — \$ 8,00 .....	F. 32,00
Jan F. Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz 8-my — \$ 25,00	F. 100,00
Stefan Nedzyński, Genewa, po raz 9-ty — Fs. 100,00 .....	F. 250,00
N.N. z Afryki .....	F. 10,00
Michael S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz 8-my — \$ 25,00	F. 100,00
Anna i Jarosław Paszyńscy, Buena Park, Cal. (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00 .....	F. 32,00
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz 7-my .....	F. 90,00
T. Piotrowski (Szwecja) .....	F. 40,00
J. J. Piórkowski, New York, N.Y., po raz 16-ty — \$ 10,00 ..	F. 40,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 157)

## Obserwatorium

### KRAJ SACHAROWA I ŚWIAT

Niżnyj Nowgorod przemianowano w roku 1932 na Gorki jako miejsce urodzenia barda rewolucji, ojca „realizmu socjalistycznego”, świętego patrona posłusznej władzom inteligencji sowieckiej. Nie jest wykluczone, choć nie mamy co do tego pewnością, że w motywacji przemianowania wspomniano także o zesłaniu Gorkiego do jego miasta rodzinnego w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia za ostre wystąpienia przeciw caratowi w piśmie i mowie. Jeśli kiedyś, w przyszłej posowieckiej Rosji, podjęty będzie proceder przemianowywania miast, Niżnyj Nowgorod otrzyma nazwę Sacharow. W hotelu naprzeciw komisariatu policji, pod jej stałą obserwacją i z obowiązkiem meldowania się raz na tydzień, w praktyce bez prawa przyjmowania gości i z zablokowanym telefonem, odbywa swoje zesłanie wybitny uczyony, laureat nagrody pokojowej Nobla, przywódca duchowy opozycji w ZSSR, opiekun prześladowanych i uwięzionych, światowy symbol walki o poszanowanie praw człowieka. Pozbawiono go wszystkich godności i odznaczeń. Jednego tylko tytułu nie zdano mu — chwilowo przynajmniej — odebrać, tytułu członka Akademii Nauk. Ale nie łudźmy się: gdyby Akademia Nauk nie była jedyną w ZSSR instytucją gdzie obowiązuje głosowanie tajne, Sacharow zostałby z niej usunięty przytłaczającą większością głosów jawnych.

Nasi czytelnicy znają książkę Sacharowa *Mój kraj i świat*, w przekładzie polskim Michała Kaniowskiego i z postłowiem Leszka Kołakowskiego. W postłowiu Kołakowskiego trzy szczególnie akcenty zasługują dziś, w obliczu zesłania Sacharowa, na pod-

kreślenie. Kołakowski słusznie widział ośrodek książki Sacharowa w stwierdzeniu, że (jak to ujmuje posłowie) „ustrój Związku Sowieckiego nie jest sprawą wewnętrzną tego kraju, którą można by spokojnie powierzyć rozmyśleniom jego mieszkańców, ale jednym z fundamentalnych wyznaczników sytuacji światowej”. Słusznie też pisał dalej: „Ustrój sowiecki nie jest sprawą wewnętrzną tego kraju w innym jeszcze znaczeniu, o którym mówi Sacharow, w tym mianowicie, że system rządzenia jest wprost i najoczywściej przyczynowo związany z sowiecką ekspansją imperialną, a ekspansja ta może w pewnych warunkach stać się — bez względu na obecne intencje przywódców — zapalnikiem globalnej wojny, ruiny cywilizacji i może zagłady ludzkości”. Miał wreszcie rację Kołakowski, porównując przyznanie Sacharowowi pokojowej nagrody Nobla z inną nagrodą pokojową Nobla: tą, którą w roku 1936 dostał Karl von Ossietzky, oczekujący wtedy śmierci w hitlerowskim więzieniu.

Ossietzky - Sacharow; Igrzyska Olimpijskie w Berlinie - Igrzyska Olimpijskie w Moskwie; *Anschluss* Austrii i hitlerowski najazd Czechosłowacji - sowiecki najazd Afganistanu; cień Monachium - cień „finlandyzacji” Zachodniej Europy... Analogie historyczne są często zawodne, ale w tym wypadku chodzi o coś więcej: o dwa pokrewne ustroje w akcji. Czy ustrój sowiecki w akcji napotka na swej drodze więcej przeszkód, niż ustrój hitlerowski w akcji przed wybuchem drugiej wojny światowej?

Aresztowanie i zesłanie Sacharowa wywołało na świecie falę oburzenia i protestów. Nawet ślepy prawie Sartre (żeby posłużyć się jednym tylko, wymownym za to przykładem) dostrzegł, że Związek Sowiecki „zabrudził sobie ręce” (widocznie dotąd czyste) inwazją Afganistanu i represjami wobec Sacharowa za jej napiętnowanie. Na planie politycznym otrzeźwiał, albo został otrzeźwiony, Carter u progu prezydenckiej kampanii wyborczej. I on, wytracony brutalnie ze słodkiej wiary w uniwersalną moc kazań niedzielnych, zdaje się w końcu widzieć *iunctim* między Afganistanem i Sacharowem, między ustrojem sowieckim i losami świata. O czym świadczy fakt, że od zbożnych dumań o „odprężeniu” przeszedł przynajmniej do zbożnej repliki z „arsenału zimnej wojny”. Twierdzi się, w niektórych pesymistycznych komentarzach prasowych, że to paliatyw. I że paliatywem jest — wobec głosu działań w Afganistanie, wobec zgrzytu gąsienic czołgów na granicy afgańsko-pakistańskiej i na granicy afgańsko-irańskiej, wobec „zagadkowych” manewrów i ruchów wojsk w krajach bloku sąsiadujących z Jugosławią — zapowiedziany bojkot Olimpiady w Moskwie. Zapewne, jest paliatywem. Ale paliatywem, od którego może zacząć się zmiana strusiego stosunku świata do kraju Sacharowa. Jeżeli ten bojkot okaże się połowiczny,

i jeżeli równocześnie świat dołoży wszelkich starań by został szybko zapomniany zesłaniec w mieście Gorkij, widoki na oparcie się ekspansji imperialnej ZSSR staną pod groźnym znakiem zapytania.

Alain Besançon powtarza od dawna, że polityka sowiecka jest czymś w rodzaju nieustannego wahadła między Nepem i komunizmem wojennym. Lepiej może formułuje podobną myśl Pierre Hassner, twierdząc że problemem dla ZSSR jest nie tyle wybór między ofensywą i defensywą, między wojowniczością i odprężeniem, ile połączenie i „zgranie” obu tych elementów. Przywódcy sowieccy, z przyczyn nieodłącznych od ustroju ZSSR, nie mogą chcieć ani wojny ani rzeczywistego odprężenia. W tej polityce *ni wojna, ni mir* oskarżanie Zachodu o dążenie do „zimnej wojny” jest w ustach sowieckich takim samym szantażem słów, jak sowiecka i w ogóle komunistyczna zabawa w wystawianie lub odmawianie innym patentów „postępowości”. „Kto jest a kto nie jest Żydem, decyduje ja” — miał powiedzieć Hitler, gdy mu zwrócono uwagę na „nieczyste” pochodzenia marszałka lotnictwa Milcha. Co jest a co nie jest „zimnowojenne”, kto jest a kto nie jest „postępowy”, decyduje się na Kremlu. „Zimnowojenne” więc, sprzeczne z „duchem postępu”, są dla Moskwy postulat przestrzegania aktu końcowego Helsinek i „trzeciego koszyka” oraz domaganie się cofnięcia deportacji Sacharowa i zwolnienia z więzień i łagrów wszystkich, których skazano z powodów religijnych, narodowościowych lub politycznych.

Nasze polskie możliwości uczestnictwa w tej rzekomej „zimnej wojnie” są skromne, ale obowiązkiem każdego z nas jest włączyć się do działania. Kiedy mówimy o naszych polskich możliwościach, mamy naturalnie na myśli Polaków na Zachodzie; formy udziału ruchów niepodległościowych i wolnościowych w kraju zależą oczywiście od nich samych. *Kultura* zatem występuje z apelem najbardziej elementarnym, ufając że trafi on do przekonania zarówno starym jak i nowym emigrantom; i że będzie zarazem okazją do usunięcia nieporozumień między jednymi i drugimi w tak dramatycznym momencie sytuacji światowej.

Wzywamy licznych uczonych polskich, czy pochodzenia polskiego, do zmanifestowania swej solidarności z Sacharowem, i przyłączenia się do presji na władze ZSSR, przez zerwanie kontaktów z uczonymi sowieckimi i z sowieckimi instytucjami naukowymi; do bojkotu zjazdów, sympozjów i kollokwium naukowych, na których przewidywana jest obecność uczonych sowieckich. To stanowisko winno być wyjaśnione, uzasadnione

i propagowane w odpowiednich deklaracjach zbiorowych na macierzystych uczelniach.

Apelujemy, by wysłać depesze czy listy solidaryzujące się z Sacharowem na adres: Andrej Sacharow, Gorki, ul. Szczerbinka 2, ZSSR. Tego rodzaju masowa akcja będzie niewątpliwie dla niego moralnym podtrzymaniem.

Wzywamy ogół Polaków na Zachodzie do rezygnacji z wyjazdów turystycznych na ewentualne Igrzyska Olimpijskie w Moskwie, oraz do propagowania w swoich środowiskach bojkotu ewentualnej okrojonej Olimpiady moskiewskiej.

Specjalne zadania i obowiązki spadają na Amerykanów polskiego pochodzenia i na organizacje polonijne. Powinny one wywierać stały nacisk, przez wysyłanie *masowych* listów i petycji do prezydenta USA i do członków Kongresu i Senatu, by:

— stworzono i wyposażono w należyte środki Instytut Obrony Praw Człowieka, którego projekt nie przeszedł przez Izby Ustawodawcze w roku 1978;

— nastąpiła szybka i radykalna zmiana stosunku do radiostacji Wolna Europa/Swoboda przez: zwiększenie ich budżetu; budowę mocniejszych nadajników i w ogóle modernizację techniczną; ożywienie i usprawnienie skostniałych programów; zaniechanie małostkowej i pchłarskiej cenzury, uprawianej przez ludzi o nikłej lub żadnej orientacji w problematyce wschodnioeuropejskiej i sowieckiej; definitywne zaniechanie projektów przeniesienia obu radiostacji do Stanów Zjednoczonych; rozbudowę personelu redakcyjnego, ze szczególnym uwzględnieniem sowieckich republik muzułmańskich; zastąpienie, w kierownictwie amerykańskim, ludzi których posady są często synekurami, obciążającymi niepotrzebnie budżet, przez zespół w mniejszym może składzie lecz kompetentny naprawdę w sprawach bloku wschodniego; i na koniec — *last but not least* — przyśpieszenie prac nad wprowadzeniem w życie telewizji „satelitarnej” o zasięgu światowym.

Gdyby, mimo wszystko, miało dojść w Madrycie do ponownej „weryfikacji” Helsinek, organizacje polonijne wspólnie z pokrewnymi organizacjami innych narodowości powinny wymóc włączenie do delegacji amerykańskiej przedstawicieli wschodnioeuropejskich grup etnicznych.

Nic w tym apelu nie wykracza, naszym zdaniem, poza rzeczy i konkretne i realne.

30 stycznia 1980

REDAKCJA

## Autorytety kościelne a sprawa ks. Künga

Istnieją dwa rodzaje autorytetu, które nazywam „epistemicznym” i „deontycznym”<sup>1</sup>. Pierwszy przysługuje temu, kto wie więcej. Tak na przykład znakomity logik amerykański, prof. Quine, jest dla mnie autorytetem w logice, a rzeczoznawca sądowny dla sędziego autorytetem w swojej nauce. Cechą epistemicznego autorytetu jest po pierwsze, że odnosi się do *zdań*, po drugie, że prawdopodobieństwo zdań, które podaje, wzrasta w stosunku do poprzedniej wiedzy podmiotu. Natomiast autorytet deontyczny należy do kierownika, dowódcy, przełożonego. Posiada go więc, na przykład, matka w rodzinie, kapitan statku w stosunku do swej załogi, lekarz-szef w oddziale szpitalnym. Autorytet deontyczny nie podaje zdań, ale *zlecenia*, nakazy itp. Kto uznaje jakiś autorytet deontyczny uważa tym samym, że powinien wykonywać jego zlecenia i to nawet wtedy, gdy są one jego zdaniem nietrafne, złe. Tak marynarze wykonują rozkazy kapitana statku, a żołnierze rozkazy swojego dowódcy, nawet gdy im się wydaje, że one nie są celowe. Jest tak dlatego, że uznający autorytet deontyczny jest zdania, że jakiś ważny dla niego cel (uratowanie statku, zwycięstwo itp.) nie może być osiągnięty bez dyscypliny. Wynika z tego, że autorytet deontyczny niekoniecznie łączy się z epistemicznym, choć, oczywiście, pożądanym jest by oba występowały razem.

Dla katolików wierzących Kościół jest autorytetem epistemicznym jeśli chodzi o ustalenie jakie zdania należą do wiary. Zarazem różni przełożeni duchowni są dla nich autorytetami deontycznymi w dziedzinie czynności religijnych.

1. Teorie dwóch rodzajów autorytetu sformułowałem po raz pierwszy w *Logic of Religion* (New York University Press, 1964). Istnieją przekłady na języki hiszpański, niemiecki i włoski. Te same myśli są systematycznie rozwinięte w „*Was ist Autorität?*” (Herder Bücherei, Freiburg i B., 1972). Istnieje przekład francuski (Ed. Universitaires, Fribourg) i hiszpański.

*Autorytet epistemiczny* posiadają w Kościele: (1) wierzący świata, moralnie zgodni w tym, że dane zdanie jest prawdą wiary, (2) biskupi-ordynariusze świata znowu moralnie zgodni w twierdzeniu, że tak jest, (3) sobór powszechny, gdy uroczyście oświadcza, że jakieś zdanie należy do wiary katolickiej, (4) papież czyniący to samo. Natomiast nikt inny takiego autorytetu w Kościele nie posiada, jeśli chodzi o ustalenie prawd wiary — w szczególności nie przysługuje on teologom.

Wynika z tego, że rola tych ostatnich jest odmienna od roli uczonych przyrodników. Aby to zrozumieć, wypada przypomnieć, że w każdej nauce znajdujemy dwa rodzaje zdań: podstawowe i te, które służą do wyjaśniania i porządkowania podstawowych. W naukach przyrodniczych zdaniami podstawowymi są tzw. zdania doświadczalne (czasem także „protokolarnymi” zwane); przyrodnik wyjaśnia je i porządkuje za pomocą hipotez, praw, teorii, które stwarza i uzasadnia na ich podstawie. Położenie jest takie samo w teologii katolickiej, z tą różnicą, że zdaniami podstawowymi są w niej nie zdania doświadczalne, ale prawdy wiary. Otóż podczas gdy uczony przyrodnik jest autorytetem w obu dziedzinach — gdy chodzi zarówno o ustalenie, które zdania są podstawowe jak o ich wyjaśnianie — do teologa katolickiego należy tylko ta ostatnia dziedzina: tworzenie i uzasadnianie hipotez itp. — a nie ustalanie prawd wiary, bo to czyni autorytet epistemiczny Kościoła. Teolog katolicki występuje w tym względzie najwyżej jako doradca papieża względnie biskupów, nie jako autorytet samodzielny (jakim jest gdy chodzi o wyjaśnianie i tworzenie teorii teologicznych). Jak widać z powyższego (1) teolog, który odrzuca choć jedno zdanie należące do wiary, nie jest teologiem katolickim, (2) przeciwstawianie autorytetu teologa autorytetowi epistemicznemu Kościoła jest w ramach wiary katolickiej logicznie niedopuszczalne (w protestantyzmie jest natomiast inaczej).

Jeśli chodzi o *autorytet deontyczny*, to przysługuje on każdemu przełożonemu duchownemu względem wspólnoty, której jest kierownikiem. Kiedy na przykład proboszcz postanawia, że wieczorne nabożeństwo ma być odprawiane o godzinie ósmej, a nie o siódmej — albo kiedy papież orzeka, że ruch księży-robotników jest niecelowy, mamy do czynienia z (prawidłowym) użyciem autorytetu deontycznego. Wypada z naciskiem podkreślić, że w wykonywaniu tego autorytetu nie chodzi o zdania, że więc nie może być mowy o żadnej prawdzie, nieomyślności itp. Autorytet deontyczny nie może więc (wbrew poglądom św. Ignacego Loyoli) nakazać teologowi, by uznał jakiegokolwiek zdanie za prawdziwe. Ale rozstrzygnięcie o tym, kto ma w imieniu Kościoła uczyć, należy niewątpliwie do dziedziny tego autorytetu.

Położenie w sprawie ks. Künga może być opisane w następujący sposób:

1. Ks. Küng głosił od dłuższego czasu poglądy, które na pierwszy rzut oka wydają się sprzeczne z pewnymi prawdami wiary

tak pojmowanymi, jak je rozumieją masy wierzących. Należą tu takie twierdzenia, jak że Chrystus nie jest Synem Bożym, że ani papież ani nawet Kościół nie jest nieomylny itp. Nie chodzi tu o to, jak sam ks. Küng te zdania rozumiał — pewne jest tylko, że w rozumieniu mas wierzących katolików są to zdania sprzeczne z wiarą, a więc heretyckie.

2. Ks. Küng nie tylko głosił bardzo kategorięcznie zdania sprzeczne z przyjętymi obecnie w praktyce Kościoła, jak np. w sprawie bezżeństwa duchownych — ale także zajmował wobec papieża postawę pouczającą. Pouczał go, i to nieraz w ostrych słowach, co powinien głosić i jak postępować. Otóż zajmowanie takiej postawy przez księdza jest nie tylko sprzeczne z dyscypliną kościelną i z zasadami katolickiej przyzwoitości. Jest także — i to jest dużo ważniejsze — wyrazem protestanckiego stanowiska. Bo w protestantyzmie właśnie teologowie zajmowali aż nadto często miejsce biskupów i papieży — stali się nauczycielami wiary. A to stanowisko jest sprzeczne z bardzo podstawowymi wierzeniami katolików.

3. Biskupi niemieccy wzywali od dłuższego czasu ks. Künga, by nie głosił tych zdań. Jeśli się nie mylę, starania te trwały około 10 lat. Wydaje mi się, że ks.ks. biskupi nie występowali wprost jako autorytet epistemiczny — ale odnosi się mimo wszystko wrażenie, że chodziło o sformułowanie popolitych wizerzeń mas katolickich.

4. Ostatnie orzeczenie Kongregacji Wiary, wydane po wieloletnim przewodzie (w toku którego ks. Küng był bezskutecznie zapraszany do rozmów), jest moim zdaniem także oświadczeniem autorytetu deontycznego. Kongregacja nakazuje usunięcie ks. Künga z nauczania teologii katolickiej. Co prawda powołuje się przy tym na wspomnianą już sprzeczność jego poglądów z wiarą, ale takie uzasadnienie nie jest sprawą istotną w zarządzeniu. Wystarczyłoby stwierdzenie, że Kongregacja uważa dalsze nauczanie teologii katolickiej przez ks. Künga za niecelowe.

Jakkolwiek by z tym było, niełatwo jest zrozumieć, jak wierzący katolik nie znający bliżej sprawy, może potępiać orzeczenie Kongregacji. Tym bardziej trudno jest uznać za poprawne postępowanie duchownych, którzy przy tej sposobności gwałtownie atakują papieża. A największe zdumienie wywołuje zachowanie się niektórych oo. Jezuitów, którzy, jak wszystkim wiadomo, składali szczególny ślub posłuszeństwa papieżowi.

Niech wolno będzie dodać informację i parę uwag, że tak powiem parafialnych, z polskiego punktu widzenia. Obecny papież jest Polakiem i jest nieraz atakowany jako taki. Mówi się (jak np. o Hotz, T.J. w telewizji szwajcarskiej), że on pochodzi „ze Wschodu”, z kraju dyktatury, i wyobraża sobie, że może rządzić Kościołem Powszechnym po dyktatorsku. Słowem dzi-

kus z dzikiego kraju, którego my, cywilizowani Europejczycy, nigdy nie uznamy. Ks. Maliński, który papieża bronił w tejże telewizji, powiedział rzeczy będące monumentem niezręczności. Mówił m.in. że Jan Paweł II nie jest teologiem, niczego u ks. Künga nie rozumiał, że nie jest przełożonym i nie rządzi. Są to, *salva reverentia*, zgoła niepoważne twierdzenia. A tyle jest tylko u ks. Malińskiego prawdy, że orzeczenie dotyczące ks. Künga nie jest dziełem samego obecnego papieża. Jak w wielu innych sprawach, Jan Paweł II poprowadził tutaj po prostu dalej dzieło swoich poprzedników.

Przy całej sympatii jaką mieć należy dla człowieka, którego spotkało nieszczęście, nasuwa się nieodparcie arabskie przysłowie o karawanie idącej wolno, prosto, swoją drogą, bez względu na odgłosy dochodzące z przydroży.

J. M. BOCHEŃSKI O.P.

## BBC - POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant for its Polish Section in London. Applicants with Polish as first or best language must have degree level education, a thorough knowledge of English, good microphone voice, journalistic experience an advantage.

For further details write within 14 days to:

**Recruitment Officer, BBC, Bush House, P.O. Box 76, Strand, London, WC2B 4PH.**

Enclose a self-addressed envelope for reply and quote reference 80.X.2.

## Kilka uwag o socjalizmie demokratycznym (I)

### I

Nie ma w tym nic dziwnego, że socjalizm demokratyczny, doznając dziś w kilku przynajmniej krajach Europy Zachodniej względnie szerokiej aprobaty, podlega równocześnie, także wśród własnych zwolenników, wyczułonej obserwacji krytycznej. Jest pojęciem na tyle otwartym, że łatwo stosunkowo gromadzi akcesy, a zarazem na tyle płynnym, że nieuchronnie budzi kontrolny sceptycyzm. Określany i samookreślający się w przeciwstawieniu do systemu, panującego w bloku sowieckim, nosi niemal w zarodku piętno definicji negatywnej: dobrze wiadomo czym być nie ma, znacznie gorzej czym miałby być, gdyby w pełniejszej niż dotąd postaci został gdziekolwiek zrealizowany.

Sądzę jednak, że przed tą właśnie grupą zarzutów nietrudno pojęcia tego bronić. Jakże nie sięgać do definicji negatywnych, odgraniczających, skoro w pewnych opiniach hipoteka socjalizmu realnego nie przestaje obciążać socjalizmu demokratycznego. Leży zatem w naturze rzeczy, że legitymuje się on wszystkimi swymi kategorycznymi sprzeciwami: wobec gwałtu i przemocy, wobec jakiegokolwiek innej formy walki politycznej niż demokracja parlamentarna, wobec niedelegowanej i niekontrolowanej władzy jedynej partii, wobec gospodarczego monopolu państwa, wobec cenzury myśli, słowa i twórczości. Zgódźmy się, że w warunkach ciężkiej hipoteki o sprzeciwach tych nigdy za wiele i nigdy za dobitnie.

Także płynność pojęcia nie zasługuje sama przez się na ocenę ujemną, jeśli przez płynność tę rozumieć zerwanie z dowolnością proroczą, ubieranych w maskę dziejowych konieczności, niby-

perspektyw, dziś już rzekomo przewidywalnych aż po drobne detale. Doświadczenie uzasadnia aż nadto ostrożność w stosunku do wszelkich tych remanentów, w stosunku do uściślającej nadgorliwości i szczegółowego programowania celów ostatecznych. Za podobne eksperymenty, praktykowane na żywym cieles społeczeństw, wiele już pokoleń zapłaciło cenę tak wysoką, że wizja kolejnej wersji piekła totalitarnego, usłanego chęciami... zbyt dokładnymi, staje się w naszych oczach jednym z notorycznych lęków współczesności.

Głosy przestrogi przed takim niebezpieczeństwem są kategoryczne. Atakują one przy tym nie tylko określone nurty myśli socjalistycznej, jak marksizm czy jego wątki pochodne, lecz rozprawiają się bezpośrednio lub pośrednio ze sztywnymi przyzwyczajeniami ludzkiego rozumu do odniesień ostatecznych, a nawet z rutyną ludzkiej tęsknoty do abstrakcyjnych celów finalnych. Powołać się tu należy na wszystko, co rozsupłał i obnażył w dziejach marksizmu Kołakowski, na twardą linię przyczynową, jaką przeciągnął od spustoszeń przeszłych do gróźb obecnych. Przypomnieć trzeba publicystykę Mieroszewskiego, który na łamach *Kultury* zawsze ujmował pojęcie socjalizmu dynamicznie, jako tendencję kierunkową, przestrzegając, iż uznanie go za twór kiedykolwiek skończony, zinstytucjonalizowany, skazuje go na obumarcie. Opór przeciw zakuwaniu procesów życia społecznego w nieelastyczne, ale za to dalekosiężne normatywy znajduje zresztą wyraz nawet w pewnych programach partyjnych. I tak np. przełomowy w jakimś sensie dla Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) Program Godesberski określa socjalizm demokratyczny jako zespół wciąż trwających zadań, nie zaś jako zaprogramowany w przewidywalnych kategoriach katalog celów ostatecznych. Günter Grass, poruszając się po tej samej orbicie i domagając się przy każdej okazji wiązania codziennej praktyki socjalizmu demokratycznego z podstawowymi wartościami ludzkimi, widzi wręcz w odejściu od idei celów ostatecznych jedną z takich wartości.

Otwartość i płynność, jak również cechy definicji negatywnej, zawarte w określeniu socjalizmu demokratycznego, uważać zatem trzeba za jego konieczne uzbrojenie, bez którego nie mógłby się ani bronić przed przeszłością, ani rozwijać w przyszłości. Znacznie trudniej natomiast poradzić sobie z wieloznacznością pojęcia w jego aktualnej postaci konkretnej. Kłopoty i zamieszanie nie stąd się biorą, iż wciskają się w to pojęcie treści różnorodne lub nawet między sobą sprzeczne — co byłoby wzbogaceniem — lecz stąd właśnie, że często są to treści werbalnie tożsame, a faktycznie rozbieżne. I choć mowa tu wyłącznie o Europie Zachodniej, niech równobrzmiące nazwy nie mylą

nikogo: Inaczej wyobrażają sobie socjalizm demokratyczny francuscy socjaliści, a inaczej niemieccy socjaldemokraci. Inne reguły kierują jego wersją szwedzką, inne zachowaniami labourystów angielskich czy programem socjalistów hiszpańskich. Gdy zważymy, że do wspólnoty pretenduje jeszcze eurokomunizm — chaos będzie całkowity. I nie chodzi tu tylko o podziały ról między władzą a opozycją. Pogląd socjalistów francuskich na zakres i tryb nacjonalizacji różni się zasadniczo od poglądów socjalistów hiszpańskich, choć jedni i drudzy znajdują się w opozycji. W rządzonej przez socjaldemokrację (wraz z partią liberalną FDP) Republice Federalnej Niemiec działania związków zawodowych są zgoła odmienne niż np. w Anglii, rządzonej do niedawna jeszcze przez labourystów. Wielopostaciowość ma więc źródła głębsze niż podział ról, i wielki tłok pod wspólnymi sztandarami dzisiaj nie musi chronić wcale przed rozpierzchnięciem się w przeciwnych kierunkach jutro. Słowem, gdy odejść od werbalizmu, socjalizm demokratyczny znaczy tak wiele, że bez odniesienia go do wariantów konkretnych nie znaczy prawie nic.

Wymienione tu przykładowo różnice zwykło się tłumaczyć różnicami historycznymi w rozwoju poszczególnych partii i ugrupowań. W ogłoszonej w roku 1978 wspólnej deklaracji socjalistycznych i socjaldemokratycznych partii krajów Wspólnoty Europejskiej czytamy m.in.:

„Partie nasze noszą w sobie różnorodne dziedzictwo historyczne. Działają one w krajach, w których rodzaje sporów społecznych, stopień otwartości w traktowaniu problemów społeczeństwa, warunki związków i sojuszków wewnątrz-politycznych wydatnie się między sobą różnią”.

Czyta się to bardzo pięknie, któż nie przystanie dziś z ulgą na szeroki, otwarty dla różnorodnych motywacji pluralizm, zwłaszcza w konfrontacji z marksistowską hipoteką! Lecz deklaracje są, jak wiadomo, i piękniejsze i łatwiejsze niż układy rzeczywiste. Historyczne argumenty wyjaśniają niewątpliwie wiele, lecz mogą stanąć wpoprzek jakiegokolwiek prawdziwej analizie, gdy kurczą się do wymiaru grzecznościowych formuł i dyplomatycznych reguł „nie mieszania się w wewnętrzne sprawy drugiego”. Ot, spróbujmy, dla przykładu, tłumaczyć tradycją historyczną proces popadania w dogmatyzm, jakiemu od lat ulega znaczna część Labour Party — a znajdziemy się w królestwie absurdu. Podobną techniką argumentacji operują zachodnie partie komunistyczne, głosząc teorie o różnych komunizmach, dostosowanych do określonych warunków historycznych, tak jak gdyby socjalizm realny pasował w ogóle do jakichkolwiek warunków, a Gułag mógł zostać usprawiedliwiony w imię historii Rosji. Analiza historyczna to wstęp do debaty, nie do milczenia. Zdarza się



tymczasem, że wzajemne analizy, podejmowane przez partie, które uznają socjalizm demokratyczny za podstawę i tendencję działania, sięgają do historii dla wygody. Względy taktyczne hamują wtedy otwartą krytykę, pluralizm staje się unikiem, przyzwalając na chowanie głowy w piasek, gdy np. w tym czy innym wcieleniu programowym albo już praktycznym deklarowany socjalizm demokratyczny znajduje się w oczywistym niebezpieczeństwie.

## II

Dowodzenie, zwłaszcza na łamach *Kultury*, że eurokomunizm nie ma z socjalizmem demokratycznym nic wspólnego, jest chyba zbędne. Ponieważ jednak uwagi te dotyczyć mają dwóch wielkich partii, socjalistycznej we Francji i socjaldemokratycznej w Niemczech — zależy mi na wyodrębnieniu jednego, szczególnego aspektu: roli eurokomunizmu jako potencjalnego członu lewicy, jako ewentualnego wciąż jeszcze sojusznika socjalistów. Siła ciężenia partii komunistycznej właśnie np. we Francji jest bowiem tak skuteczna, że po załamaniu się „wspólnego programu”, po przegranych wyborach w roku 1978, a wreszcie nawet po sowieckiej inwazji Afganistanu wpływa ona w dalszym ciągu na działania silniejszej tymczasem — pod względem liczebności wyborców — partii socjalistycznej, na jej wewnętrzne układy i rachuby wyborcze, na jej program i perspektywy.

Przedtem jednak, dla przypomnienia, najkrócej o przyczynach atrakcyjności i sukcesu partii socjalistycznej we Francji w latach siedemdziesiątych. Przypadł on na okres, kiedy powojenny wzrost gospodarczy zaczął tracić rozpęd i wzmogły się rozczarowania. Skończyły się lata „cudu”, osłabł szybki proces upowszechniania się zasobności, silniej uświadomiły się troski. Znany cykl podnoszącej się inflacji spadku inwestycji, postępującego bezrobocia, napiętego wyścigu między minimum płacowym a stopą inflacyjną — godził oczywiście najdotkliwiej w nisko uposażone grupy pracowników, ale dał się również we znaki drobnym kupcom i przedsiębiorcom, wzbudził niepokoje o miejsca pracy wśród urzędników. W ciągu lat kilkunastu więcej przedsiębiorstw znikło niż powstawało, eksplozja konsumpcyjna opadała, obfita masa towarowa na rynku nie redukowała ogromnych różnic w zdolności nabywczej. Warstwy średnie poczuły ciężar stresu społecznego. Świadomość kontrastów społecznych obarcza Francję dotkliwiej, wyraża się tu w formach ostrzejszych, niż np. w Niemczech lub w krajach skandynawskich.

W tych warunkach krąg niezadowolonych wykroczył daleko

poza klientelę wyborczą komunistów, która od lat zresztą drepłała w miejscu. I oto weszła na widownię polityczną — po wyłamaniu się ze starych ram SFIO — partia, zdolna pełnić z nową funkcją alternatywną wobec komunistów, jako siła napędowa zmian i reform, uważanych za konieczne przez szerokie odłamy społeczeństwa. Przy tym jej związek z systemem pojęciowym zachodnich demokracji parlamentarnych był — z racji tradycji socjaldemokratycznych — znacznie bardziej przekonujący niż przyjmowane przez niektórych choćby i z dobrą wiarą eurokomunistyczne nawrócenie. Jaśniej jeszcze tłumaczy dynamikę owego sukcesu niezależność partii socjalistycznej od hipoteki sowieckiej. Zmiany i reformy przeprowadzane autonomicznie, we własnym domu, przez partię nie wystawioną na presję obcych interesów, przy równoczesnym zachowaniu wolności demokratycznych — na ten oto teren oczekiwań społecznych socjaliści wtargnęli niemal szturmem, zdobywając akces nie tylko wśród robotników, ale wśród warstw średnich, wśród inteligencji, intelektualistów — w tym również częściowo wśród byłych wyborców komunistycznych. W krótkim czasie stali się najsilniejszą partią lewicy.

Jakkolwiek wobec programowego i wyborczego sojuszu z komunistami owa niezależność od sowieckich presji nie mogła być całkowita, to jednak zwolennicy partii socjalistycznej obdarzali ją równie naiwnym co niesłabnącym kredytem zaufania, wierząc, iż potrafi ona w toku wspólnych działań przeobrazić partię komunistyczną, wpływać na demokratyzację jej wewnętrznych mechanizmów, a nawet stopniowo rozluźniać jej sowieckie powiązania. Nadzieje te przetrwały poza przegraną Mitterranda w wyborach na prezydenta w roku 1974, by zachwiać się potężnie po zerwaniu przez komunistów „wspólnego programu” w roku 1977. Wprawdzie już wynik wyborów do parlamentu w roku 1978 stanowił podzwonne dla tak zwanej przez lat wiele „dynamiki jednościowej”, ale dopiero stanowisko Marchais wobec sowieckiej okupacji Afganistanu służyło tłące się jeszcze w pewnych kręgach lewicy społecznej złudzenia.

Niemniej, po wszystkim co się stało, kierownictwo partii socjalistycznej — można to było zaobserwować wyraźnie w okresie między kongresem w Metz w wiosną 1979 roku a styczniowym konwentem w Alfortville — wciąż jeszcze trzyma się kurczowo fetyszu jedności i upatruje we wskrzeszeniu sojuszu z komunistami jedno ze swych nadrzędnych zadań perspektywicznych. Przyznając — i bolejąc — że realizacja tego celu jest na bliską metę wobec kategorycznej odmowy komunistów niemożliwa, wbudowuje ją jednak w swoją podstawową strategię, i to nawet w jej wariant najbardziej umiarkowany, najszerzej rozciągnięty

w prognozach czasowych. „Komuniści kiedyś zrozumieją, komuniści kiedyś wrócą” — czy cokolwiek w rozwoju eurokomunizmu, a tym bardziej komunizmu francuskiego uzasadnia podobne rachuby? Czy także przed Afganistanem syzyfowa wytrwałość socjalistów francuskich w dążeniu do sojuszu z komunistami opierała się na jakichkolwiek przesłankach realnych?

Szkicowa retrospektywa nie będzie tu od rzeczy. Zaprezentowane z pompą pozory niezależności we własnych krajach komuniści francuscy i włoscy (wyłączam tu hiszpańskich, gdyż w różnych kwestiach zajmują oni stanowisko odmienne) płacili już od dawna cenę podwójną: Po pierwsze, poza doraźnymi, papierowymi protestami w doraźnych sytuacjach zaniechali całkowicie — po początkowych nieśmiałych próbach — krytyki systemowej socjalizmu realnego. Po drugie, w żadnej sprawie międzynarodowej nie przeciwstawiali się wyraźnie państwowym interesom sowieckim. Marchais, niby aprobując Wspólnotę Europejską, robił zawsze co mógł, by podkopywać jej integrację. Berlinguer uznając NATO kątem ust, sprzyjał w istocie znacznie bardziej koncepcjom neutralizacji Europy Zachodniej, hołubionym czy to skrycie, czy raz po raz otwarciem w dalekosiężnych planach sowieckich. Eurokomunizm, zgodnie z polityką sowiecką, akceptował w Indiach terror Indiry Ghandi, a w Ugandzie terror Idi Amina. Dokonywał cudów kazuistyki, by usprawiedliwić pojawienie się w Afryce Kubańczyków. Klucząc czasem i manewrując solidaryzował się z linią sowiecką w Angoli, Etiopii, Somali. Kiedy Moskwa poparła Wietnam w konflikcie z Kambodżą, zachodnia prasa komunistyczna, zniecka nawiedzona jasnowidzstwem, odkryła okrucieństwa Czerwonych Khmerów. Trzeba było aż Afganistanu, by komuniści włoscy zdobyli się na ostrą krytykę pewnych aspektów sowieckiej polityki zagranicznej. Marchais natomiast poleciał do Moskwy, powtórzył bez wahania w transmitowanej przez Francję moskiewskiej audycji telewizyjnej oficjalną wersję sowiecką o „przyjściu z pomocą sąsiadowi”, rozprawił się urągliwie z socjalistami francuskimi — i tym samym pogrzebał doszczętnie ostatnie iluzje, jakie — na przekór doświadczeniu — błąkać się jeszcze mogły gdzieniegdzie we Francji wokół pojęcia eurokomunizmu.

Pewne fermenty otrzeźwienia wewnątrz zachodnich partii komunistycznych sięgają przede wszystkim środowisk intelektualnych — gdy równocześnie prosowiecki konserwatyzm bazy wydaje się mocno oszańcowany. Potwierdzają to badania socjologiczne, dowodzące nieprawdopodobnego wprost braku informacji o rzeczywistości sowieckiej wśród szeregowych komunistów zachodnich i ujawniające ich wciąż jeszcze żywe w pewnym zakresie emocjonalne związanie z epoką stalinowską. Potwierdziły

to ponownie listy do *Unità* z masowymi protestami przeciw deklaracji kierownictwa partyjnego w sprawie Afganistanu.

W obliczu tych powiązań, świadomie wstrzymywanego dopływu informacji, inercji starych przyzwyczajęń i lojalności, partie komunistyczne nie dają w ewentualnych sojuszach z socjalistami żadnych gwarancji wiarygodności ani bezpieczeństwa — zwłaszcza w sytuacji, kiedy problemy i układy wewnętrzne splatają się ściśle z zewnętrznymi. Nie dają ich także dlatego, że ciążą na nich „endemiczny” nieledwie kompleks konkurencji wobec socjalistów. Marchais nie wytrzymał straty czołowego miejsca wśród ugrupowań lewicy na rzecz partii socjalistycznej i zerwał porozumienie — pod pretekstem sporu o zakres nacjonalizacji — w krótki stosunkowo czas przed wyborami. By posłużyć się mniej spektakularnym lecz wymownym przykładem z innego kraju, nawet komuniści hiszpańscy odmówili w komisji parlamentarnej Kortezów poparcia socjalistom, gdy chodziło o sprawę zdawałoby się tak prostą, jak projekt zwolnienia od podatku dochodowego najniższej uposażonych pracowników i większego obciążenia podatkowego wysokich rang administracyjnych. „Komuniści — zauważył sekretarz generalny hiszpańskiej partii socjalistycznej, Felipe Gonzalez — nie uprawiają zbyt ostrej opozycji wobec rządu Suareza. Jestem natomiast przekonany, że w stosunku do rządu socjalistycznego opozycja ich byłaby nieubłagana, bezlitosna”.

Wracając do Francji: Mogli w swoim czasie o tym wszystkim nie wiedzieć, mogli zapominać na fali uniesień i nadziei, mamieni przez propagandę patetyczną wizją wszechmogącego socjalizmu zwolennicy partii socjalistycznej, jej wyborcy czy nawet szeregowi członkowie. Wiedzieli i wiedzą — przywódcy. Skoro zatem nie zarzucili rojeń o przyszłej komunistycznej metamorfozie, skoro przymierze z komunistami traktują perspektywicznie — wbrew oczywistości ryzyka — jako jedynie możliwą trampolinę dojścia do rządów; skoro w transie walki o władzę uwierzyli nawet, iż ważniejsze jest, że się rządzi, niż z kim się współrządzi — to widać źle skalkulowali cenę, jaką przyszłoby płacić społeczeństwu natychmiast, nazajutrz po wspólnej wygranej socjalistów związanych z komunistami, za tę samonapędową ułudę.

Szereg lat temu, kiedy nie śniło się jeszcze o rozłamie lewicy, Jean-François Revel przestrzegał socjalistów, by nie ulegali „wewnętrznej finlandyzacji”, jaką usiłowała praktykować wobec nich partia komunistyczna w dążeniu do urabiania ich na kształt i podobieństwo własne. Jednakże po dzień dzisiejszy trwają skutki wmanewrowania się partii socjalistycznej w niebezpieczny sojusz i w niebezpieczny program. W organach kierowniczych toczy się wprawdzie walka tendencji ale, jak dotąd, górę bierze koalicja

nurtów, z których jeden przynajmniej (Ceres) licytuje się w radykalizmie z komunistami. Paradoks nie jest tu figurą retoryczną. Oczywiście występuje sporadycznie odruch buntu, czy dążność do wyzwolenia się spod naporu komunistycznej ideologii, lecz są to zrywy o charakterze raczej doraźnie konkurencyjnym niż trwale programowym.

Krótko o najistotniejszych wątkach programowych partii socjalistycznej, tych, które przetrwały w zasadzie od „wspólnego programu” aż po platformę diskutowaną aktualnie. Proklamowane przezeń zerwanie z kapitalizmem miało się dokonać poprzez nacjonalizację, obejmując największe przedsiębiorstwa w kluczowych gałęziach przemysłu oraz banki prywatne, poprzez regulowanie produkcji w myśl planu, kontrolę kredytów i selektywne, oparte na ustalonych priorytetach finansowanie inwestycji, poprzez odpowiednią wreszcie politykę podatkową. Powstałaby w ten sposób gospodarka mieszana z wydatnym, wiodącym sektorem państwowym, którego funkcjonowanie służyć by miało za ośrodek atrakcji na przyszłość dla innych przedsiębiorstw. Sektor ten współistniałby z średnimi i mniejszymi przedsiębiorstwami, nie pozbawionymi poparcia państwa, również oczywiście selektywnego. Choć przejęcie przez państwo określonych placówek nastąpiłoby w krótkim okresie czasu, przyjmuje się, iż odczuwalne tego rezultaty zarysowałyby się dopiero w dalszej perspektywie, czy to gdy chodzi o reorganizację przemysłu, czy też np. o przeobrażone opodatkowanie kapitału. Deficyt w pewnych gałęziach produkcji został poniekąd wkalkulowany w koszty programu — kalkulacja tych kosztów natomiast pozostaje płynna, choć nikt nie kryje, że szacunki sięgają liczb kosmicznych. Odszkodowania dla właścicieli są przewidziane, lecz modalitety ich i wymiary dotychczas dyskusyjne. Nie własność lecz władza w zakresie zarządzania przeszłaby w ręce pracowników — samorząd miałby stać się zatem globalną zasadą życia gospodarczego. Przy tym cały ów zespół zamierzeń partia socjalistyczna definiuje jako przeciwny wobec wszelkich istniejących dotychczas modeli etatyzmu, uważa swe projekty za narzędzie prawdziwej dekoncentracji inicjatyw i prawdziwej społecznej mobilizacji.

Replika narzuca się sama. Socjaliści — w razie wygranej — operowaliby na opornej z natury materii gospodarczej w obliczu zacieklej opozycji. Jej potężny rozmiar wynika z prostej matematyki, nawet przy najkorzystniejszych dla socjalistów i komunistów horoskopach wyborczych. Nie sposób zatem przewidzieć, czy reformy mogłyby dokonywać się istotnie w warunkach pokojowych, jak obiecują założenia programu — tym bardziej, że uświadamia się od razu relatywizm tego określenia w sytuacji, jaka by powstała. Można natomiast przypuszczać, że z miejsca

zaciążyłyby nad gospodarką łagodniejsze lub ostrzejsze elementy przymusu państwowego.

Znacionalizowane giganty przemysłowe straciłyby rozmiar ludzki, gdyż przytłoczyłyby je strukturalna w tych okolicznościach biurokracja typu „hydry stugłowej”. Planowanie inwestycji — stosowane dziś przecie w ograniczonej mierze i w ostrożny sposób w innych krajach Europy Zachodniej — nie pozwoliłoby tu na przyrzeczoną i zachwalaną giętkość, gdyż w szturmowym trybie rozszerzone i zinstytucjonalizowane, zespolone z wykoncypowaną z góry centralną polityką kredytową, stawałoby się z konieczności siłą napędową centralizacji, odstraszając inicjatywę inwestycyjną, wytwórczą i organizacyjną na wszystkich poziomach. Rezultaty reform, oczekiwane na dalszą metę, zostałyby w zarodku podkopane wśród powszechnego poczucia destabilizacji, co paraliżowałoby po drodze mechanizmy wolnorynkowe. Rozkołysanie ideologiczne może hipnotyzować w ciągu kilku tygodni majowych, czy w okresach przedwyborczych, lecz nie zastąpi rachunku ekonomicznego, ani spokojnej refleksji, potrzebnej dla powodzenia eksperymentów gospodarczych czy społecznych. I jak wreszcie godzić to wszystko z samorządnością stosowaną powszechnie, która miałaby przecie stawiać pierwsze kroki, dopracowywać się dopiero w toku działania pierwszych wzorów i modeli, gdyż jak długo nie funkcjonuje, nikt nie wie — wbrew entuzjastycznym, patetycznym wręcz formułom — jak ma naprawdę funkcjonować!

Wschód? Chile? Oczywiście historia nie musi się powtarzać. I nie chcę się tu bawić w zgadywanki, czy i w jakim tempie uciekałyby znowu kapitały, czy i ile polałoby się krwi, czy i ilu policjantów( tak określił kiedyś skutki etatyzacji Felipe Gonzalez) trzeba by postawić przed każdym sklepem. Ale wydaje się niewątpliwe, że bez krwi i bez policjantów, bez natychmiastowych drastycznych ograniczeń wolności, ludziom, do których socjaliści zwracają się i tradycyjnie i aktualnie, praktyka francuskiego programu socjalistycznego nie tylko nie przyniosłaby „wyzwolenia”, lecz stłumiłaby chyba niezmiernie szybko zarówno ich nadzieje, jak gotowość współdziałania. Sekwencje scenariusza mogłyby przebiegać swoiście dla Francji, lecz logika procesu jest znana: zurzędniczenie, zubożenie, bezsilność, a potem — cała władza w ręce... państwa.

Poza Labour Party i socjalistami francuskimi żadna z większych partii socjalistycznych na Zachodzie nie występuje dziś z żądaniem nacjonalizacji na szeroką skalę. Przy tym w Anglii kolejne nacjonalizacje dokonywały się pod naciskiem konfliktów ekonomicznych i też, jak wiadomo, nie błyszczą zawsze doskonałymi wynikami. Ich hasło w socjalistycznym programie fran-

cuskim ma być natomiast kluczem do zmiany systemu. Tymczasem nacjonalizacje nie powinny być systemowym ani „światopoglądowym” monopolem żadnej partii. Bywają przeprowadzane w systemach, nie proklamujących wcale zerwania z kapitalizmem, i to w bardzo różnych okolicznościach, czasem nawet współgrających z interesami przedsiębiorców (gdy chodzi np. o finansowanie deficytów). Raz udają się lepiej, raz gorzej. Renault we Francji udał się lepiej niż Leyland w Anglii. Na ogół francuskie przedsiębiorstwa znacjonalizowane funkcjonują sprawniej niż angielskie czy włoskie. Rzecz jednak w tym, iż właśnie w dotychczasowej praktyce na Zachodzie pełne czy częściowe przejmowanie placówek przemysłowych przez państwo wynikało (w zasadzie, choć i tutaj nie zawsze) z rachunku opłacalności, a nie z abstrakcyjnego rozpędu programowego. Coraz lepiej rozumie się dzisiaj, że nacjonalizacje nie powinny podlegać ani globalnej afirmacji, ani globalnej negacji. Uprawnia je, czy też ich nie uprawnia, rentowność — nie ideologia. Toteż lansowanie ich hurtem, w równoczesnym, nagłym trybie, ze sztywną wiarą w ogólnonaprawczy mechanizm ich rezultatów, groziłoby gwałtownym rozprzężeniem gospodarczym, ze wszystkimi skutkami, jakie powoduje to w psychologii społecznej, z uruchomieniem — nie wiadomo na jak długo — błędnego koła anty-bodźców i desperacji.

To samo dotyczy samorządności. Posiada ona pewne pozytywne prototypy i we Francji i gdzie indziej. Lecz co innego drobiazgowo przygotowana i stopniowo wdrażana w konkretnej praktyce przedsiębiorstw czy instytucji nowa organizacja zarządzania, a co innego zadekretowana z dnia na dzień zasada wszechobejmująca. W myśl programu socjalistycznego przedsiębiorstwa podlegać mają socjalizacji, nie etatyzacji, co określa połączenie nacjonalizacji z samorządnością. Lecz próby takie wymagają tym większej ostrożności, że do tej pory nie zostały jeszcze nigdzie na świecie zrealizowane. Nie znaczy to, iż nie są potrzebne. Ale znów: wtedy dopiero, gdy mogą się oprzeć w każdym przypadku na przesłankach konkretnych, w toku dobrze obliczonych i przystosowanych do indywidualnych sytuacji reform.

Partia socjalistyczna we Francji premiuje impet ideologiczny, przenosi go nad reformatorską rozwagę, łudzi wzlotami ku „ziemi obiecanej”, zamiast poruszać się naprzód po twardej, prawdziwej ziemi. Kto wie, czy to dalekie zapatrzenie nie osłabia jej roli obecnej jako silnej grupy nacisku, czy nie hamuje reform bliższych (w skali centralnej, może nie terenowej), które już teraz pomóc by mogły w codziennym bytowaniu oczekującym tego ludziom. Od dawna, długo przed burzą, jaką spowodowało również w ruchu związkowym stanowisko komunistów w sprawie

Afganistanu, wielu działaczy związków zawodowych we Francji zarzucało partii komunistycznej, iż stosując politykę „wszystko albo nic” niejednokrotnie opóźnia i ogranicza skuteczność praktycznych inicjatyw związkowych. Po wszystkich wstrząsach, jałowy maksymalizm komunistyczny wpływa także na pewne postawy socjalistów w bieżącej praktyce politycznej.

Kilka lat temu zdawało się przez chwilę, że spór z komunistami o zakres nacjonalizacji mógł być dla socjalistów początkiem otrzeźwienia. Nie był nim, jak wiadomo. Nie było nim również w sensie strategicznym — najbrutalniejsze od lat wyłożenie kart na stół przez Marchais po sowieckiej agresji w Afganistanie. Do tej pory przedstawiciele wszystkich niemal skrzydeł w partii socjalistycznej deklarują, że na dłuższą metę sprawa jedności nie jest przegrana. Jeśli nadzieja taka wyraża tylko rachubę taktyczną, obliczoną na odciążenie członków partii komunistycznej od ich kierownictwa, to rozumowanie trzeba by dociągnąć do końca: komuniści mianowicie mogą „rozumieć, wracać, zmieniać się” tylko wtedy — gdy komunistami być przestają. Bez tej kropki nad „i” rachuby socjalistów pozostają nadal złudzeniem — i łudzeniem.

Uwierzywszy w prymat władzy nad własną autonomią, partia socjalistyczna nie skorzystała z dynamiki swego rozwoju, nie potrafiła przetworzyć alternatywnej funkcji, jaką pełnić miała wobec komunistów, w alternatywny program własny z *innego ducha* — zdolny w dalszej perspektywie otworzyć jej drogę do władzy bez komunistów, w odmiennych zespołach koalicyjnych. Zamiast tego pozwoliła się wciągnąć w fałszywe sterowanie napięciami, konfliktami i nadziejami społecznymi. Dziś, gdy steruje nimi w ramach dyskusji programowej, podkopuje własną tożsamość. Lecz kiedyś, w przyszłości bliższej lub odleglejszej, gdyby zdobyć miała sposobność woluntarnego urzeczywistnienia swych zamierzeń, z socjalizmu demokratycznego — wpisanego tak wielkimi literami w całą jej programatykę — pozostać by mogły tylko strzępy. Wbrew wszystkiemu bowiem, co wyczytać można we francuskiej prasie lewicowej, czy też przez lewicę inspirowanej, właściwy dramat partii socjalistycznej nie na tym polega, iż komuniści zmienili strategię i nie chcą się z nią sprzymierzać, lecz na tym, że ona sama nie zrywa z jednościową mitologią, która groźnie zaciążyła nad jej działaniem, jej taktyką i jej wizjami.

(D.c.n.)

Kamila CHYLIŃSKA

5 lutego 1980

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli - i z Belgradu

MILOVAN DŽILAS — PUSTELNIK BEZ PUSTELNI

— Kiedy w lutym 1979 roku umarł Edward Kardelj, ostatni ideolog i ostatni ze starej gwardii, który pozostawał jeszcze w ekipie Tito, Rosjanie odpowiedzieli, że niestety nie przyślą delegacji na pogrzeb, ponieważ Kardelj to nie wystarczająco wielka figura. Kiedy jednak umrze Tito, obiecali sowietci, „wtedy przyjdziemy wszyscy”. W godzinę po wylądowaniu w Belgradzie już znałem ten dowcip. Czy pana też to tylko śmieszy, czy też skłania do myślenia?

— Jak w każdym politycznym dowcipie, jest tu także kolor chwili i znak czasu. Śmiać się jednak nie ma z czego. Ale, po pierwsze, jeszcze nie przyjechali. Po drugie, Jugosławia to nie Afganistan ani Czechosłowacja. Tu nie będzie łatwo znaleźć Kabrala czy Husaka. Po trzecie wreszcie, nie wydaje mi się, aby Moskwa miała w tej chwili i w tych warunkach zamiar i interes w otwarciu frontu na Bałkanach. Ktoś tu obliczył, że musieliby uruchomić ok. 30 dywizji, tutaj bowiem ludzie będą się bić naprawdę. Wydaje mi się zresztą, że prawdziwe niebezpieczeństwo nie leży w tej chwili w perspektywie otwartej, zbrojnej agresji sowieckiej...

Milovan Džilas, który rozmawia ze mną w swoim belgradzkim mieszkaniu, nie jest dla naszych czytelników osobą nieznaną. Przypomnijmy więc tylko krótko, że po raz pierwszy Džilas był więziony w latach 1933-1935 przez króla z dynastii Karadzordżewiczów. Za komunizm, naturalnie. Między rokiem 1956 a 1967 Džilas ponownie spędził lat 9 w więzieniu. Tym razem więziony był przez Tito. Za antykomunizm, naturalnie. W międzyczasie Džilas zrobił zawrotną karierę: w dół i w górę, a teraz w bok. Był najbliższym towarzyszem Tito w czasie walk z Hitlerem (to on właśnie prowadził rokowania z... hitlerowcami w marcu 1943 w Zagrzebiu), potem w czasie budowy stalinowskiej Jugosławii i w końcu w czasie antystalinowskiej schizmy. Był wiceprezydentem partii i państwa.

Do czasu. Z fanatycznego stalinowca Džilas przekształcił się w rozumnego i zdecydowanego antystalinowca. Trzeba — mawiał wtedy jeszcze naiwnie — skończyć z wykorzystywaniem przez towarzyszy „stalinizmu à la carte” dla umacniania ich władzy i przywilejów. Džilas był jeszcze członkiem najwyższego kwartetu w Jugosławii, kiedy w październiku 1953 roku, sześć miesięcy po śmierci Józefa Wissarionowicza, drukuje w centralnym organie partii *Borba* zupełnie zaskakującą serię artykułów. Nowy temat eksploduje w Belgradzie: socjalizm a demokracja, monopol i biurokracja partii i aparatu. Jeszcze szok nie przeszedł, kiedy Džilas idzie za ciosem. Na łamach pisma literackiego piętnuje „zasklepiące mózgi zbiurokratyzowanych przywódców” i „monstra egoizmu” w aparacie partyjnym. Tego było za dużo. Sześć miesięcy później Džilas zostaje usunięty z KC, niedługo potem sam odsyła swą legitymację partyjną, ale zatrzymuje swoje poglądy.

W 1956 roku Džilas ogłasza na Zachodzie swą słynną „Nową klasę”<sup>1</sup>, klasyczną dziś rozprawę ze zbiurokratyzowaniem partii. Idzie do więzienia. Wychodzi na wolność w 1961 roku. Nie na długo. Ledwo wolny, wysyła na Zachód swe „Rozmowy ze Stalinem”<sup>2</sup>. Wraca do kryminału. Na 5 lat. Za ujawnienie tajemnic państwowych...

— Co pan teraz ujawnia, biurka spod papieru nie widać?

— Moje własne życie, moje własne tajemnice. Piszę wspomnienia. Pierwsze części (wyszły po angielsku w USA) opowiadały moje lata rewolucyjne i lata wojny. Teraz piszę o okresie władzy. Ostatnia część będzie o zerwaniu. Ale nie spieszę się, wolę zachować dystans. To niełatwe lata, brak kontaktu z moim dawnym środowiskiem nie ułatwia podróży w przeszłość. Żyję raczej samotnie, ot, rodzaj pustelnika w dużym mieście. Nawet moi dawni towarzysze wolą mnie unikać, może mają rację...

Chyba nie. Džilas mieszka przy Palmoticewa 8, spokojnej ulicy w centrum miasta, tuż za budynkiem Skupszczyzny, czyli parlamentu, którego do roku 1954 był przewodniczącym. Mieszka z żoną i córką (słyszałem ich głosy, ale nie widziałem) na II piętrze zwyczajnej, mieszczańskiej kamienicy, sam otwiera drzwi, przyjmuje mnie w pokoju, gdzie wyraźnie spędza większość czasu. Jest tam biurko, niski stół, fotele oraz łóżko. Siwe włosy, pochylone ramiona, otulony w grubym sweter, porusza się powoli, mówi bez gestykulacji...

— Na Zachodzie nazywają pana jugosłowiańskim Sacharowem. Podczas kiedy jednak sowiecki Sacharow deportowany został do miasta Gorki, pana nikt nigdzie nie zsyła. Idąc do pana nie zauważyłem policji, chociaż jestem na to bardzo, hm, wrażliwy. Pański telefon funkcjonuje bez zarzutu, przyjmuje pan swobodnie dziennikarzy imperialistycznych, drukuje pan na Zachodzie. Niech mi pan powie: czy władza przestała już pana uważać za osobnika niebezpiecznego czy też policja jest bardziej dyskretna?

1, 2. „Nowa klasa wyzyskiwaczy” ukazała się po polsku w 1958 roku, w tłum. J. Mieroszewskiego, jako 27 tom Biblioteki Kultury, zaś „Rozmowy ze Stalinem” w r. 1962, w tłum. A. Ciołkosza, jako 82 tom Biblioteki Kultury.

— Nieporozumienie. Ja nie jestem jugosłowiańskim Sacharowem, którego zresztą szanuję i podziwiam. Nie jestem nosicielem żadnej ideologii, tendencji czy programu politycznego i opozycyjnego. No a poza tym, i to jest zasadnicze, Jugosławia to nie ZSSR. Co nie oznacza że policja się mną nie interesuje, że mój telefon nie jest na podsłuchu, czy też, że mieszkanie nie jest odpowiednio „wyposażone”... Czy napije się pan kawy? Może być ta wasza neska, może być nasza prawdziwa. Wie pan, niczego mi nie brak, w sensie materialnym, oczywiście...

Dżilas otrzymuje 20.000 dynarów emerytury miesięcznie.

To dużo, przyznaje, cztery razy przeciętna płaca... Policja też mnie już nie prześladowa...

— A przecież uniknął pan właśnie więzienia. Opublikował pan samizdat, rzecz nieznaną w Jugosławii. Władza nie pochwaliła.

— Nie, istotnie. Wraz z kilku przyjaciółmi opublikowaliśmy almanach literacki „Zegar” bez zezwolenia władz. Pismo było bez akcentów politycznych, nawet nowele i eseje moje i Mihajlova (czeka na niego nakaz aresztowania gdyby pojawił się w domu) były czysto literackie. Odbiliśmy tego kilkaset egzemplarzy, czytelnikom podobało się, władzy mniej. Pierwszy wyrok pozostawił mi wybór: więzienie albo grzywna. Wybrałem naturalnie więzienie, ale sąd sam zmienił wyrok i ściągnął grzywnę *ex officio* z mojej emerytury...

Rozpalony dawniej Czarnogórec, Dżilas, dziś 68-letni dżentelmen, robi wrażenie bardziej filozofa niż polityka, spokojnie ale z humorem dobiera słowa, przypomina historyka wrażliwego na dokładność sformułowania, nie wahającego się sięgać do słownika czy encyklopedii...

— W 1950 roku, kiedy był pan jeszcze u jego boku, Tito powiedział, że po jego śmierci nic się w Jugosławii nie zmieni. Tymczasem od 30 lat, już bez pańskiej pomocy, Tito niczym innym właściwie się nie zajmuje niż szukaniem sposobu, aby rzeczywiście nic się po jego śmierci nie zmieniło. Spędziłem właśnie (styczeń 1980) tydzień w Jugosławii, tuż po operacji Tito i nie odniosłem wrażenia aby Tito ten sposób znalazł. Pańscy ziomkowie są niespokojni, robią wrażenie przejętych pytaniem, co jutro niesie...

— I słusznie. Zawsze się bowiem coś zmienia, kiedy nowa ekipa dochodzi do władzy, Jugosławia pod tym względem będzie wyjątkiem. Ale nie przypuszczam aby należało się spodziewać od razu po zniknięciu Tity jakichś radykalnych zmian. Zawiedzeni będą zarówno ci, którzy sądzą, że się wszystko zawali, jak i ci, którzy mają nadzieję, że nic się nie zmieni.

— Tito już przeszedł do historii. W czasie jego choroby wyraźnie dawano zachodnim dziennikarzom do zrozumienia, że Jugosławia przechodzi właśnie generalną próbę potitowskiego funk-

cjonowania. Moją serię artykułów w prasie codziennej zatytułuję „Jugosławia bez siatki”. Kto teraz będzie siatką ubezpieczającą kraj? Kto zastąpi Tito?

Tito, chłopski syn z Chorwacji („ostatni Habsburg”, jak go ktoś nazwał), twardy, ale nowoczesny dyktator, jest tutaj symbolem sukcesu, czymś w rodzaju bałkańskiego uosobienia „macho”. Ludzie tutaj dumni są kiedy Tito z „hawana” w ustach, szklanką whisky w rękę, daje się fotografować z Liżą Taylor, kiedy wszystkich możliwych tego świata przyjmuje we wspańskich rezydencjach, prowadzi sportowe samochody, jachty, strzela niedźwiedzie, niedawno jeszcze *cherchez la femme*. Jest to jedyny chyba polityk, który potrafił w ciągu jednego sezonu spotkać się z Breżniewem, Carterem i Hua Kuofengiem, zmusić ich do uważnego wysłuchania tego co miał do powiedzenia. Jest to pierwszy Jugosłowianin, który wyprowadził swój kraj z bałkańskiego gumna i wprowadził na światowe salony.

— Nikt nie zastąpi Tito. Jego tzw. „kult” należy porównywać z kultem raczej Mao niż Stalina, z tym że Tito był od nich obu inteligentniejszy, nie mówiąc już o innych „kultowych” stalinakach. Władzę Tity nie cechowały wyłącznie zamordyzm, monolityzm i autokracja, ale także pewien dynamizm polityczny, decentralizacja gospodarki, wyobraźnia dyplomatyczna. Kryją się w tym naturalnie określone sprzeczności, w wyniku których już dawno zaczęły narastać pewne zjawiska kryzysowe. Niech pan spojrzy na sferę gospodarki. Inflacja — 27%, jedna z najwyższych w Europie, chroniczny deficyt w handlu zagranicznym, ogromny dług dewizowy (ok. 20 miliardów dolarów), kolosalne bezrobocie: 700.000, nie licząc miliona „gastarbeiterów”. Wszystko to jest tym trudniejsze do pokonania, że system zarządzania jest niesprawny, wydajność pracy niska, że powstał rynek spekulacyjny wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami...

— Nowa „nowa klasa”?

— Tak, nowa klasa pasożytów uprzywilejowanych nie przez władzę, a przez pieniądze zarobione na spekulacji i podporządkowująca sobie dzięki pieniądзом określone ogniska władzy.

— Ale nie można przecież nawet porównywać stopnia poprawy sytuacji materialnej w Jugosławii ze znacznie niższym tempem osiągniętym przez waszych sąsiadów.

— To prawda, ale nie należy ignorować zjawisk ujemnych. Po pierwsze wszyscy się wzbogacili, ale niektórzy bardziej niż inni. Niegdyś różnica między Kosowem u granic albańskich a Słowenią była jak jeden do trzech. Dziś wszyscy żyją lepiej, ale różnica ta jest jak jeden do sześciu. Drugim zjawiskiem ujemnym jest zużycie, rdzewienie aparatu władzy. Cykl podejmowania decyzji jest coraz dłuższy, separatyzm regionalny coraz wyraźniejszy, sprzeczność między samorządową formą zarządzania a monopolem władzy partii jest coraz bardziej paraliżująca...

— *Jak to przełamać?*

— Nie można, właśnie z powodu monopolu aparatu partyjnego. Liga Komunistów, bo tak się partia nazywa, stanowi się wysoce scentralizowaną, która chce wszystko kontrolować, bo taki jest jej sens istnienia, a tymczasem instancje gospodarcze, kulturalne, czy nawet polityczne regionalne przejawiają coraz silniejsze tendencje autonomiczne, bo taki jest sens ich istnienia. Rozdęta i zbiurokratyzowana Liga straciła na impecie, wyeliminowała swych wszystkich samodzielnie myślących członków, uniemożliwiając wypracowanie przez nią samą jakiegś alternatywy reformistycznej ale socjalistycznej. Nie mam pewności czy taka Liga potrafi przeprowadzić bez szwanku naród lub raczej narody Jugosławii poprzez rafa bardzo trudnej i delikatnej sukcesji...

Tito przygotował szeroki ale skomplikowany system kolegialnej władzy na wypadek (niektórzy twierdzą, że tak się zaczyna jego testament) „gdybym mimo wszystko pewnego dnia umarł...”. Tito jest, według pewnego mojego rozmówcy, jedynym Jugosłowianinem w Jugosławii, wszyscy inni to Serbowie, Chorwaci, Słowenci itd. Choć to zapewne przesada, to nie należy zapominać, że nazwa „Jugosławia” ma dopiero 50 lat, że kraj ten stanowi mozaikę 6 republik, dwóch regionów autonomicznych, 18 narodowości, kilku języków, alfabetów, religii, najzupełniej odmiennych tradycji, kultur i animozji. Przez całe wieki dzisiejsza Jugosławia była w połowie okupowana przez Turków a w połowie przez Austriaków, co samo dla siebie mogłoby wytłumaczyć znacznie większe trudności niż te, przez które przechodzi obecnie Jugosławia.

Otóż Tito udało się poskładać to wszystko w jakiś koherentny sposób. Pewien serbski rybak, powiadają tutaj, wyłowił z rzeki dobrą wrózkę, która na dowód wdzięczności obiecała spełnić największe życzenie jego życia. „Niech zdechnie krowa mojego chorwackiego sąsiada”, odpowiedział bez namysłu szczęśliwy rybak. Otóż w takim kraju udało się Tito, według dość powszechnych poglądów, doprowadzić ludzi do stanu pewnego zubożenia na nacjonalistyczne hece, przynajmniej w młodej części społeczeństwa. Tito nie ma jednak następcy, ani desygnowanego, ani prawdopodobnego. Po to aby zaoszczędzić Jugosławii władzy tysięcy małych titów, duży Tito, pierwszy i ostatni dożywotni przewodniczący wszystkiego czemu można było przewodniczyć, wymyślił dwa kolektywne prezydium, państwa i partii, złożone z przedstawicieli republik i regionów, narodów, religii, języków itd. Mandat członka prezydium może być tylko dwa razy (w nielicznych przypadkach — trzy) odnowiony. To aby uniknąć gerontokracji w dyrekcji. Aby zaś uniknąć „przyssania” do fotela, mandat prezydenta kolegialnego prezydium trwa tylko rok i sprawowany jest kolejno przez wszystkich członków prezydium. Wszystko to, nawet kolejność rotacji, jest w szczegółach opisane w konstytucji, która od 1964 roku była już cztery razy poważnie poprawiana i za każdym razem przedstawiana jako „najbardziej postępową na świecie”. Kolejna poprawka została, przez Tito osobiście, wprowadzona w październiku 1979...

— *Jeden z pańskich byłych kolegów pogniwał się na mnie kiedy powiedziałem, że to wszystko wydaje mi się szalenie skomplikowane, że może warto by spróbować zwyczajnej demokracji. Powiedział mi, że pluralizm zniszczyłby Jugosławie, i że Szwaj-*

*caria jest też państwem wielonarodowym, a jednak funkcjonuje. Nie uśmiechnąłem się nawet, ludzie tutaj są wrażliwi.*

— Jugosławia to nie Szwajcaria. System jest rzeczywiście skomplikowany, bo Tito chciał wszystko przewidzieć i wszystko ustalić. A to jest niemożliwe. Mówiąc w skrócie zachodzi zasadnicza sprzeczność między monopolem partii a mechanizmem władzy kolegialnej czy samorządowej.

— *No to co będzie?*

— Tylko praktyka wykaże czy i w jakim stopniu ten mechanizm „szwajcarsko-bałkański” zdolny jest do działania. Istnieje wiele scenariuszy. Jeden z bardziej prawdopodobnych zakłada, że po kilku miesiącach kolegialnego działania dojdzie do walki o władzę, w wyniku której jakiś jeden przywódca znowu obejmie całą właściwie władzę. Jest to właściwie nieuniknione w warunkach monopartyjności. Wtedy będą możliwe bardzo rozmaite, ale przede wszystkim dwa chyba cykle działania. Ów nowy przywódca i jego grupa mogą zdecydować się na powrót do sztywnej formy monowładzy, jakiegś formy neostalinizmu...

— *Ktoś mnie zapytał, myśląc, że żartuję, czy nie należy obawiać się, że następcy Tito będą próbowali wprowadzić w Jugosławii ustrój... komunistyczny. Co pan by na to odpowiedział?*

— Że to dowcip, bo to co w Jugosławii dziś istnieje to też jakaś forma komunizmu, ale ludzie słusznie boją się przykręcenia śruby. Z drugiej jednak strony nie jest również wykluczone, że owa nowa grupa, reprezentująca m.in. młode kadry techniczne, cywilne i wojskowe, pokolenie, które nie znało wojny, ale poznało Zachód, mogłoby zwrócić się ku demokratyzacji i decentralizacji, modernizacji państwa i aparatu. Oczywiście, byłby to okres szalenie delikatny, bo zakładałby również otwarcie na Zachód i rewizję niektórych założeń jugosłowiańskiej polityki zagranicznej...

— *Rosjanie nie będą zachwyceni...*

— Nie należy Rosjan prowokować i dlatego Jugosławia nie powinna zmieniać swego statutu jako państwa nie zaangażowanego...

— *Co to znaczy państwo niezaangażowane? Kuba jest nie zaangażowana. I Wietnam też. Afganistan do niedawna był nie zaangażowany, a może jeszcze ciągle jest, choć jest okupowany...*

— Będzie to pierwsza z nieuniknionych rewizji zasad dyplomacji potitowskiej. Operacja afgańska nie była tu zaskoczeniem, ale pewne rzeczy postawiła w jaskrawym świetle. Była to niewątpliwa operacja jakościowo nowa. Odbyła się z udziałem

wojsk nie kubańskich a sowieckich i poza sferą układu z Jałty. Zachód ciągle nie umie czytać sowieckich dokumentów. Uzasadniając inwazję Afganistanu, Breżniew powiedział, z grubsza biorąc, dwie rzeczy, nie nowe, ale po raz pierwszy z taką ostentacją, szczerością, powiedziałbym, bezczelnością. Po pierwsze, że ZSSR nie może pozostać głuchy na głos jakiegokolwiek „siły postępowej” wołającej o braterską pomoc. Po drugie, że to ZSSR sam decyduje o tym kiedy, co i gdzie stanowi zagrożenie dla jego granic. Jest to bardzo proste i stanowi a priori czyste usprawiedliwienie wszystkich możliwych ekspansji. Wszędzie bowiem na świecie istnieją dziś rejony o wysokim stopniu wrzenia, łatwe do destabilizacji, wszędzie będzie można znaleźć jakąś siłę postępową wołającą o pomoc, wszędzie będzie coś takiego co Breżniew mógłby uznać za zagrożenie dla bezpieczeństwa sowietów.

— *Na przykład w Iranie, tam jest postępowa Tudeh...*

— *W Iranie, czy Pakistanie czy gdzie indziej...*

— *W Jugostawii, po śmierci Tito?*

— *Niewykluczone, w polityce wszystko jest możliwe, ale mało prawdopodobne. Już o tym mówiliśmy...*

— *Wszyscy o tym mówią. W waszej telewizji główny temat to dokumenty z Afganistanu ujawniające brutalny charakter okupacji sowieckiej. W państwie o informacji ograniczonej i kontrolowanej przez partię łatwo w tym odczytać niepokój góry. Pewien mój kolega, chyba inspirowany skąd trzeba, oglądał program ze mną i powiedział: „Jutro może nasza kolej”. Studenci w Zagrzebiu poszli pod sowiecki konsulatus aby wołać: „Dziś w Afganistanie, jutro u nas na śniadanie”. Czy pan też spodziewa się gości?*

— *Nie, powtarzam, nie od razu, w każdym razie. Obawiałbym się raczej małych dywersji, np. bułgarskich w Macedonii, czy podgrzewania nacjonalizmu w Chorwacji. Ważne jest w tej chwili, że operacja afgańska udowodniła, że tzw. ruch państw niezaangażowanych nie stanowi żadnej gwarancji niepodległości dla swych członków. A to jest przecież podstawa titowskiej dyplomacji. Obecny przewodniczący ruchu państw niezaangażowanych Fidel Castro poparł w ONZ inwazję Afganistanu, kraju, którego niepodległości miał teoretycznie chronić. Jugostawia powinna więc przy zachowaniu neutralności i równego dystansu od obu bloków wyjść z mitycznego koła niezaangażowania, które straciło już dziś wszelki charakter poważnej opcji politycznej, i zwrócić się ku zapleczu europejskiemu, które stanowi jej właściwy i naturalny kontekst cywilizacyjny, kulturalny i gospodarczy.*

— *Dazu braucht man zwei... Nie jestem pewny czy Zachód*

*jest dziś skłonny współpracować a zwłaszcza finansować tak skomplikowaną i kosztowną operację dyplomatyczną. Czy rozbita różnymi kryzysami, ogłupiała EWG będzie skłonna otworzyć swe granice przed jugosłowiańskimi towarami (mięso! pod którym sama się ugina) aby złagodzić deficyt i zadłużenie Jugostawii? Po drugie takie kuszenie Jugosłowian bardzo zdenerwuje Rosjan, a np. Francja bardzo nie lubi denerwować Rosjan, nawet w olimpijskich biegach przez płotki. Jeden z przywódców jugosłowiańskich zapytał mnie, najzupełniej prywatnie oczywiście: „Czy pan pamięta Monachium 1938”? Czy panu też Monachium przychodzi na myśl, kiedy myśli pan dziś o Zachodzie?*

— *Moskwa nie chce wojny w Europie, ale właściwie skazana jest na ekspansję. Niech pan spojrzy na Wschód. ZSSR, ten nowoczesny, uprzemysłowiony ogromny, potężny kraj, to jedna seria wielkich katastrof i kompromitacji: rolnictwo, poziom życia, dezorganizacja, niska wydajność wymazują wszelką szansę „dogonienia i przegonienia”. Ideologicznie biorąc Moskwa straciła ostatnie resztki charyzmy, jeżeli jeszcze miała. Kolejne schizmy ujawniły nagość cara, Sacharow w Gorki ujawnił strach władzy, a komedia eurokomunizmu...*

— *Pan ma na myśli Georges'a Marchais...*

— *Nie, Marchais to nie komedia. Wśród wielu głównie wewnętrznych powodów jego „skreślenia na wschód”, znajduje się również ocena przyszłości waszej Europy jako obszaru sfinlandyzowanego jeżeli nie zsowietyzowanego. W takiej Europie jego neostalinowska partia nareszcie dorwałaby się do władzy. To byłaby władza! My znamy komunistów francuskich. Oni w 1948 roku byli najbardziej sfanatyzowanymi przeciwnikami agenta imperialistycznego Tito. My byliśmy wtedy pierwszymi eurokomunistami, dziś oni są znowu najwierniejszymi wasalami Moskwy. To koniec mitu eurokomunistycznego i koniec mitu o jakiegokolwiek solidarności euro czy nie eurokomunizmu<sup>3</sup>. Mekka komunizmu jest zwyczajnym, choć ogromnym miastem garnizonowym. Jedynie co Moskwa może ofiarować światu — to broń, jedyny przykład wydajnego działania państwa sowieckiego to operacje armii czerwonej, jedyny działający sprawnie mechanizm sowiecki to wojsko. Ekspansja wojskowa to jedyny dziś dowód vitalności systemu sowieckiego. Pogląd, że w tych warunkach można coś z Moskwą osiągnąć uległością jest naiwnością. Wy myślicie, że ekspansja sowiecka toczy się starym carskim torem, że agresywność Moskwy jest azjatycko-regionalna, że Kreml wykorzystuje drgawki azjatyckiego kontynentu, ale że u was w Europie Zachodniej, bogatej i stabilnej, nic wam nie grozi. Błąd. To prawda, że totalitaryzm sowiecki ciągnie soki także i z azjatyckiego*

3. W chwili pisania tych słów Gierk na VIII zjeździe zaproponował nową europejską konferencję rozbrojeniową.



despotyzmu carów. Ale to jeszcze Stalin zorientował Moskwę na Europę. Obecny trend do kontroli pozaeuropejskich złóż surowcowych też ma końcowy adres w Europie Zachodniej. Imperium sowieckie ma dziś swą własną dynamikę, ideologia służy tam wyłącznie do uzasadniania nieuniknionych zaborów.

— *Jeżeli to takie proste, to dlaczego to takie skomplikowane? Po co Helsinki, po co konferencja w Madrycie? O czym rozmawiać?*

— Po inwazji Pragi była propozycja Helsinek. Po inwazji Kabulu, też coś przyjdzie<sup>4</sup>. Rozmawiać zawsze warto, tylko trzeba wiedzieć jak, i z kim i o czym. Postawa Zachodu przypomina mi zdumienie przywódców jugosłowiańskich, w tym moje własne, kiedy w 1945 roku spotkaliśmy się z Andrzejem Wyszyńskim, byłem prokuratorem od procesów moskiewskich, a potem ministrem spraw zagranicznych Stalina. Otóż tłumacząc nam kolonialną wówczas okupację i okradanie byłej hitlerowskiej Rumunii, Wyszyński ostro skrytykował próby Zachodu interesowania się losem Bukaresztu. „Czegóż ci z Zachodu jeszcze chcą, powiedziały Wyszyński. Oni dosyć długo rządzą w tym kraju. Teraz nasza kolej...”.

— *A dziś czyja kolej?*

— Wasza. Czyż nie jest paradoksem, że to USA są najbardziej zaangażowane w obronę Zatoki Perskiej, gdzie Europa Zachodnia jest właściwie nieobecna, a nawet nie jest skłonna poprzeć USA, żeby nie powiedzieć tego ostrzej, podczas kiedy to właśnie Europa Zachodnia a nie USA, uschłaby z naftowego pragnienia, gdyby Rosjanie opanowali złoża, albo zakorkowali drogi wodne.

— *No, a wobec Jugosławii? Ktoś mi opowiadał, że po rozmowach w Belgradzie Hua Kuofeng był tak przygnębiony, że (najzupełniej prywatnie) zauważył, iż wcale nie jest wykluczone, że na przekór temu co Pekin zawsze twierdził, Rosjanie, być może, nie będą musieli wywoływać trzeciej wojny światowej. Dlaczego, spytano następcę Mao. Dlatego, odpowiedział, że są w trakcie wygrywania jej bez walki. Czy pan też rozmawiał z Hua?*

— Nie. Widocznie nie miał czasu. Nie ulega jednak kwestii, że niezależność i neutralność Jugosławii są sprawą bezpieczeństwa bardziej Europy Zachodniej, niż Ameryki. Wystarczy przecież spojrzeć na mapę i wyobrazić sobie armię czerwoną na granicy włoskiej i nad Adriatykiem. A przecież my tu odnosimy

4. Swe poglądy na eurokomunizm i na wiele innych spraw Dżilas zreferował w pasjonującej i długiej rozmowie z George Urbanem wydrukowanej w grudniowym (1979) wydaniu angielskiego miesięcznika *Encounter*. Kiedy zachwyciłem się tą rozmową Dżilas skromnie powiedział: „To Urban przede wszystkim pracował”.

przygnębiające wrażenie, że sojusz zachodni się chwieje, żeby nie powiedzieć gorzej. Tak jest w sprawie olimpiady, czy w ogóle następstw inwazji afgańskiej. Czy jest tak także w sprawie losów Jugosławii, nie wiem, mam nadzieję, że Zachód wie, i że Rosja wie, że Zachód wie. Wie pan, ostatni raz byłem w USA w 1968 roku. Wywoziłem wtedy jedno ale ogromne wrażenie: kolosalnej siły fatalnie zorganizowanej. Chyba nic się nie zmieniło.

— *A u pana co się zmieniło? Czy ktoś pana jeszcze słucha? Kto pana rozumie tutaj?*

— Bardzo niewiele osób miejscowych zna mnie z nazwiska i to też z nielicznych zresztą ataków prasowych na mnie. Nie rozumieją mnie. Kiedy byłem w więzieniu mój strażnik powiedział kiedyś: „Pan to nas na pewno nienawidzi”. „Nie”, odpowiedziałem, „jesteście mi obojętni”. Ale przecież obojętność wobec strażników więziennych nie zakłada wcale obojętności wobec losów kraju i świata, nie wyklucza myślenia...

— *...ani rozmów o polityce, jak ta dla Kultury...*

— Tak, ale jej tekst ukaże się po polsku w Paryżu, a nie po serbsku w Belgradzie. Jestem skazany na życie w wolności z zawieszeniem. Mogę jeździć po kraju, ale nie mogę wyjeżdżać za granicę, już dwa razy odmawiano mi paszportu. Piszę sporo, ale nie mogę drukować w Jugosławii. Nawet moje tłumaczenia nie są tu drukowane...

— *Jakie na przykład?*

— „Raj utracony...”.

Leopold UNGER

Pisane 13 lutego 1980 r.

## Afganistan : kraj, ludzie, historia

Sowiecka inwazja Afganistanu sprawiła, że kraj ten — do niedawna zapadła prowincja świata — znalazł się nagle w centrum uwagi. Ponieważ wypadki tam się rozgrywające mogą mieć wpływ na dalsze losy nas wszystkich, garść informacji na temat tego kraju powinna zainteresować czytelników.

Afganistan ma nieco ponad 650 tys. km<sup>2</sup> i liczy ok. 17 mln. mieszkańców (dokładnego spisu nigdy nie przeprowadzono), w tym ponad 2 mln. nomadów. W miastach żyje jedynie ok.

10 % ludności, reszta — przeważnie rolnicy i pasterze — mieszka w wioskach, których liczbę szacuje się na ok. 15.000. Ponieważ terytorium Afganistanu przez wiele wieków stanowiło rodzaj kresów zarówno dla Persji jak i Indii, skład narodowościowy i mozaika lingwistyczna tego kraju mogą przypisać o zawrót głowy: w wyniku licznych podbojów, migracji, deportacji i krzyżowania się wpływów sąsiadują tu ze sobą grupy ludności pochodzenia irańskiego, tureckiego i mongolskiego, a w użyciu jest ok. 30 różnych języków. Granice Afganistanu w jego dzisiejszym kształcie ustalone zostały w XIX wieku, głównie w wyniku zakulisowych przetargów między Rosją i Anglią — oba te państwa postanowiły traktować ten kraj jako neutralny region buforowy i pozostałością tego jest jeszcze dziwny na pierwszy rzut oka cypelek na północnym wschodzie Afganistanu — region zwany Wachanem, sięgający aż po granicę chińską; ten 200-kilometryowy korytarz, zwązający się gdzieś do 15 km., miał być rodzajem ziemi niczyjej między Rosją a ówczesnymi Indiami brytyjskimi. Dzięki temu Afganistan dzisiejszy ma 80 km. granicy z ChRL (prowincja Singkiang); mieszkają tam pół-koczowniczy Kirgizi i nieliczna ludność osiadła, mówiąca lokalnym językiem irańskim, należącym do szczątkowej grupy języków pamińskich. Jest to jeden z najtrudniej dostępnych terenów świata (góry do 7 tys. m.) i stanowi przejście pomiędzy masywem Pamiru i łańcuchem gór Hindukusz, rozdzielającym Afganistan na dwie części: północno-zachodnią, będącą historycznie zawsze pod wpływem Persji (i przylegającego do niej od północy regionu turkmeńskiego i tadżyckiego), oraz południowo-wschodnią, związaną historycznie z Indiami (w szerszym znaczeniu, tzn. przed ich podziałem w 1947 roku na państwo Bharat (Indię) i muzułmański Pakistan). Afganie w znaczeniu etnicznym zamieszkują głównie tę część kraju, zwłaszcza region wzdłuż linii miast: Kandahar, Ghazni, Kabul i Dżelalabad — linię tę można przedłużyć *via* słynny wąwóz Khyberski aż do Peszawar, stolicy pakistańskiej Prowincji Pogranicza Północno-Zachodniego (*North-West Frontier Province*), w której to prowincji również mieszka głównie ludność afgańska.

Ponieważ nomenklatura etniczno-językowa tego regionu jest dość zawiślana, nie od rzeczy będzie dygresja na ten temat. Nazwa etniczna „Afgan” nie jest rodzima i raczej pochodzi od sąsiadów tego ludu: po raz pierwszy — w formie *avagāna* — zaświadczona jest w tekście indyjskim z VI wieku po Chrystusie; *Afghān* jest też zawsze używane w języku perskim. Sami Afganie nazywają się w l. poj. *Pasztun*, w l. mn. *Pasztāne*, a swój język określają przymiotnikiem *paszto*. Spółgłoska *-sz-* występująca w tym słowie ma specjalną artykulację (trochę jakby ktoś próbował równocześnie wymówić *-sz-* i *-ch-*), a w dialektach północnych (tzn. w okolicach Peszawaru) wymawiana jest twardo jako *-kh-*; i ta forma *'pakhtun/pakhtane'* leży u podstaw niezbyt ścisłej transkrypcji angielskiej *Pathan*, spopularyzowanej m.in. przez Kiplinga. Język *paszto* (afgański) jest — podobnie jak

nowoperski (farsi) — członkiem grupy irańskiej, a więc należy do rodziny języków indoeuropejskich tak samo jak grupy słowiańska, germańska, itd., różni się jednak od perskiego co najmniej tak, jak np. polski od bułgarskiego. Z uwagi na siłę tradycji kulturalnej i politycznej język perski ma do dzisiaj znacznie wyższy status społeczny, niż *paszto*, i m.in. dlatego jest bardzo rozpowszechniony w Afganistanie; cały Kabul mówi wyłącznie po persku, mimo wprowadzonej po drugiej wojnie oficjalnej dwujęzyczności kraju. Perski, używany w miastach afgańskich, nosi oficjalną nazwę *dari* — jest to średniowieczna nazwa, jakiej kiedyś używali sami Persowie dla swego języka, dla odróżnienia od oficjalnego języka kalifatu, tzn. arabskiego; spotyka się też nazwę *farsi kaboli*, „kabulski perski” — nazwa ta podkreśla lekko różnicę wymowy, frazeologii itd. między afgańską a rodzimą formą tego języka (narzuca się tu porównanie z kresową polszczyzną).

Parę słów w związku z tym o języku tadżyckim, ponieważ i nim mówi się w Afganistanie, zwłaszcza w prowincjach północno-wschodnich (rejon zwany Badachschanem). Jest to również dialektałna odmiana języka perskiego, różniąca się od niego tak, jak np. austriacki niemiecki od standardowego niemieckiego; główne różnice polegają na innym zabarwieniu samogłosek i pewnych archaizmach w tadżyckim. Pers z Teheranu i Tadżyk z Duszambe (ex-Stalinabad) w Tadżyckiej SSR mogą swobodnie ze sobą rozmawiać. Barięra jest obecnie alfabet, ponieważ w Sowietach używany jest dla tadżyckiego alfabet rosyjski, *nota bene* wprowadzony dopiero w 1940 roku, na miejsce używanego przez 10 lat łańciskiego — poprzednio, gdy pisano alfabetem arabskim, nie notującym krótkich samogłosek, trudno było w ogóle mówić o dwóch różnych językach). Słowo „Tadżyk” jest raczej terminem etnicznym; dawniej przypuszczalnie oznaczało ludzi mówiących w Azji Środkowej lokalną odmianą perskiego, w odróżnieniu od napływowej ludności tiurkskiej (Uzbeków, Kazachów, itd.). „Tadżycki” jest rodzajem ludowej *lingua franca* północnej części Afganistanu; bardziej literacką i pielęgnowaną formę perskiego określa się oficjalnie jako *dari*. *Paszto* — naprawdę odmienny od perskiego język irański — używane jest głównie w południowej części kraju; w latach 30-tych i po wojnie język ten był dość forsowany przez rząd (nauka w szkołach, obowiązkowa dwujęzyczność urzędników, itp.) z różnych względów: 1° — z uwagi na podkreślenie odrębności narodowej i 2° — z pewną nadzieją na włączenie pakistańskiego pogranicza; propaganda w kierunku stworzenia „Pasztunistanu” z „autonomicznej” prowincji wokół Peszawaru spowodowała w latach 1961-63 silne napięcie w stosunkach z Pakistanem.

Po persku, w odmianie mniej lub bardziej tadżyckiej, mówi się też w północno-zachodniej części kraju — okolice Heratu — i centrum, w górzystym Hazaradżacie; ludność tego ostatniego regionu jest pochodzenia mongolskiego i wyznaje Islam szyicki, w odróżnieniu od sunnickiej większości kraju. Wzdłuż pogra-

nicza sowieckiego mieszkają też Uzbegy, mówiący swym odrębnym językiem, należącym — tak jak turecki — do rodziny urało-atajskiej. Południe kraju — pogranicze irańskiego i pakistańskiego Beludżystanu — zamieszkują Baluce; język ich też należy do grupy irańskiej, do niedawna jednak w ogóle nie był językiem pisanym i ma jeszcze niższy statut społeczny niż paszto, które posiada tradycję literacką sięgającą XVI wieku. Południe Afganistanu i Beludżystan irański i pakistański są pustynne, suche i teren ten należy do najbiedniejszych regionów świata. Niemniej jest to dostęp do Morza Arabskiego; biorąc pod uwagę rosnącą świadomość własnej odrębności u Baluczów i ich rosnący nacisk na rząd Pakistanu (zamieszki, żądania autonomii), rejon ten i w ogóle „sprawa beludżystańska” mają pierwszorzędne znaczenie polityczne. Południowa granica Afganistanu znajduje się w odległości 500 km. od wybrzeża.

Afganistan nie ma w ogóle kolei, a z braku dostępu do morza skazany jest na transport samochodowy i lotniczy via Iran, ZSSR i Pakistan. W okresie powojennej „pokojujowej rywalizacji” w pomocy gospodarczej (i związanych z nią nadziejach politycznych) pomiędzy Rosją a Ameryką Rosjanie zajęli się drogami — w latach 60-tych powstał rodzaj obwodnicy wokół centrum kraju, łączącej najważniejsze miasta: Kabul - Kandahar - Farah - Herat - Mazari Szarif i znów — via tunel pod przełęczą Salang (3.300 m.) — Kabul; już wtedy zwracano uwagę, że szerokość dróg obliczona została na mijanie się człogów. Amerykanie zbudowali ogromne lotnisko pod Kandaharem, które dotychczas nie było w pełni wykorzystywane.

Historia Afganistanu jest jeszcze bardziej zawiła, niż jego sytuacja etnograficzna i lingwistyczna. Od czasów starożytnych terytorium to stanowiło wschodnie kresy imperium irańskiego (wraz z przylegającą od północy Transoksanią, tzn. obecnym Uzbekistanem i Tadżykistanem sowieckim); wraz z Persją stało się ono częścią muzułmańskiego kalifatu, a po jego częściowym rozpadzie w X wieku znów dzieliło burzliwą historię Persji, a na wschodzie także — Indii. Rodzaj przebudzenia afgańskiego nastąpił w XVIII wieku, kiedy to władza polityczna w tych nominalnie perskich prowincjach znalazła się *de facto* w rękach dwóch wielkich afgańskich związków plemiennych: Gilzajów w okolicach Kandaharu i Abdali, w okolicach Heratu. Na początku XVIII wieku Gilzaje podbili nawet na pewien czas Persję, obalając rządzącą tam dynastię Safawidów (tych, którzy wprowadzili w Persji szytyzm). Chaos z tego wynikły wyłonił w Persji rodzaj tamtejszego Napoleona-bandytę Nadir Szacha, który nie tylko pobił na nowo Afganów, lecz doszedł aż do Delhi i zrabował skarbiec Wielkich Mongołów, włącznie ze słynnym „pawim tro-nem” i diamentem Kuh-i Nur (który po licznych dalszych przygodach znalazł się w koronie brytyjskiej). Imperium Nadir Szacha było efemerydą i po jego upadku znów nastąpił ogólny chaos polityczny — stały rys azjatyckiej historii, wyjaśniający zarówno brak stabilizacji na tych terenach, jak i psychologiczne

i gospodarcze tego skutki — z którego to chaosu skorzystały plemiona Abdali: ich przywódca Ahmad Chan utworzył państwo, sięgające aż po Kaszmir i został przez radę plemienną obwołany królem (to właśnie oznacza perskie słowo *szach*), z wdzięczności za co zmienił nazwę plemienia na Durrani (od arabskiego słowa *durr* — „perła”) dla podkreślenia jego znaczenia wśród innych plemion afgańskich. Po jego śmierci w 1773 roku władzę objął jego syn Timur, zapoczątkowując w ten sposób dynastię; stolica państwa znajdowała się początkowo w Kandaharze — Herat jako zbyt bliski terytorialnie, politycznie i kulturalnie Persji nie wchodził w rachubę — lecz za Timura przeniesiona została do Kabulu.

W związku z tym, że podział plemienny do dziś odgrywa w Afganistanie ważną rolę, kilka słów na ten temat. Jest to przeżytek prastarej organizacji rodowej, szczególnie dobrze zachowany wśród Afganów z uwagi na ich częściowo koczowniczy typ gospodarki i silne poczucie tradycji; wśród osiadłych w Afganistanie Tadżyków i innych ludów podziału tego nie ma, w pewnych wypadkach jednak wykształcił się na nowo, przez imitację. Jak wskazują same nazwy plemion (afgańskie *-zai*, „urodzony, potomek” i perskie przymiotnikowe *-i*) są to grupy „krewnych”, wywodzących się od wspólnego przodka (niekiedy sprzed wieków); podział na klany w obrębie plemienia odbywał się na tej samej zasadzie, w miarę powiększania się rodu; do dziś na terenach plemiennych wsie mają charakter osiedli rodzinnych — ufortyfikowana przeważnie grupa domów zamieszkała jest wyłącznie niemal przez ludzi, mających wspólnych dziadków (przy wielo-żeństwie daje to w granicach dwóch pokoleń ok. 200-300 osób). Grupy te do niedawna miały dużą autonomię w sensie prawnym: w sprawach finansowych (np. spadku), roszczeniowych i karnych rozstrzygała *dżirga* — rada starszych klanów danego plemienia. Z braku szczegółowego kodeksu cywilnego i karnego afgańskie prawo opiera się nawet w czasach współczesnych na tego rodzaju rozstrzygnięciach; podstawą ich z jednej strony jest *szari'at* (prawo muzułmańskie, odwołujące się do Koranu), a z drugiej *adat* — „zwyczaj, tradycja”. Zawity system *adat* nosi zbiorową nazwę *pasztunwalaj* — co znaczy mnw. „afgańskość”, czyli kodeks honorowy prawdziwego Afgana. Z uwagi na rozbójniczo-wojowniczy tryb życia w trudnych warunkach materialnych i geograficznych i wspomniany już brak stabilizacji, kwestie męskiego honoru i w ogóle pozycji w oczach innych mają tam znaczenie nie tylko prestiżowe, ale i praktyczne — stąd słynna „honorność” Afganów wraz ze skutkami, przewyższającymi wszystkie tego rodzaju osiągnięcia Sycylijczyków czy Korsykańów. Dlatego sowiecka okupacja zapowiada się nadal krwawo dla obu stron.

Wracając do afgańskiej historii: następcy Timura, również noszący tytuł szacha na wewnętrznym użytku — sąsiedzi określali ich raczej arabskim tytułem *amir* „emir, książę, władca”, o mniej podkreślającym legitymizm władz znaczeniu — mieli jako głów-

ny problem walkę z innymi pretendentami z tej samej rodziny i trzymanie w ryzach innych plemion. Rosja w XIX wieku nie stanowiła jeszcze bezpośredniego zagrożenia — na północy leżały mniej więcej autonomiczne emiraty Buchar i Chiwy, a Persja pod władzą nieudolnych Kadżarów była słaba; jedynym poważniejszym przeciwnikiem zewnętrznym było powstałe na początku owego wieku państwo Sikhów (Pandżab z przyległościami), które następnie szybko dostało się pod władzę brytyjską wraz z resztą Indii.

Na skutek ustawicznej rywalizacji pomiędzy sobą bezpośredni potomkowie Ahmad Szacha utracili z początkiem XIX wieku władzę na rzecz klanu Barakzajów; założyciel tej dynastii (zwanej też: Mohammadzaj), Dost Mohammad, skonsolidował wprawdzie na nowo władzę nad Afganami, lecz utracił wschodnie prowincje — z Peszawarem włącznie — na rzecz Sikhów. Od tego czasu (ok 1830 r.) Afganistan ustalił się w mniej więcej obecnych granicach; szcegółowsze poprawki — linia Duranda, stanowiąca obecną granicę z Pakistanem i granica z perską prowincją Sistan — zostały przeprowadzone ok. 1900 roku.

Faktyczne, a następnie formalne opanowanie Indii przez Anglików spowodowało, że Dost Mohammad i jego następcy dostali się w orbitę polityki wielkomocarstwowej. Angielskie próby osadzenia stałych rezydentów w Afganistanie skończyły się dla nich źle: w 1842 garnizon angielski musiał się wycofać i w drodze powrotnej do Indii został prawie całkowicie zmasakrowany; druga misja po kilkumiesięcznym pobycie w 1879 została zamordowana w Kabulu. W 1880 roku Anglicy, uznając Abdurrahmana, wnuka Dost Mohammada, za emira Afganistanu, zgodzili się *volens volens* nie utrzymywać w tym kraju żadnych stałych przedstawicielstw. Było to równoznaczne z uznaniem jego autonomii i neutralności (której Afganistan w obu wojnach światowych ściśle przestrzegał), ale też pogłębiło izolację, Anglia czuwała bowiem nad tym, by żaden inny kraj nie dobrał się do tego „klucza do Indii”; do końca pierwszej wojny światowej Afganistan był prawie równie niedostępny jak Tybet.

Syn Abdurrahmana, Habibullah Chan (panował 1901-1919) poczynił pewne kroki w kierunku modernizacji kraju w dziedzinie szkolnictwa, budowy dróg i początków przemysłu; za jego czasów wyszła pierwsza gazeta afgańska (po persku). Na początku 1919 roku Habibullah wystąpił do wicekróla Indii z żądaniem uznania przez Konferencję Pokojową w Paryżu pełnej suwerenności Afganistanu. Po jego śmierci (Habibullah został zamordowany w lutym 1919) jego syn Amanullah ogłosił się na własną rękę królem Afganistanu i proklamował pełną suwerenność kraju; Anglicy początkowo zwlekali z uznaniem tego stanu rzeczy i doszło do krótkotrwałej wojny na pograniczu bez wyraźnego rezultatu; pokój podpisany w Rawalpindi 8 sierpnia 1919 uznał niepodległość Afganistanu. Amanullah próbował europeizować kraj nieco na modłę Kemala Paszy i Rezy Szacha, co doprowa-

dziło do wojny domowej i objęcia władzy przez uzurpatora (zwykłego rzezimieszka), który w 1929 na kilka miesięcy opanował Kabul. Amanullah abdykował; uzurpator został pokonany przez oddziały plemienne pod dowództwem Mohammada Nader Chana — kuzyna Amanullaha — który po zwycięstwie został obwołany królem. Jego poczynania modernizatorskie były bardziej umiarkowane; zażywał się głównie organizacją oświaty. Po jego śmierci w 1933 roku (również został zamordowany) władzę objął jego jedyny syn, Zahir Szach, który panował aż do lipca 1973 — tzn. do zamachu stanu dokonanego przez b. premiera (i krewnego króla) Mohammad Daud Khana. Zamach był bezkrwawy, bo odbył się pod nieobecność Zahir Szacha (był w tym czasie we Włoszech, gdzie przebywa też rodzina Amanullaha). Afganistan został ogłoszony republiką, z Daudem jako prezydentem.

Można powątpiewać, czy Daud — znany jeszcze w czasach monarchii z nastawienia dość prosowieckiego — był istotnie człowiekiem Moskwy; raczej przypuszczać można, że jego zamach stanu był zwykłym w tych stronach przechwyceniem władzy, a zniesienie monarchii w wygodny sposób usuwało w cień sprawę jej legitymizmu. Monarchia afgańska od czasów pierwszej konstytucji w 1931 roku była konstytucyjną *de iure* (choć dwuizbowy parlament pochodził częściowo z mianowania, a partie nie istniały), a od 1964 roku *de facto* — nowa konstytucja, zatwierdzona przez wszystkich szefów plemion i notabli, istotnie wprowadzała trójpodział władzy i odsuwała od bezpośrednich rządów rodzinę królewską. Zahir Szach nie był tyranem, raczej zarzucano mu miękkość i usuwanie się w cień; kraj był oczywiście daleki od prawdziwej demokracji, ale rządził się zgodnie z tradycją metodami feodalno-oligarchicznymi. W latach 60-tych zrobił spore postępy w zakresie gospodarczym i politycznym; nieformalne grupy, skupione wokół dość niezależnych gazet, zastępowały i przygotowywały system wielopartyjny. Przekształcenie Afganistanu w republikę w 1973 roku nie zmieniło wiele w systemie rządów i kraj pozornie kontynuował swą politykę neutralności i utrzymywania równowagi wpływów, biorąc pomoc gospodarczą w miarę możliwości od wszystkich. W tym miejscu jednak kończy się historia, a zaczyna polityka, tzn. także brak pewnych źródeł. Wiele spraw ukrytych jest za kulisami i niewątpliwie do nich należy przygotowanie komunistycznego zamachu stanu Nur Mohammeda Tarakiego i jego (?) partii *Khalq* („Lud”) w kwietniu 1978 roku. W inspirację, pomoc i zaplanowanie wszystkiego przez Moskwę trudno wątpić, zwłaszcza, że w ogólnych zarysach powtórzył się tu dwu-etapowy wariant czechosłowacki z okresu Benesz-Gottwald: cisza, spokój, „dobrosąsiedzkie stosunki” i próżnia polityczna (od strony Zachodu), po czym trach i przechodzimy do naprawdę poważnych spraw. Głupota Tarakiego, który zraził sobie natychmiast cały kraj nierealistycznymi reformami i szeroko afiszowanym ateizmem (wśród 99 % Muzułmanów!), a jako ukoronowanie tego pozwolił się zastrzelić przez swą prawą rękę Amina — jak się zdaje, zwy-

czajnego oprycha, rwącego się do władzy — musiała i Rosjan doprowadzać do rozpacz. Bez interwencji wojskowej Afganistan byłby niewątpliwie stracony dla „sprawy” w ciągu kilku następnych miesięcy — na lata i to długie. Z punktu widzenia logiki imperializmu Rosja nie miała wyjścia i wkroczyła. Przypuszczam osobiście, że z ciężkim sercem, bo oznacza to nie tylko straty w zbożu i ewentualnie Olimpiadzie, ale — przede wszystkim — z racji przebudzenia Zachodu (w jakim stopniu i na jak długo, czas pokaże). Mając lepszych ludzi w Kabulu, Moskwa osiągnęłaby to samo, nieco później i bez hałasu. „To” — to znaczy: oskrzydlenie Iranu (na co komu Pakistan, z wyjątkiem Beludżystanu?!), pola naftowe w odległości spacerku (2 dni drogi czołgami, godzinę samolotem) i cieśninę Hormuz w jeszcze mniejszej odległości. No, ale stało się — z hałasem, ale osiągnęła i nie puści. W 1919 roku Trocki w rewolucyjnym uniesieniu zawołał: „Droga do Paryża wiedzie przez Kalkutę!”. Ideologicznie dojrzałsi towarzysze w 60 lat później skorygowali go: „nie — przez Kabul!”. *Qui sait?*

M. BRONSKI

## Czy metamorfoza Cartera?

„Amerykanie gotowi są używać mniej benzyny do samochodów, byle by nie zmuszać młodzieży amerykańskiej, by walczyła o zabezpieczenie dostaw ropy z Zatoki Perskiej”.

Tych słów użył senator Edward Kennedy, główny demokratyczny oponent Cartera w czasie swego programowego przemówienia, wygłoszonego w Georgetown University 28 lutego 1980 roku. Z cytowanych przeze mnie słów Senatora wynikało niezbitcie, że najprostszym i najpraktyczniejszym rozwiązaniem spiętrzących się problemów w polityce zagranicznej jest ograniczenie zużycia paliw płynnych, co pozwoli Stanom na wycofanie się z naftowej strefy bliskowschodniej.

Ten sielankowy punkt widzenia Kennedy'ego oznacza oczywiście fakt, że niebezpieczeństwo zagrożenia ze strony ZSSR wynika nie z pragnienia Sowietów podporządkowania sobie świata, ale z nadmiernego zapotrzebowania energetycznego Stanów. Gdy Ameryka zdecyduje się ograniczyć zużycie ropy, powróci w pełnej chwale *Détente*, a pomiędzy USA i ZSSR otworzy się kraina uśmiechów.

A co z aliantami Ameryki — Europą Zachodnią i Japonią, które, z wyjątkiem Anglii, skazane są prawie wyłącznie na dostawy z krajów arabskich i Persji? Nic. Kto w ogóle powiedział, że Ameryce potrzebni są jacyś alianci, skoro nie będzie stanu zagrożenia? Tego oczywiście Kennedy nie powiedział, ale taka jest logika jego wywodów. — Atak na Afganistan jest nie pierwszym i nie ostatnim aktem gwałtu Sowietów (*abuse*), ale nie oznacza to końca świata — dodał pogodnie Kennedy w rozmowie z dziennikarzami. Zapewne. Nawet chęć panowania Sowietów nad światem — którego Senator nie chce widzieć, nie oznacza wcale jego końca. Przeciwnie, może oznaczać początek innego. Nie nowego bynajmniej, ponieważ wizje tego świata mamy przed oczami od lat. Nic to wszelako Senatora nie peszy. Wierzy bowiem, że walka z „histerią wojenną”, którą wywołał, w jego przekonaniu, Carter utoruje mu, mimo przejściowych trudności, drogę do Białego Domu.

I kto wie czy Edward Kennedy nie ma racji. W kilka dni po jego przemówieniu rozpoczęły się demonstracje i starych i młodych przeciwko rejestracji, którą zapowiedział Carter, a która może (choć nie musi) być zapowiedzią przyszłego poboru wojskowego. Wspomnę tylko o jednej takiej — najbardziej charakterystycznej. „Nie będziemy przelewać krwi za naftę”. Z takimi napisami na transparentach demonstrowała grupa studentów przed Białym Domem w Waszyngtonie. Napis był szokująco wymowny. Z jednej strony bezcenna krew młodzieży, będącej przysłowiowym „kwiatem” Narodu, a z drugiej — paskudna ropa naftowa, instrument dalszego bogacenia się magnatów naftowych i finansjery. Kto widział przelewać krew za takie świństwo?

Nasuwa się pytanie czy młodzi demonstranci mieliby dość cywilnej odwagi, by cyrkulować na Pennsylvania Avenue z innymi napisami? Na przykład takimi: „Nie będziemy przelewać krwi za ojczystą ziemię”? albo: „Nie będziemy nadstawiać karku za prawo do demonstrowania przed Białym Domem, Kongresem, tudzież innymi siedzibami władzy”? Chyba nie. Byłoby to kłopotliwe i żenujące. „Ziemia ojczysta” — brzmi pięknie i wzniosłe, a nafta — odrażająco. Nikt z pisarzy nie opiewał jakie to piękne i pożyteczne rzeczy można tworzyć z ropy naftowej, za to o „ojczyźnie” słyszeliśmy dużo, choć w ostatnich latach coraz mniej. W każdym razie nie pod tą szerokością geograficzną. W dawnych latach „ojczyznę” rzeczywiście nadużywano. Temu nie da się zaprzeczyć. O nafcie zawsze pisano i mówiono, że rządzi światem i że w ogóle śmierdzi. Nie dosłownie, bo rzadko ją kto wahał, ale w przenośni. Tu, z okazji przeciwstawienia „ojczyzny” — „nafcie”, wypadałoby przypomnieć ustęp z wier-

sza Juliana Tuwima „Do prostego człowieka”, którego poeta przestrzegał: „...wiedz, że to bujda, granda zwykła, gdy ci wołają: 'Broń na ramię', że im gdzieś nafta z ziemi sikła i obrodziła dolarami; że im coś w bankach nie sztytuje, że gdzieś zwęszyli kasy pełne lub upatrzyły tłuste szuje cło jakieś grubsze na bawełnę. Różnij karabinem w bruk ulicy! Twoja jest krew, a ich jest nafta! I od stolicy do stolicy zawołaj, broniąc swej krwawicy: „'Bujać — to my, panowie szlachta'”.

Wiersz jest stary, bo pisany w 1929 roku. Szlachty już nie ma. Są tylko kapitaliści, no i naftowi szejkowie, o czym Tuwimowi wówczas się nie śniło. Z bawełną też słabo. Przeważnie sztuczne włókno — więc też nafta. Mimo tej nieco zmienionej scenerii, wydaje się, że gdyby wiersz spopularyzowano teraz w jakimś zgrabnym angielskim przekładzie, spowodowałby w pewnych kołach publiczności ryk entuzjazmu, a Tuwima proklamowano by największym poetą świata, a co więcej prorokiem, który w 1929 roku przewidział, że w pół wieku później amerykański prezydent zacznie przebąkiwać o możliwości poboru wojskowego dla zabezpieczenia dostaw ropy z Zatoki Perskiej. Amerykanie, rzecz jasna, nie znają tego wiersza, ani nie słyszeli o nim. Skądinąd ci, którzy chodzą z transparentami o „nafcie” i „krwi”, nie są wcale takimi ignorantami, żeby nie wiedzieć jakby wyglądała obecnie ich ojczyzna bez ropy naftowej. Są po prostu najzwyklejszymi hipokrytami. Napis: „Nie będziemy przelewać krwi za naftę” jest kryptonimem innego hasła: „Nie zamierzamy ryzykować naszego życia w żadnej publicznej sprawie”. Ale z takimi transparentami nie wyjdą. Brak im cywilnej odwagi, żeby przyznać się do totalnego strachu o ich własne życie.

Na tle rozwielenionej hipokryzji amerykańskiej nie należy się szczególnie dziwić, że w porównaniu z Kennedym wzrosła popularność Cartera. Wystąpienie Cartera, zwłaszcza to najślawniejsze — w sprawie brygady sowieckiej na Kubie, przyczyniło się do powstania neologizmu pod nazwą „carteromowa” z oczywistym odsyłaczem do „dwójmyślenia” z powieści George'a Orwell'a. Oznacza to, że gdy Carter mówi, że coś jest nie do zaakceptowania lub czegoś absolutnie tolerować nie będzie, nie oznacza to koniecznie, że myśli odwrotnie (bo wówczas mielibyśmy łatwy klucz do rozszyfrowania carteromowy), ale że należy do jego słów dodać dużą porcję soli. Gram na pewno nie wystarczy. Specjaliści na Kremlu przypuszczalnie opracowali już klucz do rozszyfrowania mów Prezydenta. Możliwe, że posługują się nawet w tym celu amerykańskim komputerem.

Na Cartera, jak wiadomo, spłynęło kilka tygodni temu objawienie. Po trzech latach niewidzenia — zobaczył. Przejrzał — jak twierdzi — po inwazji sowieckiej Afganistanu. Nie widział Angoli, nie widział Mozambiku, nie widział Południowego Jemenu. Nie zauważył Etiopii, aż nagle doznał olśnienia, że przez cały czas był okłamywany przez przywódców sowieckich. Nie wiadomo jakim dziwnym procesom hibernizacji podlegała jego zdolność percepcji, ale faktem jest, jak powiadają ludzie, że nastąpił w nim przełom i zareagował jak na tego Cartera, którego dotychczas znaliśmy — burzliwie.

Należę do tych, którzy nie wierzą w metamorfozę Prezydenta. Myślę natomiast, że Carter przymierza prawdę, którą głosi ze swej waszyngtońskiej siedziby, do nastrojów publiczności. Dlatego podejrzewam, że po-afgańskie przebudzenie nie było owocem rozmowy z Breżniewem, ale zakamuflowanym echem opinii publicznej w wyniku dwóch wydarzeń: przede wszystkim i głównie kryzysu irańskiego, po drugie — inwazji sowieckiej w Afganistanie. Zajęcie dalekiego kraju *per proxy*, przy użyciu dywizji kubańskich stało się już chlebem powszednim Amerykanów, do którego zaczęli zwolna przywykać. To, że w tym wypadku dla umocnienia swej władzy w kraju, w którym wyreżyserowali pierwszy zamach stanu blisko rok temu, Sowiety nie użyły satelickiej Kuby, ale posłużyli się własnymi wojskami, nie mogło być wielkim wstrząsem, bo niby co za różnica jakiej armii używa Moskwa do włączenia nowego terytorium w granice swego imperium? Co innego wydarzenia w Iranie. To było coś nowego. Zaareztowanie całego personelu ambasady amerykańskiej, przy aprobacie oficjalnie uznanego przez USA — rządu republiki islamskiej, stanowiło wypadek bezprecedensowy w długiej historii upokorzeń amerykańskich. Nic więc dziwnego, że poruszył on opinię publiczną. W blisko dwa miesiące później nastąpiła inwazja sowiecka Afganistanu. W tym momencie Carter, który znalazł się u progu kampanii prezydenckiej, doszedł do niezupełnie trafnego wniosku, że amerykańska publiczność ocknęła się z psychicznego bezwładu i oczekuje od Białego Domu i Kongresu radykalnych decyzji i że nawet gotowa jest pójść na ryzyko konfrontacji, o ile Waszyngton zdecyduje się na jakieś drastyczne kroki. Nie było to poprawne rozeznanie nastrojów, ale wrażenie takie mogło powstać. Dlatego Carter zareagował w swym przemówieniu ostro i jak się wydawało z niespotykaną u niego odwagą i stanowczością. Tym razem starając się stworzyć wśród przysłych wyborców wizerunek przywódcy, który nie ogranicza się do retoryki, ale wszczyna akcję, Carter musiał zainicjować konkretne kroki wymierzone przeciw Sowietaom. Niestety, sankcje gospodarcze w postaci embarga na eksport zboża i technologii,

nie dają zbyt wielkich szans skuteczności, bo ani Ameryka nie wierzy zanadto Zachodowi i Japonii, ani Japonia i Zachód — Ameryce, przy czym ten wzajemny brak zaufania ma swoje solidnie uzasadnione racje. Kampanii w sprawie bojkotu Olimpiady w Moskwie nie lekceważę, ale tego rodzaju sankcje nie pozostają w żadnej proporcji do długiej listy sowieckich agresji, ich brutalności wobec własnych obywateli i obcych. Rozumie się, że wszystkie te niezmiernie wątpliwe kroki represyjne Cartera należy popierać, ale nie wiązać z nimi nadmiernych nadziei. Wszelako Carter zapowiedział akcję, wykraczającą poza ekonomiczne sankcje i bojkot igrzysk olimpijskich. W swoim przemówieniu wspominał zupełnie wyraźnie o krokach militarnych — jako jednej z ewentualności w wypadku, gdyby Sowiety w swym marszu w kierunku Oceanu Indyjskiego zaatakowały Pakistan. Ponieważ w kilka dni później wysłał do Pakistanu prof. Brzezińskiego, który publicznie oświadczył przebywającym tam uchodźcom afgańskim, że „ziemia ta wróci do was” — sens owych oświadczeń wydawał się niedwuznaczny. Niestety, wystarczy się tylko chwilę zastanowić nad groźnymi słowami Cartera i jego doradcy do spraw bezpieczeństwa, by dojść do zgoła niewesołych wniosków. Gdyby Sowiety w tej chwili lub w przeciągu najbliższych tygodni czy nawet miesięcy w jakimkolwiek zakątku świata podjęły próbę nowej agresji, Stany Zjednoczone nie dysponowałyby ani rezerwami wojskowymi ani środkami transportu, niezbędnymi do działań kontrofensywnych<sup>1</sup>.

Jak więc należy zrozumieć groźne słowa Cartera?

Odpowiedzi na to pytanie dostarczają nam, między innymi, oficjalne komentarze do oświadczenia Clarka Clifforda, wysłanego z misją do Indii — a raczej dokładniej do Indiry Ghandi. Te ostatnią miał zapewnić, że pomoc wojskowa dla Pakistanu w żadnym wypadku nie grozi Indiom. Przy okazji nadmienił, że atak sowiecki na Pakistan oznacza wojnę. Oświadczenie to

1. Według dosyć zagadkowo brzmiącej dla mnie diagnozy strategicznej, skądinąd bardzo rozsądnego Sekretarza Obrony, Harolda Browna — ZSSR może rozpocząć i prowadzić działania wojenne (na skalę co najmniej afgańską) jednocześnie w trzech punktach kuli ziemskiej. Jeśli chodzi o USA — zdolne są do prowadzenia jednej wojny na jednym teatrze i pół wojny — na drugim. W takiej to właśnie wersji pod tytułem „Strategia jednej i pół wojny” przedstawił czytelnikom aktywa militarne Stanów *New York Times* z dn. 3 lutego br. Krótko mówiąc, ZSSR wyprowadza USA o „półtora wojny”, jeśli chodzi o uzbrojenia, a co najważniejsze — zdolność przerzucenia jednostek wojskowych w promieniu tysięcy kilometrów. Ta ocena Sekretarza Obrony — choć trudna do przełożenia na język zrozumiały dla profanów, wydaje mi się jednak nadmiernie optymistyczna. Osobiście wątpię czy Stany Zjednoczone przy obecnym uzbrojeniu, a co ważniejsze — stanie ducha ludności — zdolne są do prowadzenia nawet „ćwierć wojny”.

najwidoczniej zaniepokoiło do tego stopnia wpływowe koła opinii publicznej, *tak strasznie oburzonej na agresję sowiecką*, że w ciągu kilku godzin Clark Clifford został zdezawuowany zarówno przez Cyrusa Vance'a jak i Sekretarza Obrony, którzy uspokoili publiczność, że sprawa akcji militarnej Stanów nie jest taka prosta; że wymaga komisji senackich, obrad Kongresu itd., itd. Jest rzeczą oczywistą, że prezydent Stanów nie może sam wypowiedzieć wojny, ale istniejące ustawodawstwo daje mu uprawnienia (poza południowo-wschodnią Azją) do prowadzenia działań wojennych w ciągu 60 dni w wypadku, gdyby uznał, że bezpieczeństwo Stanów jest zagrożone. Interpretacja tego co jest, a co nie jest zagrożeniem bezpieczeństwa Stanów pozostaje (jak dotychczas) w jego gestii. Fakt, że Carter upoważnił niezwłocznie Browna i i Vance'a do chluśnięcia oliwą na wzbierającą antysowiecką falę, jest klasycznym przykładem carterowskiej dwójmowy.

Nie musimy jednak pozostawać w sferze oficjalnych oświadczeń i kontrooświadczeń waszyngtońskich dygnitarzy i emisariuszy, żeby uzmysłowić sobie dwutorowy charakter polityki Cartera. Znacznie lepszym przykładem będzie tu działalność agencji ACDA (*Arms Control and Disarmament Agency*). Według informacji tużejszej prasy, a w szczególności artykułu Novaka i Evansa (*New York Post* z dn. 1 lutego br.) agencja ta prowadzi na pełnych obrotach pertraktacje z Sowietami w sprawie całkowitego zakazu prób z bronią nuklearną. O ile negocjacje te doprowadzą do pozytywnych wyników, spowoduje to zahamowanie jakichkolwiek eksperymentów, które są absolutnie nieodzowne dla zmodernizowania sił NATO i budowy XM-ów — ruchomych wyrzutni w Stanach, na których budowę Carter zgodził się po długich wahaniach. Nie podobna również instalować nowych wyrzutni w Europie Zachodniej, przewidzianych w planie modernizacji uzbrojenia zachodnich sojuszników, bez uprzednich podziemnych eksperymentów nuklearnych. Na luksus zrezygnowania z tych eksperymentów mogą sobie pozwolić Sowiety, które wyprzedziły Stany we wszystkich rodzajach broni strategicznych. Natomiast żadną miarą nie może sobie pozwolić na to Europa Zachodnia i Ameryka, jeśli myślą serio o zmniejszeniu dystansu między stanem uzbrojenia ich i sił Paktu Warszawskiego. Działalność wspomnianej komisji, która nie doznała żadnych zahamowań, wzbudza dalsze poważne wątpliwości co do rzeczywistej metamorfozy Prezydenta. Te wszystkie czynniki potęgują obawy wśród europejskich sojuszników Ameryki, którym coraz trudniej jest zidentyfikować Cartera.

Ze swej strony wyraziłem pogląd, że w przemianę Cartera nie wierzę. Sądzę, że Carter nie dopuszcza w ogóle jako realnej możliwości, aby w czyjejkolwiek (to znaczy sowieckiej) głowie

powstał nieprawdopodobny pomysł zaryzykowania wojny. Przekracza to granice wyobraźni człowieka, którego ambicja i los wywindowały w górę, ale który nadal w głębi swego poczciwego serca pozostał prowincjonalnym kaznodzieją.

Historia, wbrew temu, co mówią niektórzy, nie zawsze się powtarza. Zwłaszcza historia konfliktów wojennych. Ale niepodobna nie przywołać tu pamięcią innej postaci. W marcu 1939 roku, gdy Hitler, wbrew solennym obietnicom okupował Słowację, ówczesny premier Wielkiej Brytanii, Neville Chamberlain, oświadczył ze smutkiem i zawodem, że słowom Kanclerza Hitlera niepodobna już dawać wiary. Oto cytata z jego mowy parlamentarnej w końcu marca 1939 roku, w której komentuje okupację pozostałej części, okrojonej po Monachium, Czechosłowacji: „... Czy jest to koniec awanturniczej polityki czy początek nowej? Czy jest to ostatnia inwazja na małe państwo czy też po niej przyjdą następne? Czy nie jest to w istocie krok w kierunku dominowania nad światem przy pomocy siły?”

Chamberlain zadawał pytania, na które Winston Churchill już dawno znał odpowiedź. W wyniku jednak utraty wiary w obietnice Hitlera, Chamberlain, ofiarując wkrótce gwarancje Polsce, pozostał nadal sternikiem imperium brytyjskiego. Ale czy rzeczywiście wierzył w możliwość generalnej rozprawy? Co uczyniła Anglia w dziedzinie przygotowań wojennych od marca 1939 roku do wybuchu wojny? Nic. Co uczyniła od września 1939 do maja 1940 roku w okresie tzw. pozornej wojny? Nic albo prawie nic, ponieważ Chamberlain i rząd francuski w dalszym ciągu wierzyli, że z wojny uda im się jakoś wymanewrować. Dopiero gdy nastąpiła katastrofa, ewakuacja w Dunkierce i gdy nad Anglią zawisło widmo ostatecznej klęski, powołano do władzy Churchilla — człowieka, na którego przestrogi Anglia przez długie lata pozostawała głucha.

Niestety, w tym miejscu analogie historyczne się kończą. Jeśli niektórzy Amerykanie liczą na to, że przyszła wojna da im wystarczający margines czasu, aby zmobilizować siły, tak jak to bywało w przeszłości, to popełniają straszliwy błąd. Wojna, jeśli do niej dojdzie, da takie atuty temu, który ją rozpocznie, że zaatakowany nie będzie miał czasu, by zmobilizować swe siły, rozkręcić maszynę wojenną i przemysł, by ostatecznie zdruzgotać przeciwnika swą przewagą techniczną. To co zdarzyło się w latach, które przysły po Pearl Harbour, dając Ameryce czas, aby odwrócić falę klęsk i doprowadzić do zwycięstwa, może się już więcej nie powtórzyć. Nie tylko dlatego, że ocean nie zabezpiecza już Ameryki, ale dlatego, że Rosjanie nauczyli się z historii wszystkich poprzednich wojen znacznie więcej niż ich przeciw-

nicy. Z tego powodu przystosowali swoją strategię nie do wojen, które były, ale do tych, które rozpoczną, jeśli ich „potencjalni adwersarze” nie dostosują się do ich woli.

Obecna Ameryka rozdzielana jest dwoma potężnymi prądami. Jednym, nawołującym, przy pomocy mniej lub więcej zakamuflowanej mowy, do pogodzenia się z ekspansjonizmem sowieckim, który chce stępić na drodze dalszych koncesji i metod obłaskawiania<sup>2</sup>. I drugim — którego zwolennicy, zdając sobie sprawę z pewnych nieodwracalnych przemian na świecie, nie zaliczają do nich sowieckiego imperium, a co więcej — nie zamierzają akceptować pokoju na każdych warunkach i za wszelką cenę.

Carter znalazł się na przecięciu tych dwóch krzyżujących się wektorów historii. Ponieważ sam nie dokonuje wyboru, ale zgodnie ze swym charakterem politycznego gracza stara się postawić na konia, który ma największe szanse wygranej, z natury rzeczy stał się postacią bladą — niemal bezosobową. Tragedią Ameryki jest nie tylko to, że ma za prezydenta Cartera, ale że człowiek ten jest najwidoczniej skrojony na miarę malejącego ducha tego wielkiego niegdyś narodu. Z tego zapewne powodu Amerykanom wciąż wystarcza ta uboga namiastka przywódcy. Jego wahania, jego groźne gesty bez pokrycia, jego wykrętna mowa, absurdalna tęsknota za *Détente* czyli współzyciem z rekinem, powraca jak malaryczna gorączka, niszcząc resztki żywotności i wolę walki narodu.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 5 lutego 1980 r.

## Korespondencja z Rzymu

### *Apocalypse now?*

Max Bergerre, dziekan „watykanistów”, b. prezes Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej we Włoszech, w swej książce *Six papes, un journaliste* przypomina, że wkrótce po wyborze (1922 r.) Pius XI powiedział: w pierwszym roku pontyfikatu *il faut voir*,

2. Stąd powstała idea dwóch frakcji na Kremlu. Jednej, bardziej podatnej na oferty pokojowe USA. Drugiej — nieobliczalnych ekspansjonistów. Oczywiście, zgodnie z tym założeniem, w interesie Ameryki leży wspieranie tych pierwszych.



w drugim *prevoir*, w trzecim zaś *pourvoir*. Jan Paweł II już w pierwszym roku, a tym bardziej w drugim, nie tylko starał się przewidzieć, lecz i „zadbać” (*pourvoir*), czyli decydować. Czy przewidział, że na przełomie 1979/1980 roku dojdzie do gwałtownego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej i groźby nawrotu nie tylko do „zimnej wojny”, ale i dalszej sowieckiej ekspansji zbrojnej — nie wiemy. Wolno nam jednak zakładać, że zdając sobie sprawę z trudności przewidywania rozwoju wypadków w warunkach ogólnego kryzysu wartości i nasilenia irracjonalnych elementów totalizmu, postanowił przeciwdziałać eskalacji konfliktów międzynarodowych. Udana mediacja papieża w sporze pomiędzy Chile i Argentyną o kanał Beagle stanowiła konkretny przykład i zarazem sprawdzian możliwości pokojowego oddziaływania Stolicy Apostolskiej w zapalnych punktach świata. Stąd zaskakujący rytm pielgrzymek papieskich i wysiłki na rzecz wzmocnienia autorytetu Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Papież trafnie przewidział, że kryzys kapitalistycznego ładu społeczno-gospodarczego, połączony z fiaskiem socjalizmu opartego na prototypie sowieckim, grozi zawieruchą. Trzeba więc śpieszyć się. W tym roku szykują się dalsze podróże papieskie: prawdopodobnie w maju uda się do kilku krajów afrykańskich, w lipcu do Brazylii, na jesieni być może na Filipiny, a kto wie czy nie również do jakiegoś z krajów Europy Zachodniej.

Podczas kiedy na ekranach kin święci wszędzie triumfy amerykański film *Apocalypse now*, Jan Paweł II mówi z przejęciem o groźbie triumfu „koszmaru apokalipsy” w swym orędziu noworocznym, posługując się raportem uczonych o skutkach nuklearnej wojny zamiast przywoływać ewangeliczną wizję apokaliptyczną. I umieszcza tę konkretną, ludzką wizję XX-go wieku w kontekście „bogatej cywilizacji europejskiej dojrzącej pod znakiem chrześcijaństwa”, cywilizacji, która winna być „ocalona łącznie na Zachodzie i na Wschodzie”. Nie jest rzeczą przypadku, że specjalnie wydany modlitewnik na papieską mszę św. w Nowy Rok był zaopatrzonej w barwne reprodukcje ikon z XII i XIII wieków z moskiewskiej katedry Zwiastowania i z XIV i XV wieków z Galerii Tretiakowskiej. Pokój, według papieża, może być zachowany jedynie w oparciu o „siłę prawdy” i wzajemne zaufanie. „Zaufania tego — powiedział papież — nie zdobywa się poprzez przemoc i deklaracje werbalne. Trzeba na nie zasłużyć poprzez gesty i fakty konkretne... Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko nieprawdy”. Papież nazywa rzeczy po imieniu. Przemawiając do korpusu dyplomatycznego mówił z troską o niepokoju jaki wywołują „proliferaacja zbrojeń, ogniska zapalne w Azji, dramatyczna sytuacja w Afganistanie i Iranie”. Papież uważa, że rosnące napięcie międzynarodowe nakłada konieczność „obrony ludów płacących zawsze koszty zaostrzenia się konfliktów”.

Dyplomacja watykańska podjęła sondaż w kierunku ewentualnej mediacji papieskiej. Ewentualne wstępne rokowania pod

auspicjami dyplomacji watykańskiej mają szanse powodzenia niezależnie od tego czy i kiedy dojdzie do rozładowania napięcia w stosunkach bilateralnych USA-ZSSR. Stolica Apostolska może tym samym odegrać twórczą, historyczną rolę w położeniu podwalin nowego ładu międzynarodowego.

### Represje w Czechosłowacji i ZSSR

Jeszcze przed inwazją Afganistanu i deportacją Sacharowa, fala aresztowań w Czechosłowacji, potem w ZSSR, wywołała duże poruszenie w sferach watykańskich. Poszły dyskretne interwencje i publiczne wystąpienia. Nie przeszkodziło to (przeciwnie, pomogło), że w połowie stycznia zjawiła się w Watykanie delegacja z Pragi dla rozmów z abp. L. Poggi z Rady d/s Publ. Kościoła. Wizytę wyznaniowego aparatczyka Hruzy poprzedziło sympozjum zorganizowane pod koniec grudnia przez papieski Uniwersytet Laterański na temat „chrześcijan i dysydencji” w Czechosłowacji. Przewodniczył temu sympozjum kard. Poletti, rzymski wikariusz papieża. Poletti komentował w zagajeniu fragmenty profety Izajasza i poezji Karola Wojtyły, odnosząc się do tej problematyki. Rektor instytutu słowackiego w Rzymie, mons. D. Hrusovsky i rektor papieskiego kolegium czeskiego mons. K. Vrana, mówili o „nieodwracalnym kryzysie ideologii marksistowskiej” i o systemie zorganizowanego kłamstwa, przeciw któremu występują działacze „Karty 77”, „świadcząc przykładem swego życia, że można przeciwstawiać się systemowi, który bez postępowania się kłamstwem nie ostałby się”. 5 lutego Kuria Generalna Jezuitów wydała w Rzymie komunikat, aprobowany przez Sekretariat Stanu, piętnujący prześladowania wierznych w Czechosłowacji. Dokument stwierdza, że rząd praski „nie przestaje łamać układów międzynarodowych o prawach człowieka przy użyciu wszelkich środków... organy policyjne wzmogły akcje przeciw katolikom, wielu z nich cierpi w więzieniach, a od stycznia przygotowuje się nowe procesy przeciw niektórym kapłanom i świeckim”. 6 lutego wicepremier czeski oświadczył błyskawicznie: „Gotowi jesteśmy rozwiązać otwarte kwestie z Watykanem”. Ks. Sergio Mercanzin, wychowanek „Rus-sicum” (które obchodziło niedawno 50-lecie założenia), podpora centrum „Russia Ecumena” w Rzymie, stwierdza w dzienniku katolickim *Avvenire*, że Kościół w Czechosłowacji nie jest niestety Kościołem polskim. Duży odłam kleru i niektórzy biskupi należą do ruchu *Pacem in terris* stanowiącego instrument reżymu, a sędziwy kardynał Tomasek „niestety nie jest przywódcą tak jak Wyszyński”. Całą nadzieję — podkreśla — należy pokładać w bazie. „Wierni bowiem są zbudowani z takiej samej gliny co polscy, są coraz bardziej dynamiczni i odważni, zmuszeni jednak, — tak jak to stwierdzają w liście podpisanym przez 350 osób, zwracać się bezpośrednio do papieża — ponad

głowami hierarchii". W liście tym jest następujący zwrot: „władze naszego kraju chcą wykazać, że stanowimy Kościół bez przyszłości”. Misja czeskiej delegacji państwowej w Watykanie nie dała, jak się wydaje, konkretnych rezultatów. Przedłożono jej postulaty dotyczące obsady wakujących stolic biskupich, uregulowania nieznośnych warunków życia religijnego, uwolnienia skazanych lub aresztowanych kapłanów i świeckich, zaprzestania represji (m.in. za rozpowszechnianie biblii i encykliki „Odkupiciel człowieka”).

Prześladowaniami w Rosji, zajęto się w Watykanie zanim prasa światowa podniosła wrzawę wokół deportacji Sacharowa, lekceważąc wcześniejsze represje skierowane przeciw wierzącym: rosyjskim prawosławnym, członkom seminariów religijnych w Leningradzie i Moskwie (V. Pores, T. Velikanowa, A. Ogorodnikow) i katolikom litewskim. Memoriał w sprawie ofiar seminariów prawosławnych wręczył papieżowi pisarz A. Lewitin-Krasnow. W grudniu wybuchła sprawa aresztowanych prawosławnych działaczy Komitetu Obrony Praw Wierzących (Lev Regelson, kapłani Gleb Jakunin i Dymitry Dudko). Dziennik watykański *Osservatore Romano* skrzętnie rejestrował głosy protestu oraz reakcje w ZSSR. Wśród licznych wystąpień pojawił się pewien osobliwy apel skierowany do papieża by... zatroszczył się o Sacharowa (*Osservatore Romano* nie podało go). Apel wystosowało *Movimento Lavoratori Cristiani*, lewicowy odprysk Akcji Katolickiej, z posłem G. Bersanim, szefem włoskich chadeków w parlamencie europejskim, na czele. Jest rzeczą zrozumiałą kiedy matematyk Igor Szafarewicz, przyjaciel Sacharowa i Igor Kapitanciuk, przyjaciel popa Jakunina i stu innych chrześcijan rosyjskich, zwracają się w tej sprawie do papieża. Kiedy czynią to samo lewicowi włoscy chadecy, zakrawa to nie tylko na czystą demagogię, ale i na kpinię. Wstyd jest tym większy, że ten sam poseł Bersani brał udział w imię „kompromisu historycznego” z komunistami, we wspólnych imprezach z polskimi katolickimi kolaborantami z pseudo-„Znaku”, zwalczającymi tegoż Sacharowa i „dysydentów” zarówno rosyjskich jak i polskich. Tymczasem jednak wybuchł nowy skandal. Czy na zbliżającym się zjeździe krajowym Chrześcijańskiej Demokracji ma przemawiać w imieniu chrześcijan Europy Wschodniej przedstawiciel grupy pseudo-„Znak” (zaproszony przez filokomunistycznych aparatczyków chadeckich), czy filolog rosyjski Evgenij Vagin, b. więzień łagrów i członek zlikwidowanej przez KGB leningradzkiej Unii Chrześcijańsko-Społecznej (której założyciel, Igor Ogurcov, schorowany, od 5 lat siedzi w łagrze). Kandydaturę Vagina popiera przewodniczący Rady Krajowej Demokratyczno-Chrześcijańskiej Piccoli i grupa młodych posłów, przeciwników „kompromisu historycznego”. Nie wiadomo na czym się to skończy.

Jednocześnie organ jezuitów *Civiltà Cattolica*, pismo uważane za nieoficjalny *porte-parole* Watykanu w sprawach włoskich, wystąpiło z ostrą krytyką chadecji. W artykule wstępnym, aprobo-

wanym przez Sekretariat Stanu, jak podaje *Corriere della Sera*, czytamy m.in.: „Czy Demokracja Chrześcijańska może być jeszcze uważana za stronnictwo o inspiracji chrześcijańskiej? Brak ideałów i złe obyczaje polityczne wywołały niezadowolone i rozczarowane wśród wyborców. Oskarża się ją słusznie, że jest partią, której chodzi wyłącznie o zachowanie władzy, przeżartą przez skandale i nieuczciwość”. Czy można dziwić się że w tym stanie rzeczy Jan Paweł II żywi głęboką nieufność do tego dobranego towarzystwa?

Papież znalazł na razie jednego partnera, z którym może swobodnie poruszać publiczne sprawy włoskie. Jest nim prezydent republiki, Sandro Pertini, niezależny socjalista i demokrat, niezwykle popularny w społeczeństwie, człowiek na wskroś uczciwy i prostolinijny. Rzadkość w skorumpowanym włoskim światku politycznym. Zaprosił go kilka miesięcy temu na obiad i telefonował doń z gratulacjami natychmiast po wysłuchaniu telewizyjnego, noworocznego orędzia prezydenta do narodu. Sekretarz prasowy prezydenta Pertiniego, mój dawny, dobry znajomy, mówi: „Jan Paweł II i Pertini doskonale rozumieją się, mają podobny temperament i wrażliwość na ludzkie potrzeby. W naszej skołatanej Italii stanowią jedyne, solidne punkty odniesienia”.

Rzućmy okiem na specyfikę rzeczywistości Kościoła w Holandii, co spowodowało tak silny rozgłos w świecie. Katolicy (ponad 40%) i protestanci (ok. 38%) współżyją w kraju, w jakim doszło do osmozy kulturalnej, a nawet pewnej asymilacji pomiędzy obu wyznaniem. Kościół utracił jednak w dużej mierze swą tożsamość i zamiast wywierać atrakcyjność na protestantyzm, uległ, odwrotnie, fascynacji mentalnością kalwińską, charakterystyczną dla holenderskich protestantów. Zbyt śmiało i niewyważone praktyki liturgiczne i ekumeniczne, różne innowacje pasterskie, zamiast do prawdziwej odnowy doprowadziły do fermentu wśród dużego odłamu wiernych, a wśród kleru zaczęła szerzyć się anty-rzymska orientacja. (Doszło do polaryzacji stanowisk, rzecznicy zachowania tradycyjnego oblicza katolicyzmu nie dali za wygraną, doszło do zacierania granic pomiędzy sakramentalną funkcją kapłanów a funkcją świeckich „pracowników pasterskich”). Konfesjonały zaczęły znikać na rzecz gremialnej spowiedzi ze zbiorową absolucją. Żonatych księży zatrudniono w pomocniczej pracy parafialnej i jako wykładowców lub asystentów w wyższych szkołach teologicznych. Zostawmy na boku inne, bardziej drastyczne eksperymenty. Dodać trzeba, że polikwidowano tradycyjne seminaria duchowne (z wyjątkiem jednej diecezji), a wychowanie przyszłych kapłanów przerzucono do instytutów lub wydziałów teologicznych. Rezultat: powołania kapłańskie raptownie spadły (jeszcze przed 10 laty kraj ten stanowił rezerwar misjonarski). Z jedyne istniejącego seminarium tradycyjnego wyszła w ciągu ostatnich lat liczba kapłanów równająca się wszystkim w pozostałych sześciu diecezjach.

W obliczu wzrastającego kryzysu wymyślono „konwikty” czyli pośrednie rozwiązanie, gdzie studenci wydziałów i szkół teologicznych mogą otrzymać uzupełniającą formację pasterską i duchowną. Próba ta jak dotąd nie powiodła się — przyznał otwarcie kard. Willebrands na konferencji prasowej — dodając jednak, że trzeba szukać nowych form na wzór seminariów francuskich, gdzie alumni „mogliby czuć się bardziej wolni”.

W tym stanie rzeczy groziła może nie tyle schizma, ile rozkład i utrata przez Kościół oblicza rzymsko-katolickiego. Nie było innego wyjścia jak rozpatrzenie całej sytuacji w obecności papieża i wspólne szukanie środków zaradczych. Inicjatywa zwołania synodu powiodła się. Z konkluzji wynika jasno, że udało się ustalić przesłanki dla jedności episkopalnej i usunąć najgroźniejsze wypaczenia w dziedzinie liturgicznej, katechetycznej, dyscyplinarnej i ekumenicznej. Określono wyraźnie zakres zadań świeckich „pracowników pasterskich”, potwierdzono zasadę celibatu, a specjalna komisja episkopatu ma uregulować sytuację kapłanów żonatych, z tym, że odjęto im prawo wykładowania. Uporzędkowano sprawę wychowania przyszłych kapłanów: utrzymano jako zasadę seminarium o strukturze tradycyjnej z możliwością działania „konwiktów” o charakterze seminaryjnym. Nauczanie, w zależności od warunków lokalnych, może również odbywać się w instytucjach teologicznych uznanych przez Stolicę Apostolską. Postanowiono polepszyć stosunki biskupów z organami Kurii Rzymskiej, przyznając, że występowały w tej dziedzinie „pewne niedokładności i trudności” (z obydwu stron) oraz „nadmierna ostrożność” (ze strony organów watykańskich). Sześć paragrafów konkluzji, dokumentu przegłosowanego, podpisanego przez członków synodu i aprobowanego przez papieża, przywołuje jako punkt odniesienia i nakazuje przestrzeganie uchwał II-go Soboru Watykańskiego. Praktyka bowiem często odbiegała nie tyle od ducha, ile od litery tych uchwał. Kościół w Holandii „odnalazł *la strada maestra* (prawowierną drogę), tzn. Sobór i jego efektywne intencje”. Synod holenderski będzie miał reperkusje także w innych krajach, głównie we Francji i Niemczech, gdzie występują, choć w mniej ostrej formie, analogiczne problemy. Stworzono ważny precedens: jeśli zajdzie konieczność, także inne sytuacje lokalnych Kościołów mogą znaleźć rozwiązanie poprzez „partykularny synod” zwołany w Rzymie.

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 lutego 1980

**Kraj**

## O handlu z Rosją

Zdecydowałem się zabrać w tym jednym jedynym przypadku głos na łamach *Biuletynu Informacyjnego* by uderzyć w pewien zespół mitów, w których żyje nasze społeczeństwo. *Biuletyn* umacnia, moim zdaniem, wiele szkodliwych mitów; oficjalna prasa poprzez bałamutne i rzekome zwalczanie tych mitów — upowszechnia je jeszcze bardziej. Zdaję sobie sprawę, że koła które *B.I.* obsługuje, nie przyjmą wielu moich stwierdzeń i poglądów, ale nie chcę nikogo agitować. Uważam, że najwyższy już czas, by o pewnych sprawach mówić jasno i bez uprzedzeń.

Nasze społeczeństwo od 35 lat jest głęboko przekonane, że Związek Radziecki a tradycyjnie Rosjanie — objadają i rabują nasz kraj. Nasze społeczeństwo jest przekonane, że wiele błędnych czy obłądnych decyzji gospodarczych władze PRL podjęły „na rozkaz Moskwy”. Było to i jest na rękę wszystkim ekipom rządzącym. Nic prostszego jak oczyścić się z zarzutów za nieprzebrane decyzje gospodarcze czy niekonsekwentne ich realizowanie zakazem i nakazem Moskwy. Takie wyjaśnienie działa w sposób niezawodny. Takie wyjaśnienie działa w sposób uniwersalny, bo ma swój historyczny rodowód. Takiej właśnie polityce władz służy stosowane od 35 lat w naszej propagandzie sformułowanie, że „Związek Radziecki nam daje”, lub że te czy inne sukcesy były możliwe, „bo Związek Radziecki dopomógł”.

Prawdą i prawidłowością jest, że nasze obroty handlowe ze Związkiem Radzieckim oscylują w granicach 30 % naszego obrotu handlu zagranicznego ogółem. Możemy się spierać, czy jest to za dużo czy za mało, ale jest to fakt. Moim zdaniem udział handlu zagranicznego w naszym dochodzie narodowym jest stanowczo niewystarczający jak na nasze potrzeby i możliwości, uważam, obecną wymianę handlową ze Związkiem Radzieckim za sta-

nowczo niewystarczającą, czym na pewno oburzę wielu piękno-  
 duchów, którzy naszą niezawisłość narodową uzależniają od zer-  
 wania stosunków handlowych ze Związkiem Radzieckim. Moim  
 zdaniem Związek Radziecki stanowczo za mało nam „daje” jak  
 na nasze potrzeby i o wiele za mało „zabiera” czym wielce krzyw-  
 dzi naszą gospodarkę.

Związek Radziecki nic nam nie dał. Wszystko, co Związek  
 Radziecki dał było zapłacone na zasadach powszechnie w handlu  
 stosowanych. Wszystko, co Związek Radziecki nam zabrał było  
 też zapłacone.

Prawdą jest, i to przede wszystkim wymaga wyjaśnienia, że  
 nie wszystko, co nam Związek Radziecki „dawał” było nam po-  
 trzebne, za wiele rzeczy policzył stanowczo za drogo ale i my,  
 z ręką na sercu mówiąc, nie sprzedawaliśmy wszystkiego pierw-  
 szej jakości a sprzedaliśmy także wiele towarów, które nawet  
 na naszym rynku wewnętrznym nie znajdowały nabywców.

Chciałbym wyjaśnić przede wszystkim pewne sprawy pryn-  
 cypialne, zrozumiałe chyba dla historyków, którzy drukują w  
*Biuletynie*. Jeżeli będą uważali za konieczne opatrzyć to swoim  
 redakcyjnym komentarzem, będzie on na miarę ich wiedzy i do-  
 brej woli.

Handel jest kontynuacją produkcji i integralnie się z nią wiąże,  
 weryfikuje potrzebę produkcji, jej jakość i wielkość.

Każdy obszar geograficzny ma swoje potencjalne możliwości  
 produkcyjne i potrzeby konsumpcyjne bez względu na to, czy  
 jest to wieś, gmina, kraj czy kontynent. Technika wymiany pro-  
 dukcji między gminami a kontynentami jest w zasadzie taka  
 sama.

Jeżeli przyjmiemy, że handel jest kontynuacją produkcji, tech-  
 nicznym zaadresowaniem gotowego wyrobu do konkretnego kon-  
 sumenta to najważniejszą sprawą jest stwierdzenie, w jakiej od-  
 ległości od miejsca produkcji znajduje się jego konsument. Te  
 odległości trzeba mierzyć wielokrotnie i we wszystkich kierun-  
 kach bowiem liczą się też odległości, z jakich będą egzekwowali  
 należności za dostarczony towar. Pół biedy z odległościami, jeżeli  
 nabywca zapłaci mi za towar walutą lub kruszcem w relacji dla  
 mnie korzystnej. Nie każdy jednak nawet z atrakcyjnych nabyw-  
 ców, może mi się wypłacać atrakcyjną dla mnie walutą lub jej  
 towarowym substytutem. Przykładem niech tu będzie słynna  
 transakcja z Irakiem, gdzie za nasze towary otrzymaliśmy dak-  
 tyle pastewne. Sprawa znana w kołach dziennikarskich, bo za  
 jej ujawnienie jeden z wybitnych publicystów w Polskim Radio  
 zapłacił posadą, wyrzucony przez menadżera naszej propagandy

Macieja Szczepańskiego, na rozkaz samego premiera z funkcji...  
 przewodniczącego Rady Zakładowej. Zaprawdę, Kreml nie ma-  
 czał w tym palców.

Przy okazji chciałbym się rozprawić z jednym twardym mitem,  
 gdzie władza i publicyści basują sobie nawzajem w naprawdę  
 złej sprawie. Amok dolarowy w umysłach naszych ekonomis-  
 tów umocniły posłuszna Moskwie władza i rodzimi waluciarze.  
 Dolar, w krajach szanujących walutę, nie uprawiających pewexow-  
 skiej polityki, nie jest banknotem miłym, a czasem wręcz niepo-  
 żądanym. Transakcja w dolarach z krajem, który w danej chwili  
 poddaje represjom dolara nie jest dla nas korzystna. Nie jest  
 to moja ostatnia dygresja antydolarowa, co nie oznacza abym  
 kochał rubla transferowego.

Tak więc rzekoma atrakcyjność niektórych walut nie zniwe-  
 luje atrakcyjności stałej waluty, jaką jest bliskość konsumenta  
 naszych wyrobów i dostawcy surowców potrzebnych dla właści-  
 wego zagospodarowania i najekonomiczniejszego wykorzystania  
 terytorium zamieszkałego przez naszą nację.

Osobiście, jako Polak, chciałbym zamieszkiwać terytorium  
 o klimacie trochę łagodniejszym i mieć z jednej strony sąsiadów  
 o usposobieniu helleńsko-galickim a z drugiej strony sąsiadów  
 o mentalności skandynawskiej znanych z pracowitości, rzetelności  
 i uczciwości.

Niestety, tak jak na klimat, niewielki mamy wpływ na przy-  
 mioty, wady i charakter narodowy naszych sąsiadów. Niektóre  
 możemy łagodzić, inne wykorzystywać, z resztą musimy się go-  
 dzić. Jak każde bytowanie w sąsiedztwie, i to nasze, obecne ma  
 pewne zaszczości historyczne, które rzutują na nasze wzajemne  
 sympatie i antypatie. Czy ten rachunek żalów i pretensji jest  
 wyrównany, czy któraś ze strony ma debet lub superatę — trudno  
 mi oceniać. Nawet gdyby naszej suwerenności strzegły rakiety  
 NATO należałoby z Rosją handlować i to w stopniu większym  
 niż to czynimy jako sojusznicy.

Mam wszelkie podstawy sądzić, że brodaty dyktator Kuby  
 z chwilą obalenia reżymu Batisty nie był takim gorliwym mark-  
 sista, jakim się stał i musiał się stać pod wpływem... Ameryka-  
 nów. Ameryka wobec przewrotu Fidela Castro zareagowała tak,  
 jak reaguje każdy rząd imperialistyczny, nie posiadający w swoim  
 składzie ludzi z wyobraźnią. Z godziny na godzinę wstrzymała  
 dostawy ropy, przecięła łączność telegraficzną i telefoniczną. Zas-  
 tosowała te wszystkie szykany, jakich my możemy zawsze się  
 spodziewać ze strony sąsiada, który w jakiejś nieodpowiedniej  
 chwili nie będzie miał w swoim rządzie ludzi z wyobraźnią. Ro-  
 mantyczny, kubański „Zorro”, autentycznie walczący o wolność

swego kraju, stał się supermarksistą dlatego, że pierwsze tankowce z ropą otrzymał ze Związku Radzieckiego. Gdyby Mao Tse-tung z żyjącym jeszcze Czou En-lajem był równie operatywny jak Chruszczow, to kto wie, czy Fidel nie byłby dziś równie zagorzałym maoistą jakim był jakiś czas Hołdża. Deficytowy pod każdym względem kubański byznes, ekipa Chruszczowa, a następnie Breżniewa zrewaloryzowała sobie na zupełnie innych polach. Dziś każdy z szefów waszyngtońskiej ekipy zapłaciłby wiele, by Fidel tylko zechciał zostać umiarkowanym socjalistą w stylu lizbońskim czy madryckim.

Walory swego terytorium można sprzedawać różnie. Bezwodny Hong-Kong jest dziś potęgą gospodarczą świata, Singapur dyrygentem polityki eksportowej Indonezji i Malazji. Księstwo Lichtenstein jest nie tylko dostarczycielem anegdot dla autorów opretek ale miejscem pisania scenariuszy wielu kryzysów walutowych.

Rozwiązanie hawańskie, kiedy to za pokazywanie zaciśniętej pięści wyciągniętej w stronę Miami otrzymuje się w RWPG wszystko nie jest do powtórzenia w Warszawie. Tu sprawa została rozstrzygnięta w Teheranie i Jałcie. Depesze, że „spokój panuje w Warszawie” potrzebne były nie Stalinowi a Rooseveltovi i Churchillowi, by za ich cenę uzyskać przerzucenie Żukowa spod Zossen pod Mukden. I tylko ci, którzy wytyczne czerpią z piosenki „serce w plecaku” mogą sądzić inaczej.

Podzieleniem się terytorium i strefami wpływów nad Wisłą i Dunajem autorzy Kongresu Wiedeńskiego wynegocjowali sułtanie *status quo*. W Jałcie i Teheranie dwaj nasi zachodni „przyjaciele” wykazali, że to terytorium zupełnie ich nie interesuje, nie lokują na tym terenie żadnych swoich dalekosiężnych planów. Stan ten nie może trwać dłużej niż wiedeńskie *status quo*. Czy uzyskamy zmianę tego statusu głodówkami i awanturkami pod „Hortexem”?!

Każdy Polak, wszystko jedno o londyńskiej czy o moskiewskiej orientacji, czy tylko o orientacji konstancińskiej, anińskiej lub śródborowskiej powinien starać się wykorzystywać walory geograficzno-polityczne swojego kraju i nie liczyć bez końca trupów na polach bitew drugiej wojny światowej, ale żywych konsumentów i producentów, jacy będą zamieszkiwali obszar między Bałtykiem a Morzem Czarnym w roku 2045.

To prawda, że Polska ma fatalne położenie geograficzno-polityczne. Pociężyć się możemy, że o pełną i nieograniczoną suwerenność na równi z nami walczy Islandia i Republika Mauritius. W dobie raket kosmicznych nie ma na globie cichych zakątków.

Wielką zaletą ludzi techniki jest stała gotowość i umiejętność wyciągania pozytywnych wniosków z negatywnych zjawisk. Polityk też musi w swoim zawodzie posługiwać się pewnymi technikami intelektualnymi.

Chciałbym zwrócić uwagę naszym politycznym i ekonomicznym mitomanom na pewne powszechnie znane fakty historyczne.

Dwa obszary geograficzne leżące po obydwóch stronach kanału La Manche rozdierały przez prawie trzysta wieków konflikty między Galami i Celtami, między Sasami a Frankami, poprzez incydenty pod Waterloo aż do Mers-el-Kebir. Konflikty te zrodziły wątki literackie wykorzystywane przez Szekspira, Shawa i Anouilha. Czy w związku z tym rząd pani Thatcher ma wyprowadzić Anglię z EWG?

Ren rozdziela dwa obszary geograficzno-gospodarcze, który jak długo chyba płynnie był świadkiem walk nacji go zamieszkujących o panowanie nad jednym lub drugim brzegiem.. Czy w związku z tym na rogatkach Paryża powinny być zatrzymane wszystkie Mercedesy, a na rogatkach Bonn wszystkie Peugeot?

Tak się składa, że nieszczęsny wódz spod Zielenca był szczęśliwym wodzem pod Saratogą a obrońcą okopów konfederackich dosięgła nieprzyjacielska kula aż pod Savannah i nie była ona wystrzelona z moskiewskiego muszkietu. Czy możemy w związku z tym wystawiać obecnie rachunki trzem rządów z powodu zawijasów historii?

Zdaję sobie sprawę, że moja argumentacja jest prowokująco demagogiczna ale jest też odpowiedzią wszystkim tym przeciwnikom handlu z naszym wschodnim sąsiadem, którzy w sposób równie demagogiczny chcą do rozrachunków za ropę, rudę i statki wsunąć kwit i za Suworowa i za Nowosilcowa, Skafona czy barczo dyskusyjny kwit za Powstanie Warszawskie.

Chciałbym także zauważyć, że negocjatorom Francji i RFN, USA i Wielkiej Brytanii, po odejściu od stołów konferencyjnych nic nie przeszkadza w składaniu wieńców pod pomnikami swoich własnych bohaterów. To są dwa różne rachunki i proszę mnie nie posądzać, że w jakimkolwiek momencie domagając się trzeźwości przy jednym żądałbym moratorium dla drugich. Uważam siebie za tak samo dobrego obywatela i patriotę żądając pełnej jasności w rozrachunkach w przemyśle stoczniowym, jak i prawa składania wieńców na grobach ofiar drugiej wojny światowej, wszystko jedno, gdzie te groby się znajdują.

Podstawą wszelkich prawidłowych kalkulacji ekonomicznych jest wyciąganie pozytywnych wniosków z negatywnych zjawisk. Nikt tego lepiej nie potrafi niż ludzie techniki, od których żada-

my by wyciągali takie wnioski, nawet w sytuacji zagrożenia czy katastrofy. To ludzie techniki wyprowadzili nas z kryzysu w 1956 i 1970 roku a idee polityczne zostały do efektów ich działania dorobione.

Wyciągać pozytywne wnioski!... Polska w zamian za 1.500 kilometrów pływającej od pięciuset lat wschodniej granicy oparła się wreszcie po tysiącletnim bezskutecznym wysiłku o pięćsetkilometrową granicę morską. Tysiąc pięćset kilometrów wysysającego wszystkie siły żywotne frontu obronnego (przedmurze chrześcijaństwa) zamieniliśmy na pięćset kilometrów frontu ofensywnego z dwoma niezmiernie ważnymi węzłami strategicznymi — Szczecin i Gdańsk, a przede wszystkim Gdańsk. Od Gdańska po Murmańsk ten subkontynent zamieszkały przez dwieście milionów ludzi nie ma ani jednego dogodnego portu. Wykorzystanie walorów tego punktu powierzono jednak konserwatorom zabytków i poetom od propagandy. Gdańsk jest argumentem nie do odparcia, we wzajemnym ograniczaniu swojej suwerenności, jakim strona polska może niwelować kolosalną przewagę Związku Radzieckiego.

Dokładnie od 7 listopada 1917 roku dzięki uporczywemu trzymaniu się doktryny o konieczności zwalczania kułaka w oparciu o biedniaka i w sojuszu ze średniakiem i podbudowanej intelektualnie teorii, że intensywna produkcja rolna rodzi kapitalizm, u wschodniego naszego sąsiada powstało dziwne a korzystne dla nas zjawisko — chroniczny niedobór żywności. Ekonomiści, politycy, biologowie i agrotechnicy w głowę zachodzą, jak kraj dysponujący najdłuższym i najszerszym pasem czarnoziemu na półkuli północnej, o gęstości zaludnienia 26 ludzi na kilometr kwadratowy, może być głodny? Nie interesuje mnie odpowiedź, interesują wnioski.

Od dwustu lat pocieszaliśmy się jakże błędną teorią o „koloście na glinianych nogach”. Nigdy ten kolos nie miał glinianych nóg, za mocno stoi na złożach manganu, żyłach złota, jeziorach ropy i liczebnej populacji.

Od 62 lat ten kolos jest wiecznie głodny. Od 20 lat mimo zachwiania równowagi ekologicznej na całej Syberii, mimo herbatki w Glassboro, obiadu we Władystoku i czarnej kawki w Wiedniu Rosji brakuje co rok 30-40 mln. ton zboża a Stany Zjednoczone ten brak uzupełniają. Nie darmo! Most powietrzny ze złotem rosyjskim do Waszyngtonu dwukrotnie uratował dolara, ale... Te czterdzieści milionów ton zboża trzeba gdzieś rozładować. Noworosyjsk i Odessa porty przestarzałe i niesprawne leżą dość daleko od epicentrum rosyjskiego głodu — Tuły, Bobrujska, Moskwy, Murmańsk jeszcze dalej.

Pięknoduchom, którzy nieustannie powołują się na Kartę końcową Konferencji w Helsinkach chciałbym podszepnąć, że żaden z portów zatoki Fińskiej, w tym i Helsinki, ani Zatoka Ryska nie ma wystarczającej głębokości, by przyjąć te 30 mln. ton zboża. Najbliższe tego złaknionego rosyjskiego żołądka leży Gdańsk.

Walog terytorium, jaki znalazł się w naszych rękach po Poczdamie należało właściwie ocenić natychmiast, otrząsnąć się z Jagiellońsko-Wazowskich koncepcji i tworzyć nowe koncepcje, tak na najbliższą przyszłość, jak kto wie, czy nie w perspektywie stuleci.

Dwa kraje — Węgry i Czechosłowacja — jeszcze ściślej włączone w orbitę radzieckiej polityki niż Polska i trzeci kraj — Austria, ekonomiczno-polityczny księżyc krążący na obydwu orbitach, są obszarami bez dostępu do morza.

Na tych samych szerokościach geograficznych co Gdańsk i Szczecin, na obszarze 303 tys. km. kwadratowych mieszka 32,5 miliona producentów i konsumentów o tym samym mniej więcej zaludnieniu na km. kwadratowy i tych samych problemach ustrojowo-ideologicznych. Razem z Polakami prawie 70 milionów, tj. mniej więcej tyle, ile zamieszkuje Wielkorusów między Wołgą a Bugiem.

Wykorzystując walory strategiczno-gospodarcze tego terytorium należy też brać pod uwagę jego zasoby. W południowej części terytorium zamieszkałego przez Polaków, idealnie pośrodku terytorium zamieszkałego przez 70 milionów ludzi, prawie tak samo uzależnionego od innego Ośrodka dyspozycyjnego znajduje się jedno z większych, ale na pewno najbardziej dyspozycyjnych złóż surowców energetycznych na świecie. Wolności nie można mierzyć ilością przedstawień Becketta. Hiszpania dopiero wtedy zaczęła wyzwalać się spod dyktatury faszystowskiej kiedy jej produkcja energii elektrycznej zaczęła się przybliżać do poziomu europejskiego. Nie wiem, co było bardziej decydujące — protesty Dolores Ibarruri czy mrówcza praca technokratów spod znaku *Opus Dei*.

Cały interesujący nas rejon między Odrą, Dunajem a Bugiem ma podobne potrzeby surowcowe i podobną strukturę przemysłu pracującego na eksport.

W o ileż lepszej sytuacji, po układach Teheran-Jahta-Poczdami znajdowała się każda z ekip rządzących w Warszawie niż znalazł się tandem Drucki-Lubecki-Nowosilcow po Kongresie Wiedeńskim. Tamten tandem miał jednak koncepcje techniczno-ekonomiczne, nasze tylko propagandowo-ideologiczne, z tym, że ideologia spełniała zawsze doraźne posługi takim teoriom jak dynamika wzrostu.

Gdyby któraś z ekip warszawskich potrafiła właściwie odczytać na mapie Europy swoje szanse, a możliwości takiego odczytania miała zarówno ekipa Gomułki jak i Gierka, zupełnie inaczej przedstawiałyby się stosunki na linii Warszawa-Moskwa. Inaczej też wyglądałaby nasza gospodarka na progu nieuniknionych wstrząsów.

Należało stale rozbudowywać, nie oglądając się na koszty, potencjał gospodarki morskiej we wszystkich jej dziedzinach działania i oddziaływania. Należało dysponować rezerwami tej gospodarki z dziesięcioletnim co najmniej wyprzedzeniem potrzeb terytorium zamieszkałego łącznie przez 150 mln. ludzi. W działaniach należało te potrzeby wyprzedzić na co najmniej ćwierćwiecze. Przy naszym potencjale energetycznym, gdybyśmy go umieli przewaloryzować na dochód narodowy i argumenty polityczne, nawet najgłupszy lokator Belwederu mógłby się czuć jak król Arabii Saudyjskiej. I naprawdę Rakowski nie musiałby się męczyć przed monitorami telewizji, by nam uzasadnić rolę Polski w świecie. Nie wiem, czy nie za to wywalił go prezes Szczepański.

Niestety trzy kolejne ekipy tak zniewolone zależnością od Rosji, że aż do obrzydliwego zeszmacenia, które trzykrotnie doprowadziły nasz kraj do takiej sytuacji gospodarczej jak obecna, oszukiwały tę Rosję na każdym kroku, mając w oczach tylko dolarowy amok. Serwilizm, w którym tkwi jakieś jądro koncepcji może oburzać, ale serwilizm bez koncepcji jest nie do przyjęcia. Tym bardziej, że nasze techniczno-ekonomiczne możliwości i ich spotęgowanie leżą w interesie Rosji, może nie takich czy innych władców Kremla, ale na pewno w interesie narodu rosyjskiego i to nawet tych jego kół, którym koncepcje Romanowych nie wywietrzały jeszcze z głów. Gdybyśmy te interesy zrozumieli i szli chociaż częściowo po linii ich realizacji inaczej by dziś rosyjski klucz zgrzytał w warszawskim zamku. Trzeba byłoby uważać, by nie wywołać przeciągu na Hradczanach czy na Zamku w Budzie. Tym, którzy litują się nad losem Czechów chciałbym powiedzieć, że klucz do rosyjskiej śruby znajduje się w Hamburgu, przez który przechodzi prawie 100 % eksportu i importu czeskiego do krajów wolnego świata. Nie jest wykluczone, że kolejnym burmistrzem tego portowego miasta zostanie potomek Habsburga a wtedy byśmy mieli już z powrotem trzy czwarte Kongresu Wiedeńskiego w komplecie.

Przed kilkoma dniami otrzymałem relację z rozmów między pierwszym zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania Wirowskim i jego odpowiednikiem w Gosplanie ZSRR A. N. Łała-jancem. Jak mi wiadomo, ton, jakiego używał Łała-janiec był złagodzoną formą kopniaków, jakie otrzymywał w ostatnich ty-

godniach menadżer naszego ekonomicznego upadku Wrzaszczyk. Rozmowy toczyły się w gmachu Gosplanu w Moskwie w dniu 24 września i 1 października br.

W toku tych rozmów strona polska przekazała informacje o zasobach i programie rozwoju Lubelskiego Zagłębia Węglowego a strona radziecka przyjęła ją do wiadomości i będzie z niej korzystała w swych dalszych pracach. W dalszym ciągu strona polska wyraziła zainteresowanie otrzymaniem z ZSRR dodatkowych ilości gazu w latach 1983-1985 w relacji tysięcy metrów sześciennych gazu za dwie tony węgla. Strona radziecka uważa, że problem ten może rozpatrzeć w relacji nie mniejszej niż 2,5 czyli dwie i pół tony węgla za tysięcy metrów sześciennych gazu, z tym że strona radziecka zainteresowana jest tylko węglem grubym o charakterystykach takich samych, jak węgiel obecnie dostarczany.

Jak mi wiadomo, węgiel lubelski nie ma tych charakterystyk. Nie zdradzam tu żadnej tajemnicy, skoro Wirowski na wstępie rozmów przekazał informację o zasobach tego zagłębia. A zresztą strona radziecka doskonale się z nim mogła zapoznać eksploatując Zagłębie Sokalskie odstąpione przez Bieruta Stalinowi w ramach wzajemnych usług w latach pięćdziesiątych.

Strona radziecka mogłaby znaleźć możliwość eksportu gazu w ilościach o połowę mniejszych niż to proponowała strona polska na te lata, z tym, że większa część gazu będzie dostarczana w okresie letnim pod warunkiem, że Polska weźmie udział w budowie gazociągu na terytorium ZSRR. Wirowski oświadczył, że rozpatrzy te propozycje i przekaże swoje stanowisko... ale przekazuje je przecież w parę minut później i to w formie niedopuszczalnej przy tego rodzaju pertraktacjach. A. N. Łała-janiec poinformował o możliwości rozpatrzenia dostaw gazu ponad poziom 1980 roku pod warunkiem budowy gazociągu na zasadach — i w cenach — na jakich pracują przedsiębiorstwa radzieckie, z tym, że strona polska zakupi materiały a ZSRR zapłaci według cennika obowiązującego na rynku radzieckim. To samo dotyczy zarobków pracowników polskich. Ale następnie dodał, że budowę obiektów w zakresie towarów paliwowo-surowcowych rozpatrzy w długofalowych programach współpracy krajów-członków RWPG w tym również PRL.

Na tak, po co mają nam sprzedawać spod lady po cenach komercyjnych i tak ustawimy się po ten gaz w ogonku, i to na miejscu, na którym nas strona radziecka ustawi, bo gdy Wirowski proponuje udział w realizacji budowy gazociągu ZSRR-Europa Zachodnia tranzytem przez nasze terytorium (jeden już taki rurociąg wybudowano, ale „strategicznie” ominięto nasze terytorium) i go-

towy jest uczestniczyć w tej budowie polskimi siłami w celu otrzymania dodatkowych ilości gazu to A.N. Łalajanic oświadcza: „ZSRR nie podjął jeszcze decyzji o budowie takiego gazociągu, a jeżeli podejmie rozpatrzyć propozycję PRL”.

Po tej odmowie Wirowski ofiarował gotowość strony polskiej budowy podziemnych zbiorników ropy naftowej, gazu ziemnego i produktów chemicznych ale strona radziecka wymigała się od takiej propozycji podłożenia nam pod tyłek zbiorników gazu oświadczając, że „współpraca w tej dziedzinie powinna mieć charakter długofalowy”.

Potem rozmowy przybrały dziwny obrót z punktu widzenia protokołu, gdyż strona radziecka podtrzymuje propozycje polskie o budowie rurociągu naftowego z Żabinki do Małaszczewicz z udziałem organizacji budowlanych PRL.

Zanim omówię dalsze punkty tych rozmów chciałbym się zatrzymać na problemie gazu ziemnego i naszej tragicznej w tej dziedzinie sytuacji.

Zaciągając olbrzymie kredyty dolarowe wybudowaliśmy w Polsce potężny przemysł chemiczny oparty na przeróbce gazu: Tarnów, Puławy, Włocławek. Są to kluczowe zakłady o znaczeniu strategicznym (mam na myśli tylko strategię ekonomiczną). Budowa tych zakładów z punktu widzenia potrzeb Polski jest w pełni uzasadniona, bo na świecie chemiczna przeróbka gazu coraz bardziej dystansuje petrochemię. Każdy zorientowany w tych sprawach wiedząc o olbrzymim zaangażowaniu naszych mocy przerobowych i wyposażeniu ich w dolarowy sprzęt w budowie gazociągów i rurociągów na terenie ZSRR widział konsekwentne techniczne działanie. Każdy rozsądny, myślący technik i ekonomista był pewien, że budując te gazociągi zastrzeżenie naszych sił i skredytowanych dolarów na zawołanych stopach byłoby absurdem. Zadłużyliśmy się w tym celu we wszystkich krajach zachodnich po uszy, zmarnowaliśmy sprzęt, którego zabrakło na naszych inwestycjach, wpakowaliśmy się w gazową chemię nie mając zabezpieczonych dostaw gazu.

Talleyrand powiedział Napoleonowi po straceniu księcia d'Enghien, to gorzej niż zbrodnia, to błąd. Ale Francja miała w swej historii wielu Talleyrandów, by poprawiać błędy Napoleonów.

W gardłowej sprawie gazu strona Polska gotowa była zwiększyć dostawy maszyn budowlanych do ZSRR na bazie ciągnika Harvester ale strona radziecka „nie jest zainteresowana zwiększeniem tych dostaw” a jeżeli już to pod warunkiem, że maszyny te będą budowane na bazie nowych modeli ciągnika Harvester.

Tu muszę wtrącić swój komentarz. Chciałem już raz zrobić prasową awanturę o zakup silnika Leyland, na którego zastosowanie aktualnie nie mieliśmy żadnego pomysłu. Dopiero po kilkunastu latach, kiedy się absolutnie zestarzał upychamy go w maszynach górniczych, budowlanych „Waryńskiego” we wrocławskiej „Fadromie”, by znaleźć wreszcie zastosowanie w napoleońskiej iście decyzji zakupu Berlieta. Kazano mi milczeć zamykając mordę argumentem, że przecież kupiliśmy tę licencję by silniki te upychać na radzieckim rynku. Argument ten nie wyszedł ani z kół ówczesnej opozycji, ani by KOR-owcy teraz na niego nie wpadli. Milczałem więc będąc już wtedy przekonany, że uprzedzając potrzeby rosyjskiego rynku możemy wytargować koncesje na innych polach. Gierka z Lleylandem nie udało się.

Na podstawie analiz dostaw Węgry - ZSRR zwracałem uwagę napoleonom naszej motoryzacji na rosnące liczby wywożonych do ZSRR Ikarusów starego typu. Wiadomo mi było, i nie tylko mnie, że istnienie wówczas tej zapyziałej fabryczki podtrzymaliśmy zakupami autobusów jeszcze starszych typów dla Warszawy i Katowic. Sugerowano mi, abym trzymał „mordę w kufe”, bo my kupimy taką licencję plus tylny most do supercieżarówki, że wymieciemy z rosyjskiego rynku i Ikarusa i Skodę. Nawet kiedy chciałem protestować przeciwko zakupowi pudła autobusowego z Lyonu tłumaczono, że Gierek przywiózł rysunek tylnego mostu, na którym nasz Jelcz dojedzie do Władystoku. Teraz widzę wszędzie radzieckie Kamazy na sztajerowskim moście jak ratują naszą „strukturę” transportu a węgierskiego Ikarusa może sobie z okien oglądać Biuro Polityczne w czasie przerwy na papierosa. Jedyłą licencją trafioną w „dziesiątkę” był drogo zapłacony Harvester. Wiem, bo byłem przy tym, jak za każdą sztukę tej maszyny radzieccy inwestorzy gotowi byli w Stalowej Woli zastawić swoją materialistyczną duszę. Myślałem, że Wrzaszczyk kupując w Stanach Zjednoczonych rewelacyjne licencje na przerób kurzego gówna w strawne białko i przerób słomy na pełnowartościową paszę uzupełni portfel licencji Harvestera nowymi modelami. Rozmowy Wirowskiego w Moskwie zgasiły nawet i tę wątłą iskierkę nadziei, jaką jeszcze miałem na racjonalne podtrzymywanie dobrych stosunków z ZSRR. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że dość długo i twardo broniłem tej iskiereki narażając się nawet na zarzut „złego Polaka” czy „pachołka Rosji”. Teraz widzę, że muszę sięgnąć do notatek sprzed 15-20 lat i napisać nowe „O czym wiedziałem”, w sprawie niektórych licencji.

Nie mamy więc gazu dla naszego przemysłu ale Wirowski w Moskwie jeszcze bardziej płaszczył się przed stroną radziecką w sprawie dostaw ropy. Zwrócił się z prośbą o rozpatrzenie moż-



liwości sprzedaży ropy za dolary na co Łałajaniec odpowiedział, że rozpatrzy tę prośbę, jeżeli będzie dysponował zasobami ropy do takiej transakcji. Boże, do czego doszło! Drucki - Lubecki na dwa lata przed Powstaniem Listopadowym czerpiąc tylko z zasobów Królestwa Kongresowego, mając na karku Nowosilcowa, udzielał carowi pożyczki na podtrzymanie rubla. My musimy na Kremlu prosić, żeby chciano z nami handlować za dolary. Zależność naszego kraju od Rosji jest głębsza niż się to KOR-owcom wydaje.

Strona polska prosi w dniu 1 października o rozpatrzenie problemu zwiększenia dostaw ropy w zamian za nasze dostawy maszyn, urządzeń i materiałów zakupionych w krajach kapitalistycznych plus nasza robocizna. Niżej upaść nie można, by usłyszeć, że Związek Radziecki „nie jest zainteresowany organizacją proponowanej współpracy”.

Więc nie dostaniemy ze Związku Radzieckiego ropy i gazu ani za węgiel ani za dolary, ani za robociznę.

Na tym nie kończy się jednak lista prośb, jaką Wirowski zawiązał do Moskwy.

Strona polska z naciskiem podkreśliła konieczność utrzymania tradycyjnych dostaw rudy z Rosji do Polski na poziomie 1980 i prosiła o zwiększenie tych dostaw ponad ten poziom, konieczny dla drugiego etapu Huty Katowice.

Strona radziecka oświadczyła, że rozpatrzy i poinformuje nas o możliwościach i warunkach utrzymania tradycyjnych dostaw rudy.

Problem zwiększenia dostaw, w tym dla drugiego etapu Huty Katowice, może być rozpatrzony tylko w ramach generalnego porozumienia o wielostronnej współpracy.

A na jakim to polu chce Wirowski współpracować z Łałajaniem? Co ma do sprzedania? Proponuje więc rozpatrzyć problem budowy „pod klucz” na terytorium ZSRR zakładów produkcji płyt wiórowych o zdolności po 30 tysięcy metrów i jednego o zdolności 100 tysięcy metrów sześciennych. Łałajaniec oświadcza, że nie jest zainteresowany w budowie zakładów po 30 tysięcy metrów sześciennych, a w sprawie zakładu 100 tysięcy proponuje rozpatrzyć to zagadnienie... po zapoznaniu się z pracą podobnego zakładu... na terytorium Polski.

Czyżby Łałajaniec czytał Sienkiewicza i znał kapitalną replikę Zagłoby, który ofiarował Gustawowi Adolfowi Niderlandy? Sprzedawać Związkowi Radzieckiemu to, czego się nie ma! I jeszcze podstawić się pod sztych stronie radzieckiej, która uważa za konieczne zwrócić uwagę na wady konstrukcyjne urządzeń do produkcji płyt wiórowych w zakładach do 30 tysięcy metrów dostarczonych przez Polskę i prosi Polskę o podjęcie działań w

celu doprowadzenia tych zakładów do projektowanych zdolności ... jeszcze w tej pięciolatce.

1 października do końca tej pięciolatki Wirowski miał tylko 12 tygodni czasu, by uwzględnić jedną jedyną prośbę strony radzieckiej w tych rozmowach.

Wirowski zwrócił się także z prośbą o zapoznanie Polaków z pracami nad turbinami pracującymi na pyle węglowym.

Strona radziecka stwierdziła, że nie prowadzi prac nad wykorzystaniem w energetycznych turbinach produktów spalania twardych rodzajów paliw, czyli węgla.

Ta sprawa cholernie mi śmierdzi. Ktoś tutaj, niestety działający za plecami „strony polskiej” wrabia w gówno i polską i radziecką energetykę.

Jeszcze Gomułka wręczając nagrody państwowe energetykom oświadczył na cały głos a taśma magnetofonowa to zanotowała: „poucinał ręce tym (Polakom), którzy wyciągną je po turbinę 500 megawatów”. Sam to słyszałem. Zapis na ten temat był i jest na ulicy Mysiej najtrwalszy. W królestwie Wrzaszczyka, gdy tylko oficjalnie chciałem podejmować ten problem brutalnie mnie wyrzucano za drzwi. Tam, gdzie polskie wielkie bloki energetyczne mogłyby już dawno zejść z rajzbretów projektantów i tam, gdzie można by je było budować mówi się o nich w konspiracji. Tym dziwniejsze to wszystko, że ja sam osobiście bez pośrednictwa takich patałachów (technicznych) jacy towarzyszyli Wirowskiemu prowadziłem rozmowy ze stroną radziecką i wiem od 12 lat, że nie prowadzi ona prac nad wykorzystywaniem twardej energii w energetyce. I wiem nawet, że ma do strony polskiej pretensje, że my tych prac nie prowadzimy. Czyżby stronę polską i radziecką w tej materii miała pogodzić turbina Brown Boveri, Sulzera lub jakiego US-company. Nie lubię grozić obcinaniem rąk nikomu, ale...

Jesteśmy potęgą jeśli chodzi o zasoby, technologię wydobywania i eksportu aż do dalekiej Japonii „paliw twardej”. Powinniśmy być potęgą w wykorzystywaniu tych paliw w energetyce, tym samym dyktować nie tylko stronie radzieckiej warunki czy będziemy dostarczali energii latem czy zimą i w jakich ilościach. Tymczasem Wirowski prosi rozpaczliwie Związek Radziecki o dodatkowe rozpatrzenie możliwości dostaw z Rosji kompletnych bloków energetycznych o mocy 200 megawatów i to już w latach 1980-1981 (!?) i bloków po 500 megawatów też natychmiast, bo w latach 1981-1982. Czyżbyśmy zaprzepaścili nie tylko to, co zostawił Gomułka, ale to, co zostało nam z Planu Sześcioletniego?!

Polityka jest kontynuowaniem produkcji tylko innymi metodami. Wojna jest kontynuowaniem polityki, tylko innymi sposobami. Belizariusz powiedział, że każda armia baranów dowiedziona przez lwa wygra bitwę z armią lwów dowodzonych przez barana. W autentycznej walce o miejsce w świecie, w walce o niezależność argumenty gospodarcze są co najmniej tak ważne jak argumenty sentymentalne. W tej walce zwyciężać mogą tylko lwy ale nie ma miejsca dla szakali.

Zostaliśmy bez ropy, bez energii elektrycznej, bez rudy żelaznej. Od pięciu lat wmawiają w społeczeństwo ludzie rządzący krajem, że do budowy Huty Katowice zostali zmuszeni przez Związek Radziecki. Osobiście wiem, że to nieprawda i mogę się pod tym podpisać. Wiem, że najbardziej rozwścieczony uchwałą o budowie huty Centrum był Związek Radziecki, bo rządziło to jego własne plany inwestycyjne. Wyciąłowaliśmy od Breżniewa zgodę na zmianę radzieckich planów inwestycyjnych, podobno za obietnicę nadania jej imienia Leonida Breżniewa. Wmawiano nam, że huta ta jest budowana po to, by uniezależnić się od rudy radzieckiej, czego dowodem miała być budowana w Porcie Północnym baza rudy. Budowę bazy rudy przerwano i teraz kłęczymy w Moskwie, by nie dopuściła do wygaszenia wielkich pieców naszego hutnictwa. Okazuje się, że strona radziecka wcale nie jest zainteresowana uzależnieniem Polski od siebie, bo jest pewna teraz, że Polska sama zaproponuje taki stopień zależności, jaki w pełni zadowoli spadkobierców i kontynuatorów polityki Romanowych. Dla Nowosilcowa i jego dworackich rozgrywek Drucki - Lubecki był często mocnym argumentem. Obraz, jaki się rysuje przed nami wskazuje, że mamy samych Nowosilców żrących się między sobą, z których nawet Moskwa nie ma żadnego pożytku. Czy wszyscy jednak są w Rosji zainteresowani byśmy się stali z powrotem krajem „przywłańskim”? Czy przypadkiem polskie możliwości rozciągnięcia nad Europą południowo-wschodnią parasola energetycznego, możliwości udostępnienia mocy przeładunkowych w naszych portach dla wyładunku amerykańskiego zboża nie byłyby dla Rosjan bardziej interesujące niż poprawki w naszej Konstytucji?

Prawdę o stosunkach handlowych PRL - ZSRR, o naszych korzyściach z nich płynących chciałem poruszyć w prasie oficjalnej. Temat ten jest najlepiej obwarowany na ulicy Mysiej. Nikomu widać nie zależy na obaleniu mitu, że ZSRR nam „zabiera” w zamian za to, co daje. Sprawy zaszły już tak daleko, że ZSRR nie chce nawet brać.

Józef KUŚMIEREK

Biuletyn Informacyjny nr 7 (33) (1979 r.).

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

28 grudnia 1979 roku radio kabulskie podało wiadomość, że na podstawie wyroku trybunału rewolucyjnego b. prezydent republiki Amin został stracony. W chwili podawania tej wiadomości pałac prezydencki był już ostrzelany przez czołgi i artylerię, a prezydent Amin zabity razem z czterema żonami i dwoma dziesiątkami dzieci. Nowy prezydent, Babrak Karmal jeszcze wówczas nie wrócił z Moskwy, ale miejsce dla niego było już przygotowane. Tysiące i tysiące żołnierzy sowieckich wraz z ciężkim uzbrojeniem przerzucano gigantycznymi samolotami transportowymi. Most powietrzny — lotniska średnioazjatyckiego okręgu wojennego — Kabul funkcjonował dzień i noc. Wojskowa interwencja sowiecka, największa od czasu wtargnięcia do Czechosłowacji, rozwijała się pomyślnie. Świat patrzył na to z niedowierzaniem i strachem.

Wywołanie strachu przez demonstrację ogromnej potęgi militarnej sowieckiego super-mocarstwa było jednym z jego celów. Strach ten był zrozumiały. Mniej za to zrozumiałe było zdumienie, zmartwienie i rozczarowanie. Interwencja sowiecka w Afganistanie zniweczyła wszystkie poglądy o sowieckiej polityce zagranicznej, które starannie pieścili zachodni działacze państwowi i polityczni. Wszystko przecież było tak jasne i dobre: Breżniew — kochający pokój, stary i chory, marzący wyłącznie o *détente*; w jego otoczeniu znajdują się „jastrzębie”, a więc trzeba mu pomóc, a on przy pomocy zachodnich polityków będzie kontynuował „gołębią” linię.

Nie można powiedzieć, że nie było znaków świadczących o tym, że ta zachodnia koncepcja jest błędna, ale wolano ich nie dostrzegać. Przecież wszystko było jak najbardziej jasne. Zajrzawszy do mego przeglądu prasy, napisanego w maju 1978 roku, bezpośrednio po „kwietniowej rewolucji” w Kabulu, kiedy do władzy doszli komuniści z Taraki na czele, przekonałem się, że przedstawiłem dwa punkty widzenia na ówczesne wydarzenia

w Afganistanie. *New York Times* pisał: „Administracja Cartera pozostaje do tej pory — i najbardziej słusznie — całkowicie spokojna w związku z przewrotem w Afganistanie, gdzie liderzy małej partii komunistycznej przechycili władzę w Kabulu... 10 lat temu jakiegokolwiek komunistyczne zwycięstwo było traktowane jako klęska Ameryki. Większość Amerykanów uważa dzisiaj, że świat jest bardziej skomplikowany”. W tym samym okresie centralny organ KPZS *Prawda* (12.5.1978) podawał: „Istnieje zasadnicza różnica między międzynarodową pomocą świata socjalistycznego, a neokolonialistyczną interwencją Zachodu”. Te cytaty komentowałem (mam nadzieję, że Redaktor *Kultury* nie potraktuje poniższego jako autoreklamy): „Przewrót w Afganistanie jest wydarzeniem szczególnej wagi, gdyż międzynarodowej pomocy będzie można udzielić afgańskim komunistom z niezmierną szybkością — przez wspólną granicę, a mogą jej udzielić sowieccy Tadżycy, Uzbeki, Turkmeni — braciom żyjącym po drugiej stronie tej granicy” (*Kultura*, nr 6/369 z 1978 r.). I wszystko odbyło się dosłownie tak. 14 września 1979 roku sowiecki figurant, prezydent Nur Mohamed Taraki, został obalony przez innego figuranta sowieckiego, Amina. Przy tym Taraki został natychmiast zgładzony, razem z najbliższymi współpracownikami. W końcu grudnia 1979 roku został usunięty Amin, a na jego miejsce postawiony Karmal. Przy pierwszych dwóch prezydentach ilość doradców sowieckich sięgała kilku tysięcy, przy trzecim — dziesiątków tysięcy. W pierwszej połowie lutego bież. roku, kiedy piszę ten przegląd, w Afganistanie znajduje się około 100 tysięcy sowieckiego wojska i tysiące cywilnych doradców, którzy ujęli w swe ręce kierownictwo administracją tego kraju. Zarówno w wojskach okupacyjnych, jak i wśród doradców jest wielu sowieckich Tadżyków, Uzbeków, Turkmenów znających języki, którymi posługują się Afgańczycy. „Związek Sowiecki zamalował mapę Afganistanu czerwoną farbą” — pisał londyński *Sunday Times* z 30.12.1979 r.

Zamalował na czerwono gdyż uważa, że ma prawo. Trudno wyobrazić sobie zaskoczenie i obrazę przywódców sowieckich wobec reakcji Stanów Zjednoczonych i prezydenta Cartera. Nie wiadomo dlaczego Carter wpadł w szal, stanął dęba. Nałożył embargo na wywóz do ZSSR 17 mln. ton zboża, na sprzedaż sprzętu strategicznego i wystąpił z projektem bojkotu Olimpiady w Moskwie. Ten sam Carter, którego osobiście całował w Wiedniu, w czerwcu 1979 roku, Leonid Breżniew.

Przywódcy sowieccy są przez Cartera dotknięci w swych najlepszych uczuciach: Stany Zjednoczone nie zrobiły ani jednego gestu, gdy Związek Sowiecki rozciągał swoją władzę na Angolę, Południowy Jemen, Aden, Etiopię itd. Nie posyłano tam wówczas zmotoryzowanych dywizji, ponieważ nie było potrzeby. Tak jak to przewidywali sowieccy przywódcy Carter wytrzymał wszystkie próby, na które wystawiały go wydarzenia międzynarodowe. Trochę pokrzychał, gdy stało się wiadome, że na Kubie znajduje się brygada wojsk sowieckich, ale potem przeprosił;

nic nie zrobił, gdy w Iranie wzięto amerykańskich dyplomatów jako zakładników. Nie miał więc żadnego prawa obrażać się na Związek Sowiecki, wysyłający 100 tysięcy wojska do Afganistanu, gdyż sowieccy przywódcy byli przekonani, że Carter tak samo dobrze ich rozumie, jak i oni jego.

Znakomity wykład o sowieckiej polityce zagranicznej wygłosił dla Francuzów Georges Marchais po powrocie z Moskwy w styczniu bież. roku. Najbardziej wybitny aktor francuskiego życia politycznego, znakomity demagog, napełniający strachem dziennikarzy robiących z nim wywiady, Marchais przeszedł sam siebie usprawiedliwiając interwencję sowiecką w Afganistanie. Na pytanie: „A więc *détente* oznacza zgodę kapitalizmu na bicie go przez komunizm?” generalny sekretarz KC francuskiej partii odpowiedział, potwierdzając ze wspianą pogardą: „Ma się rozumieć, czy pan tego nie rozumie, *petite tête* (co należałoby przetłumaczyć na język polski — półgłówek)”.

Okupacja Afganistanu zlikwidowała iluzje, na których była oparta polityka Cartera. Amerykański prezydent jakby się przebudził. Oświadczył on, że przez trzy lata niczego nie rozumiał i teraz nagle wszystko pojął.

Świat zachodni budzi się tak nie po raz pierwszy. Ale i dzisiaj nie ma podstaw, aby uważać, że nastąpiło prawdziwe przebudzenie. Przeszło kilka pierwszych dni od chwili sowieckiej interwencji, a zachodni politycy, przede wszystkim europejcy, zaczynają szukać logicznego wytłumaczenia zachowania się Moskwy i jego usprawiedliwienia. Model tych wyjaśnień jest tak stary, jak i władza sowiecka. Pierwsze wyjaśnienie: Breżniew był zmuszony do tej interwencji przez generałów; drugie: przywódcy sowieccy boją się okrażenia, boją się Chin, boją się zainstalowania amerykańskich rakiet w Europie i zachowują się agresywnie, jak dzieci które nie chcą siedzieć same w ciemnym pokoju; trzecie wyjaśnienie — przywódcy sowieccy są spadkobiercami starego rosyjskiego marzenia o ciepłych morzach; czwarte: sowieccy przywódcy boją się wybuchu w muzułmańskich republikach ZSSR i zdecydowali się zdusić ruch antykomunistyczny w Afganistanie. Wszystkie te wyjaśnienia — można by do nich dodać jeszcze z pół tuzina innych — sprowadzają się do jednego: pójść na rękę Moskwie, zaspokoić jej życzenia i zachcianki, w nadziei na zachowanie polityki *détente*, w przekonaniu że tylko ta polityka uratuje świat od wojny. Amerykański pediatra, dr Spock, twierdzi że tylko zaspakajając wszystkie zachcianki dziecka można je wychować na dorosłego człowieka pozbawionego kompleksów. Zachód stosuje system dr. Spocka w swojej polityce wobec Związku Sowieckiego.

Wyjaśnienia przyczyn interwencji sowieckiej w Afganistanie niczego nie wyjaśniają, gdyż błędna jest ich metodologia. Analizując politykę sowiecką zachodni specjaliści wychodzą z założenia, że w Moskwie myślą tak, jak myśli się na Zachodzie. Jeśli na Zachodzie, w kołach kierowniczych, istnieje walka między

„jastrzębami” i „gołębiami”, to taka sama winna istnieć i w Politbiurze. Jeśli na Zachodzie polityk, którego postępowanie napotyka sprzeciw większości, przechodzi na emeryturę, więc i Breżniew — głoszący *détente*, nie mógł zarządzić okupacji Afganistanu. Historia pokazała jak zmieniali swoją politykę — o 180 stopni w ciągu jednego dnia — Lenin, Stalin, Chruszczow. No, ale kto zagłada do historii, tym bardziej że historycy zachodni fałszują historię sowiecką nie gorzej od samych historyków sowieckich. Nie ulega wątpliwości, że przywódcy sowieccy boją się wszystkiego: kapitalizmu, socjalizmu, lewych, prawych (mniej niż lewych), Żydów i Chińczyków, Amerykanów i Niemców. Jedynym sposobem wyleczenia ich radykalnie z tego strachu, jest wyprowadzenie Związku Sowieckiego z wrogiego okrażenia: pozwolenie mu na opanowanie całego świata. Tłumaczenie sprowadzające politykę Moskwy do przedłużenia polityki Piotra I i Aleksandra III jest dla zachodnich polityków bardzo pocieszające. Komunistyczny Związek Sowiecki przekształca się w znaną im imperialistyczną Rosję, podobną do innych krajów kapitalistycznych w tamtych czasach: wszyscy byliśmy tacy sami, zapóźniona Rosja trochę się zatrzymała, ale rozszerzy jeszcze z lekka swoje granice i uspokoi się. Nie ma zatem powodu do paniki. Interwencja w Afganistanie rozprawiła się w sposób przekonujący z legendą o „rozpadzie imperium” na skutek buntu republik muzułmańskich. W pierwszym rzucie wojsk sowieckich, które wkroczyły do Afganistanu, znaczną część żołnierzy stanowili mieszkańcy muzułmańskich republik sowieckich. Z nich rekrutuje się obecna administracja Afganistanu, ich właśnie wysłała się jako doradców przy wszystkich ministerstwach i zarządach prowincjonalnych. Oprócz tego czy byłoby logiczne, by Moskwa — obawiając się swoich republik muzułmańskich — powiększała liczbę sowieckich muzułmanów o 15 milionów zbuntowanych Afgańczyków.

Głównym błędem wszystkich zachodnich rozważań na temat przyczyn i skutków sowieckiej polityki zagranicznej jest szukanie w niej logiki, i głębokiego planowania strategicznego. W takim wypadku wszystko staje się zagadkowe: dlaczego wtargnięto do Afganistanu, dlaczego na partyzantów, uzbrojonych tylko w karabiny, rzucono 100-tysięczną armię, wyposażoną w najbardziej nowoczesną broń, dlaczego pozwolono zagranicznym korespondentom fotografować w Kabulu tę armadę?

Polityka sowiecka staje się zrozumiała jedynie w wypadku, jeśli pojmie się, że jest irracjonalna. Jest w niej sens, ale jest to racja drapieżnego zwierza, które wychodzi na polowanie. Jego strategia — coś pożreć. Jego taktyka — znaleźć stworzenia od siebie słabsze. Politykę sowiecką można porównać z rakowatą komórką: rozszerza się, niszcząc wszystkie zdrowe komórki, które nie stawiają oporu.

Irracjonalność polityki sowieckiej polega na tym, że rozrastające się imperium nie przynosi Moskwie żadnych realnych ko-

rzyści. Racjonalne, kolonizatorskie państwa imperialistyczne — w tym i dawna carska Rosja — zagarniały cudze terytoria, aby uzyskać dla siebie — terytorium, ludność do eksploatawania, potrzebne surowce. Mieszkańcy metropolii sowieckiej nie tylko nie zaczęli żyć lepiej, ale żyją o wiele gorzej po zwycięstwach na Kubie, w Angoli itp. itd. Po wtargnięciu do Afganistanu ich sytuacja jeszcze bardziej się pogarsza. Tym niemniej rakowaty nowotwór dalej się rozrasta. Sowieccy przywódcy mają tylko jedną satysfakcję — stają się coraz silniejsi. Nie mogą się już zatrzymać, gdyż nie napotykać na opór.

Szachowe zadania są normalnie zaopatrzone wskazówką: białe zaczynają i wygrywają. Historię polityki międzynarodowej ostatniego ćwierćwiecza można by zatytułować: „Czerwoni zaczynają i wygrywają”.

Irracjonalność sowieckiej polityki bynajmniej nie oznacza, że nie ma w niej zupełnie sensu. Wtargnięcie do Afganistanu przyniosło natychmiastową korzyść sowieckiemu kierownictwu i z ich punktu widzenia dało poważne rezultaty. Pierwszy z nich to: katastrofalna sytuacja gospodarza kraju może być tłumaczona intrygami amerykańskich i chińskich imperialistów; wzmoczenie terroru, które nastąpiło jeszcze przed Afganistanem, i którego najbardziej jaskrawym i demonstracyjnym przejawem było zesłanie Andrieja Sacharowa, stanie się częścią kampanii „zabezpieczenia tyłów”; generałowie sowieccy, którzy faktycznie od czasów wojny z Niemcami prochu nie wężali, mają okazję skontrolować przygotowanie żołnierzy, wypróbować nową broń; demonstracja siły zmusi Europę do zastanowienia się, a także wszystkich bliższych i dalszych sąsiadów ZSSR — od Iranu i Jugosławii do Pakistanu i Indii. Zmusi do zastanowienia się także Chiny i Stany Zjednoczone.

Marszałek Breżniew, anioł pokoju, i ojciec *détente*, bijąc pięścią w stół, oświadczył prezydentowi francuskiego parlamentu Chaban-Delmas: „Niech pan mi wierzy, po rozbiciu chińskich urządzeń atomowych przez nasze rakiety, Amerykanie będą mieli mało czasu by wybrać między chińskim sojusznikiem, a pokojowym współistnieniem”.

Nawet najbardziej pomysłowy autor literatury fantastycznej nie opisałby takiej sceny: pijany władzą generalny sekretarz żąda „pokojowego współistnienia” pod groźbą zniszczenia. Jest to zastosowanie w skali światowej znakomitej formuły sowieckich funkcjonariuszy partyjnych, wychowujących podopiecznych: Nie umiesz — nauczymy, nie zechcesz — zmusimy.

Dla prasy sowieckiej, w związku z interwencją w Afganistanie, nadeszły szczęśliwe dni: otwarto szeroko drzwi dla kłamstwa i nienawiści.

Czytanie korespondencji z Afganistanu jest prawdziwą rozkoszą: „Bezgraniczne dzięki drodzy sowieccy przyjaciele” — to jest wzmianka o spotkaniu z robotnikami afgańskimi; „Razem z narodem” — reportaż z Kabulu; „Wierność dla rewolucji” —

opowiadanie komunistów uwolnionych z więzienia, gdzie byli wtrąceni przez agenta C.I.A. Amina itd., itp. „Ważne posunięcia stoją przed nami” — oświadcza optymistycznie generalny sekretarz KC narodowo-demokratycznej partii Afganistanu, przewodniczący rady rewolucyjnej i premier demokratycznej republiki Afganistanu, Babrak Karmal. Obecny etap rewolucji — mówi — charakteryzuje przede wszystkim zwiększenie „roli partii”. Korespondenci sowieccy w Kabulu donoszą i o innym „ważnym wydarzeniu”. Okazuje się, że dopiero po rewolucji udało się „stworzyć pierwszy rozumowy słownik języka afgańskiego”. Ta wiadomość powinna przekonać sowieckich czytelników, że życie w Afganistanie wróciło do normy. Wszystko jest tak jak w ojczyźnie socjalizmu: „Dysproporcje rozwoju gospodarki narodowej, sztucznie stworzone przez krecią robotę awanturniczej grupy Amina” (*Izwiestia*, 29.1.br.), opracowanie słownika... W lutym br. zaczyna się nieco częściej wspominać w wiadomościach z Afganistanu — zawsze z Kabulu — „basmacze” i „strzelanina”. Ale „dlaczego grzmiały strzały”? pytają korespondenci *Litieraturnoj Gaziety* (6.2.br.) i udzielają odpowiedzi: „Jest to wyłącznie rezultat działalności najemników i agentów zagranicznych wrogów Afganistanu — imperialistycznych kręgów USA i działających zgodnie z nimi pekińskich hegemonistów”.

„Pekińskich hegemonistów” traktuje się ryczałtowo — wszyscy jednakowi. „Imperialistyczne kręgi USA” są bardziej zindywidualizowane. W końcu stycznia br. stało się jasne, że antyamerykańska kampania jest personifikowana i że zostały już wybrane obiekty do ataku. 28.1.br. *Prawda* (w artykule wstępnym) odpowiedziała na raport Cartera o stanie narodu, oskarżając go o dążenie do władzy nad światem. Nie licząc się z kosztami agencja „Nowosti” zakupiła miejsce w paryskim *Le Monde* i zamieściła pełny tekst tego artykułu wstępnego. Propagandyści sowieccy widocznie nie zorientowali się, że po raz pierwszy wstępny artykuł *Prawdy* zostanie opublikowany pod odpowiednim nagłówkiem — *publicité*. 6.2.br. *Litieraturnaja Gazietą* zamieściła ogromny, na całą stronę, list otwarty do prezydenta Jimmy Cartera. Autor tego listu to ulubiony pisarz L. Breżniewa, A. Czakowski, autor niekończącej się powieści pt. „Zwycięstwo”, poświęconej dwóm zwycięzcom drugiej wojny światowej — Stalinowi i Breżniewowi. W podobny sposób od lat 30-tu nie pisano w ZSSR o prezydencie USA, oskarżając go po chamsku *ad personam*. Ostatni raz podobne teksty były publikowane w okresie wojny w Korei, a ich adresatem był prezydent Truman. Wśród przestępstw, o które oskarża się Cartera, a ich ilość jest wielka, od „demonstracyjnego przyjęcia w Białym Domu antysowieckiego kryminalisty Bukowskiego” do ustanowienia „wokół Związku Sowieckiego 386 baz” — jedno jest specjalnie charakterystyczne dla sposobu myślenia sowieckiej propagandy. O embargo na eksport zboża z USA w sowieckiej prasie nie było ani słowa, ani o zakupie żywności w USA. Obecnie A. Czakowski oskarża prezydenta Cartera o chęć „uduszenia władzy sowieckiej kościstą

ręką głodu”, jak to próbowali robić „w zaraniu rewolucji socjalistycznej interwencji i resztki usuniętej oligarchii”, a później Hitler. Dlaczego USA ma obowiązek karmienia swego przeciwnika, dlaczego Związek Sowiecki, dysponujący największą ilością ziemi uprawnej, najbardziej postępowymi metodami gospodarowania — sowchozami i kołchozami, w których pracuje pięć razy więcej ludzi niż w zacofanych Stanach Zjednoczonych — nie może sam siebie wyżywić? Na te pytania Czakowski nie daje odpowiedzi. Zresztą takich pytań on nie stawia. Dla niego najważniejsze jest, że „Afganistan poprosił nas o pomoc, a my nie mogliśmy mu jej odmówić”.

Drugim obiektem napaści, wrogiem numer 2 (po prezydencie USA), jest „szara eminencja” Białego Domu — Zbigniew Brzeziński. Jemu też ta sama *Litieraturnaja Gazietą* z 30.1.br. poświęciła 2/3 strony (niewiele mniej niż Carterowi). Autor artykułu, Gennadij Gierasimow, niezmiernie dumny z tego, że o sobie zna *Zbiga*, nie ograniczając się tylko do listy przestępstw „szarej eminencji”, stara się nakreślić „psychologiczny portret wroga”. Trudno od dziennikarza sowieckiego oczekiwać tego, czego organicznie posiadać nie może, ale Gierasimow wyróżnia się nawet na tle „komentatorów politycznych Agencji Prasowej Nowosti”. Na przykład nie krępuje się wcale przypisać profesorowi Uniwersytetu Harvard, Stanleyowi Hoffmanowi, całkowicie niemożliwego w ustach amerykańskiego profesora rozmawiającego z dziennikarzem stwierdzenia, że jego kolega „gotów prostytuować swój talent dla uzyskania władzy”. Tutaj Gierasimow przedstawia swoje osobiste, a ukryte marzenia. Ciekawe jest natomiast co innego. Informując, że „nasz bohater urodził się w 1928 roku w Warszawie, w rodzinie dyplomaty burżuazyjnej Polski”, sowiecki dziennikarz podaje dalej, że Zbigniew Brzeziński „żywi ślepą nienawiść do Rosji, winnej nawet temu, że w ogóle istnieje”. Wywody Gierasimowa, zakładającego, że właśnie na skutek pouczeń Brzezińskiego „Washington zamiast Afganistan zostawić w spokoju...” zaczął przeszkadzać Związkowi Sowieckiemu, są kategoryczne: Brzeziński nie może „dawać obiektywnych rekomendacji z zakresu polityki zagranicznej swemu prezydentowi”.

Nie należy mniemać, że G. Gierasimow wyraża wyłącznie swoje własne poglądy. Jedna Amerykanka, informuje — „podarowała mi znaczek z napisem *Wypędzimy Brzezińskiego*”. A generalny sekretarz komunistycznej partii w USA, Hall, wręcz oświadczył: „Narody całej kuli ziemskiej, a wśród nich USA, nie mogą spać spokojnie dopóki Brzeziński pozostaje na tak wysokim stanowisku w Washingtonie”.

A Moskwa tak bardzo by chciała, żeby narody na całej kuli ziemskiej, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie, spały spokojnie, kiedy Związek Sowiecki będzie robił swoje.

Adam KRUCZEK

10 lutego 1980 r.

## Centralna organizacja Ukraińców na Zachodzie

Czy Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata jest odpowiedzialnym Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców względnie jego organów wykonawczych? Nie usiłując dać odpowiedzi przedstawimy założenia i działalność organizacji ukraińskiej i na tej podstawie każdy będzie mógł sam znaleźć odpowiedź.

Światowy Kongres Ukraińców Wolnego Świata powstał w 1967 roku i jest federacją centralnych (zborczych) organizacji różnych krajów. Na zjeździe założycielskim uczestniczyli przedstawiciele 230 organizacji wszelkiego rodzaju: religijnych, społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Ustalono iż zjazdy delegatów odbywać się będą co 5 lat i że władzę wykonawczą stanowią prezydium Światowego Kongresu oraz Rady i Komisje. Organem wykonawczym, a więc rzeczywistym, Światowego Kongresu jest Sekretariat. W skład jego wchodzi przedstawiciele najsilniejszych i najbardziej aktywnych organizacji.

Biuro centralne Sekretariatu znajduje się w Toronto podczas gdy w Nowym Jorku funkcjonuje biuro informacyjne koncentrujące prace na odcinku międzynarodowym.

Przewodniczącym Sekretariatu jest obecnie p. Mykoła Plawjuk, reprezentant KUK\*. Korzystając z pobytu w Toronto p. Plawjuka, zamieszkałego obecnie w USA, przybyłego na posiedzenie Sekretariatu, przeprowadziłem z nim wywiad. Rozmowa odbyła się w biurze Sekretariatu, które znajduje się w budynku Ukraińskiej Fundacji Kulturalnej, mieszczącej galerię sztuki ukraińskiej. Aktualnie odbywała się tam wystawa prac znanego rzeźbiarza ukraińskiego Leo Mola, zamieszkałego w Winnipegu, który wykonał ostatnio portret papieża Jana Pawła II.

Rozmówca mój jest bardzo opanowany, ostrożny, waży odpowiedzi, to znów zastrzega się, że to prywatna, poufna opinia, ocena czy informacja. Nie podejmuje polemiki z wypowiedziami jakiejkolwiek grupy ukraińskiej, wchodzącej w skład Światowego Kongresu. Zachowuje postawę nadrzędną. Mówi powoli, nie szczędząc szczegółów, gdy chodzi o różne akcje czy inicjatywy Kongresu.

*Pytanie:* — Światowy Kongres jest niejako centralnym organem politycznym emigracji ukraińskiej, czy wobec tego zechciałby Pan sformułować jego główne zadania?

\* KUK — Kongres — lub Komitet — Ukraińców Kanady.

*Odpowiedź:* — Przede wszystkim pragnę sprostować Pański pogląd odnośnie Światowego Kongresu. A więc nie jest on organem czy też reprezentacją polityczną, ale społeczną i to w najszerszym tego słowa znaczeniu. W naszej organizacji znajdują się członkowie — i to wybitni — różnych stronnictw, ale partie polityczne nie są oficjalnie reprezentowane. Nasza działalność obejmuje oczywiście — siłą faktu — pewne aspekty polityczne, podkreślam jednak, że nie z platformy partyjnej, gdyż nasze zadania są znacznie szersze.

Reprezentujemy i skupiamy w swoim gronie wielką ilość organizacji zbiorowych. Więcej, jesteśmy zbiorczym organem krajowych organizacji zbiorowych a wobec tego koordynacja prac jest niezwykle istotna. Członkami naszych organizacji są przecieź obywatele różnych krajów. Odmienne podejście do pewnych spraw w poszczególnych krajach jest naturalne a to wymaga wypracowania platformy dostatecznie szerokiej z uwzględnieniem owych różnic, względnie usunięcia ich. Naszym głównym zadaniem — i to jest zgodna koncepcja wszystkich — jest poparcie dla narodu ukraińskiego w jego walce o uzyskanie niepodległości i suwerenności.

*P.:* — Przecież to jest jak najbardziej polityczne zadanie?

*O.:* — Tak, ale my nie prowadzimy walki politycznej ani nie wzywamy do zrywów zbrojnych na terytorium Ukrainy. Wspieramy wszelkimi sposobami tę walkę na arenie międzynarodowej. Informujemy przedstawicielstwa i rządy różnych państw zarówno o aktualnej sytuacji naszego narodu pod zaborem sowieckim, oraz dopominamy się o przyznanie narodowi ukraińskiemu należnych mu praw. Powołałiśmy specjalną komisję Obrony Praw Człowieka na czele której stoi senator Juzyk. Komisja ta skrupulatnie rejestruje wszelkie gwałty popełniane na ludności ukraińskiej przez władze sowieckie i podejmuje odpowiednie kroki na arenie międzynarodowej.

*P.:* — Czy ta komisja utrzymuje kontakt z dysydentami?

*O.:* — Myślę że ściślej będzie powiedzieć, że poprzez różne kanały organy Światowego Kongresu, zresztą niektóre organizacje ukraińskie także otrzymują informacje od dysydentów a ci, którzy znaleźli się na Zachodzie — kontaktują się z nami. I tak np. na zjeździe w Nowym Jorku pp. gen. Hryhorenko, Pluszcz i pani Switłyčna byli honorowymi gośćmi i obserwatorami, ale dysydenci nie są członkami Światowego Kongresu.

*P.:* — Czyżby ze względów politycznych — ich platformy niepodległościowej?

*O.:* — Nie wydaje mi się, by odpowiedzią na to pytanie mogłoby

być „tak” lub „nie”. Pan nawiązuje do toczącej się obecnie polemiki w prasie ukraińskiej, gdzie wskazuje się na różnice między koncepcjami państwowymi emigracyjnych partii politycznych a dysydentami. Otóż wydaje mi się ona nawet celowa. Żyjemy w demokratycznym świecie i dobrze jest, gdy publicznie ścierają się poglądy. Osobiście jednak nie sądzę, by różnice dotyczyły zasadniczych spraw, myślę natomiast, że odnoszą się raczej do metody działania. Partie polityczne muszą się różnić między sobą, a więc spory ich są naturalne. Światowy Kongres w tych sporach nie bierze udziału. Nie formułujemy obrazu politycznego przyszłego niepodległego państwa ukraińskiego, jego ustroju, granic itp. Tym zajmują się partie. Wspomniana grupa dysydentów ma niewątpliwie mandat z kraju do występowania w określonych sprawach. Znamienne np., iż otrzymaliśmy niedawno z kraju obszerną petycję (jedenaście stron maszynopisu) podpisaną przez 18 dysydentów, wzywającą i upoważniającą nas do „podjęcia wszelkich kroków dyplomatycznych oraz innych, które okażą się konieczne aby doprowadzić do secesji Ukrainy od tak zwanego Związku Sowieckich Republik Radzieckich i do stworzenia niepodległego państwa ukraińskiego” (cytat z petycji).

*P.: — Jak przedstawia się sytuacja na Ukrainie na podstawie informacji jakimi Pan dysponuje, chodzi mi o ruch dysydencki, jego rozmiar, wpływ itp.?*

*O.: — Ruch dysydencki jest oczywiście liczebnie ograniczony, mam na myśli ilość aktywnych działaczy. Ale świadomość, nazwijmy ją opozycyjną, jest duża i stale wzrasta. Proces ten toczy się już kilkanaście lat. W latach 60-tych niektórzy pisarze ukraińscy po prostu podnosili pewne aspekty narodowe — ściśle na płaszczyźnie legalnej krytyki, republiki komunistycznej. W miarę różnych akcji rusyfikacyjnych, przechodzili oni na pozycje legalnej opozycji, powołując się na odpowiednie artykuły konstytucji, uchwał, itp. A dopiero kiedy na początku następnego dziesięciolecia władze sowieckie przystąpiły do masowych aresztowań, obejmując nimi zarówno legalną opozycję, jak i następne grupy wyraźnie antysowieckie, niepodległościowe — nastąpiło rozszerzenie się opozycji, nastąpiło nasilenie kierunku narodowego. Wiadomo nam, że prześladowania i areszty nie wpływają ani zastraszająco ani hamująco, lecz przeciwnie: miejsca opróżnione przez aresztowanych zapętniają się natychmiast nowymi młodymi ludźmi.*

*P.: — Czy nasilenie tego ruchu, względnie nastrojów, jest równomierne we wszystkich rejonach?*

*O.: — Nie. Centrum intelektualne znajduje się w centralnej części kraju natomiast większa aktywność ujawnia się na za-*

chodnich obszarach, na tych więc, które dopiero po ostatniej wojnie znalazły się pod sowieckim systemem.

Zjawiskiem wysoce dodatnim jest szeroki wachlarz poglądów w tym ruchu narodowo-niepodległościowym na Ukrainie: od zwolenników reform w ramach obecnej rzeczywistości aż do oponentów pełnego oderwania się od ZSSR. Hasło oswobodzenia spod jarzma sowieckiego jest powszechne, jakkolwiek jest ono nieraz różnorodnie formułowane.

*P.: — Czy kler odgrywa rolę w tym ruchu niepodległościowym?*

*O.: — Naturalnie i to bardzo pozytywną. Jak wiadomo ukraiński kler katolicki został zmuszony do przyjęcia prawosławia. Kościół grecko-katolicki został bowiem przez władze sowieckie zlikwidowany podobnie zresztą jak ukraiński Kościół prawosławny. Księża, którzy odmówili przyjęcia prawosławia zostali aresztowani — w tym wszyscy biskupi — i zesłani do łagrów. Dziś można jednak stwierdzić, że mimo tej barbarzyńskiej akcji Kościół nasz istnieje a wraz z nim głęboka wiara. Księża, których przymusowo zamieniono na popów, pozostali bowiem wierni Kościołowi i należycie służyli swojemu ludowi. Wzmocnili oni również wiarę wśród prawosławnych, podnieśli ducha narodowego wśród nich. Wielu bowiem z tych nowych popów znalazło się na obszarach prawosławnych. Prześladowania religijne są dowodem iż religia jest żywa. Odnosi się to zresztą do wszystkich wyznań. Światowy Kongres mobilizuje opinię publiczną w tej sprawie. Złożyliśmy memoriały, ogłosiliśmy ilustrowaną broszurę, organizujemy protesty, itp.*

*P.: — Czy wiadomo Panu o niszczeniu obiektów sakralnych, w tym polskich? Czy podjęto jakieś kroki w tej mierze?*

*O.: — Wystosowaliśmy memoriał m.in. w sprawie najstarszego i najstarszego naszego obiektu sakralnego, tj. Ławry Pieczorskiej, częściowo zniszczonej podczas działań wojennych, oraz w związku z zamianą cerkwi na muzea czy inne świeckie objekty. Protestujemy nie tylko przeciwko prześladowaniu jednego wyznania, ale wszystkich, nie tylko przeciw niszczeniu ukraińskich obiektów sakralnych, ale wszystkich innych. Światowy Kongres po otrzymaniu odpowiednich dokumentarnych danych nie omieszką podjąć akcji w konkretnej sprawie, dotyczącej polskich obiektów sakralnych, znajdujących się na obecnym terytorium sowieckiej Ukrainy.*

*P.: — Jakie są Panów kontakty z polskimi organizacjami społecznymi?*

*O.: — Dobrze, ale niezbyt ściśle. Zapraszamy przedstawicieli polskich na wszystkie wielkie imprezy i zjazdy. I tak np. na ostat-*

nim, w Nowym Jorku, wygłosił piękne przemówienie — z upoważnienia prezesa A. Mazewskiego — prof. Ehrenkreutz. Z naszego ramienia prezes ks. prałat Kusznir witał zjazdy polskie. Sądzę, że współpraca winna być bliższa. Staramy się kontakty te rozszerzać i pogłębiać. Myślę iż jest to istotne, gdyż w wielu krajach osiedlenia sytuacja grupy polskiej jest podobna do ukraińskiej. Ich interesy, jako obywateli danego kraju, są zbieżne. Podobnie my jak grupa polska kładziemy duży nacisk na zachowanie języka, tradycji, identyczności narodowej. Prowadzimy akcję samodzielną, niezależnie, ale chyba każda strona może wiele skorzystać z doświadczenia drugiej. Istnieje wiele płaszczyzn możliwej współpracy, są między nami nie tylko różnice, ale sporo zbieżności i zgodności. Jest czas dialogu.

Pytał Pan poprzednio czy nie ma sprzeczności między moim kierowniczym stanowiskiem w Sekretariacie Światowego Kongresu a godnością w partii politycznej, jak to utrzymują niektóre grupy ukraińskie. Nie widzę żadnej kolizji, gdyż nie wykonuję obecnie żadnych prac partyjnych i nie prowadzę polityki partyjnej w Sekretariacie. Zgodnie ze statutem ustąpię z obecnego stanowiska 1 lipca 1981 roku i wtedy dopiero powrócę do działalności partyjnej.

P.: — Dziękuję za spotkanie i życzę sukcesów.

O.: — Uprzedził mnie Pan, gdyż ja chciałem Panu podziękować za przybycie na rozmowę.

Rozmawiał Benedykt HEYDENKORN

## Jak pomagać dysydyntom?

Często w rozmowach usłyszeć można następującą opinię: „Ruch dysydencki w krajach Europy Wschodniej jest sprawą ważną z punktu widzenia społecznego i kulturalnego. Aby istnieć, ruch ten wymaga zrozumienia ze strony mieszkańców Europy Zachodniej, wymaga ich stałego poparcia. Ale co my, skromni obywatele, możemy dla nich zrobić? Bardzo niewiele, albo w ogóle nic. Być może że rządy, międzynarodowe organizacje, albo na przykład prezydent Carter, który posiada wymienną monetę za więźniów sumienia...”.

Opinia ta nie tylko usprawiedliwia dość wygodną bierność, lecz opiera się na fałszywym wyobrażeniu ruchu dysydenckiego.

Mówi się o kontestacji, opozycji, ruchach podziemnych, konspiracji nawet. O zwolennikach reformizmu czy rewizjonizmu, o próbach liberalizacji i humanizacji socjalizmu (lub marksizmu). Ale te pojęcia pasują raczej do przeszłości, zwłaszcza do lat 50-tych i 60-tych. Dla określenia tego zjawiska, z którym wchodzimy w lata 80-te w całym bloku sowieckim (z Kubą włącznie) — słuszniej byłoby mówić o ruchu obywateli, którzy biorą we własne ręce inicjatywę wzajemnej pomocy.

Ten obywatelski *self-service* różni się od poprzednich form ruchu dysydenckiego swym charakterem jawnym, imiennym, a więc będącym zaprzeczeniem konspiracji. Jego przedstawiciele i główni działacze działają otwarcie: zarówno ich przyjaciele jak policja znają ich nazwiska, adresy, zawody, przeszłość polityczną, życiorysy, poglądy.

Ruch ten nie dąży ani do rozłożenia ani do zreformowania istniejącego systemu. Nie ma na celu opracowania innych, zastępczych programów politycznych lub ideologicznych, ani tym bardziej, modelów społeczeństwa. Nie uprawia żadnej propagandy. Charakter tego ruchu jest więc wyraźnie defensywny.

Defensywny — co nie oznacza: bierny. Ruch ten tworzy — i to jest jego istotą — na swój własny użytek niezależne wspólnoty (*polis*) w obrębie społeczeństwa zablokowanego i zastygłego, tworzy, inaczej mówiąc, niezależne struktury, równoległe do tych, które posiadają oficjalne etykiety, nie mieszając się do nich.

Jeżeli ruch ten przypomina władzom o ich obowiązkach — nie oczekuje, że zostaną one natychmiast wypełnione. Liczy tylko na własne środki we wszystkich najistotniejszych dla swego istnienia sprawach.

Takie ruchy istnieją dziś we wszystkich krajach bloku sowieckiego, najaktywniej występują w Polsce, ZSSR i Czechosłowacji. Ich działalność nie ma nastawienia elitarnego, jest potrzebą sprostania rzeczywistości a nie uciekania od niej.

Dla władzy ruch ten pomnaża przez tysiące samotny i bezbrony obiekt prześladowań. Każdą grupę rozproszoną, zneutralizowaną przez władze natychmiast zastępuje inna, lub dziesiątki innych dając tym dowód ciągłości i żywotności. Zwrócone głównie ku wstępującym pokoleniom grupy te — wśród reżymowego marazmu intelektualnego i moralnego — dostarczają coraz liczniejszej młodzieży sensu istnienia. Każdemu, kto chce sięgnąć po tę możliwość i skorzystać z tej okazji — ofiarowują rozwiązanie alternatywne, tu i teraz. Ofiarowują możliwość wolnego życia w kraju pozbawionym wolności.

Na tym polega wzrastająca popularność ruchów obywatelskiej inicjatywy w bloku sowieckim w epoce Breżniewa. Ruchy te obejmują dużo większą ilość osób, niż można by powierzchownie sądzić. W Polsce na przykład istnieje przeszło trzydzieści czasopism, które osiągnęły niebagatelną sumę ok. 50.000 egzemplarzy nakładu. Każdy numer czytany jest przez kilkanaście,



czasem kilkadziesiąt osób. Istnieje niezależne wydawnictwo, kierowane przez grupę wolnych związków zawodowych. W Czechosłowacji jedno tylko wydawnictwo równoległe — *Edice Petlice* (inne już powstały w kraju) — wypuściło w ciągu pięciu lat około stu pięćdziesięciu pozycji: powieści, zbiory poezji, prace naukowe, itp. — prawda są to książki przepisywane na maszynie, ale ładnie wydane, w starannej okładce, często ozdobione ilustracjami czy reprodukcjami dzieł sztuki „równoległej”. Z pożyteczności i jaką ludzie starają się te książki zdobyć, przepisywać je i posiadać tę wolną literaturę można przypuszczać, że mają one więcej czytelników niż produkcja oficjalna. Należy także zdać sobie sprawę z sumy entuzjastycznych wysiłków jakie towarzyszą innej działalności — tak ważnej społecznie — jaką jest organizacja niezależnych studiów wyższych (w Polsce znana jako „Latający Uniwersytet”, a w Czechosłowacji jako „Seminaria Jana Patoczki”). Te „równoległe” struktury ofiarowują — zwłaszcza młodym — kopalnię możliwości dla samodzielnego działania, a w związku z tym są ucieczką od paraliżującej nudy socjalistycznej codzienności. I dlatego właśnie pozostaną w łonie tych społeczeństw jako fenomen stały.

Ruchy społecznej inicjatywy zarejestrowały już tyle trwałych osiągnięć i dały wystarczający dowód żywotności, aby zapewnić sobie zmianę warty w chwili kiedy ruch jest czasowo osłabiony czy zneutralizowany. Ponadto te zdobycze powstałe wewnątrz bloku sowieckiego zostały już pomnożone dzięki innym ważnym zdobyczom w reszcie świata. Są to ludzie, których wszystkich nie sposób wymienić — więc zacytujmy choćby kilku z nich wybranych przypadkowo z przeciwnych sobie biegunów: Sołżenicyn i Dżilas, Kołakowski i Biermann, Sacharow i Havemann, Patoczka i Grigorenko. Ich zasługą jest ostateczne zdyskredytowanie w ciągu lat siedemdziesiątych „socjalizmu” w sowieckim wydaniu, który nawet w oczach zachodniej lewicy uchodzi odtąd za niesprzedaną tandetę, za gruntownie rozkładający się model organizowania społeczeństwa.

I to jeszcze nie wszystko: dzięki tym samym ludziom i ich uczniom sprawa praw człowieka i obywatela zapaściła głębokie korzenie w stosunkach międzynarodowych. Stosowanie — przynajmniej równoległe — tych praw uważane jest w chwili obecnej jako zasadniczy wkład do pokojowego współżycia narodów i państw. W tym kontekście wysiłek ludzi walczących o te prawa w krajach należących do Paktu Warszawskiego odgrywa niepoślednią rolę usiłując połączyć różne ruchy społecznych inicjatyw, a tym samym je umiędzynarodowić.

Połączenie tych wszystkich czynników spowodowało, że władze w krajach Wschodu patrzą na inicjatywy społeczne czujnym okiem jako na działalność rozkładającą ich władzę na planie wewnętrznym i bardzo szkodliwą na scenie międzynarodowej. Odpowiednie traktowanie tych ruchów nie dało na siebie długo czekać. Dysydenctwo i represje idą w parze prawie tak jak dia-

lektyczny stosunek tezy do antytezy. Im więcej sukcesów i sympatii zyskują w świecie dysydenci tym bardziej okrutne stają się prześladowania. (Na ten temat ukazała się doskonała praca Roberta Sharleta „Dissent and Repression in the Soviet Union and Eastern Europe: changing patterns since Khrushchev”, *International Journal*, Nr 4, 1978. The Canadian Institute of International Affairs, Toronto).

Jak więc mężczyźni i kobiety żyjący w społeczeństwach pluralistycznych i otwartych przyjść mogą tym ruchom ze skuteczną pomocą?

Ruchowi obywatelskiej inicjatywy grozi odcięcie od świata. Oligarchiczna władza robi wszystko, by go odizolować. Tymczasem nie ma tygodnia, by jakaś delegacja z Europy Zachodniej (rządowa, parlamentarna, związkowa, kulturalna, sportowa czy naukowa) nie przyjeżdżała do któregoś z krajów „prawdziwego socjalizmu”. Na Gwiazdkę, na Wielkanoc, w okresie letnich wakacji przyjeżdżają tu tysiące turystów, szczególnie młodzieży, z Francji, Anglii, Niemiec, Skandynawii. Gdyby nawet mała garstka spośród tych gości odwiedziła obrońców praw obywatelskich, dwie, trzy osoby, o podobnych zainteresowaniach i skłonnościach — wszystko jedno, czy chodzić będzie o ekonomię polityczną czy ekologię, o ubezpieczenia społeczne czy o Franza Kafkę — izolacja zostanie przerwana.

Inny przykład: dyskryminacja w miejscach pracy, nielegalne zwolnienia z powodów politycznych są szczególnie perfidną formą prześladowania zwolenników obywatelskiej inicjatywy. Co przeszkadza członkom związków zawodowych jak T.U.C., C.G.T., C.F.D.T. lub innych, w zwróceniu się do związkowego kierownictwa i działaczy, aby protestowali przeciwko tej niedopuszczalnej presji i odbieraniu ludziom środków utrzymania? Co przeszkadza w nawiązaniu kontaktów z wolnymi związkami zawodowymi w Polsce, ZSSR, w Rumunii? W wyciągnięciu praktycznych konsekwencji, jeżeli kontakty te będą utrudniane? Czy nie byłoby to działaniem na rzecz odprężania, gdyby wyborcy składali delegacje parlamentarne i rządowe udające się do Moskwy, Warszawy czy Bukaresztu aby poza oficjalnymi rozmówcami spotykali także przedstawicieli ruchu inicjatywy obywatelskiej?

Istnieje wiele form legalnych kontaktów między obywatelami krajów europejskich, o których wspomina akt końcowy konferencji w Helsinkach z 1975 roku w rozdziale o „Wolnym przepływie osób i informacji”. Nie wszystkie są wykorzystane w odniesieniu do krajów Europy Wschodniej. Często ludzie zatrzymują się przed pierwszą napotkaną przeszkodą, podczas gdy trochę cierpliwości i wytrwałości pozwoliłoby osiągnąć dobre rezultaty. Na przykład znajdując dorywczy pracą jakimś dysydentowi, publikując jego książkę, nabycząc dzieła sztuki nieoficjalnej, załatwiając komuś stypendium.

Niektórzy wyrażają obawę przed zaszkodzeniem dysydenctwu wschodnioeuropejskim poprzez te „kontakty z Zachodem”. Tym-

czasem wielokrotnie stwierdzono w praktyce, że te kontakty właśnie stanowią najskuteczniejszą ochronę przed represjami. Potwierdzają to wszyscy działacze ruchu inicjatywy obywatelskiej: Im więcej rozgłosu i reakcji na Zachodzie wywoływał ich los, im bardziej byli Ośrodkiem zainteresowania osobistości i organizacji zachodnich (szczególnie lewicowych) — tym się czuli bezpieczniej, poza zasięgiem represji. Ten snop światła przerywający ciemność anonimowości, która zawsze urzędowała prześladowców wszelkich czasów — uratował niektórych dysydentów od więzienia, innym przyniósł ulgę w ich codziennych cierpieniach w obozie, innym wreszcie przyniósł możliwość otrzymania emigracyjnego paszportu.

Nasza akcja i nasza pomoc powinny przychodzić natychmiast, a nie po czasie, gdy taka lub inna komórka tego ruchu paralelnego została już dotknięta represjami, a jej członkowie rozproszeni. Kiedy grupa sowieckich pisarzy wydaje wybór niezależnej literatury (jak to miało miejsce w Moskwie), związki pisarzy zachodnich powinny natychmiast przyjąć wydawców do swego grona jako członków honorowych (co będzie ich chronić) a równocześnie powinny przetłumaczyć i wydać na Zachodzie dany wybór (co pomoże do zapoznania się z nim). W momencie, gdy Uniwersytet Latający w Polsce potrzebuje książek, lub jakiegoś francuskiego specjalisty do wygłoszenia odczytu — potrzeby te powinny zostać bezzwłocznie zaspokojone. Gdy muzyki czechosłowackiego *undeground'u* pozbawieni są możliwości nagrywania swych utworów — nie ma powodu dla którego zachodnie kluby amatorów muzyki nie miałyby im pomóc. Jeżeli studenci z Niemiec wschodnich nie mogą podróżować za granicę z powodu braku dewiz — grupy równoległe na Zachodzie (jak widać termin ten i tu znajduje zastosowanie) mogłyby się zatroszczyć o wysłanie im zaproszeń.

Podobne działania wzmocniłyby te równoległe struktury, które już teraz, w krajach zwanych socjalistycznymi, stwarzają możliwość życia godniejszego i bardziej wolnego. Pomogłyby im twórcom i uczestnikom wzmacniając tak ważne dla nich poczucie: że nie są już samotni, że mówi się o nich w świecie, że mają przyjaciół i że pomimo wszystko — solidarność istnieje.

Pavel TIGRID

(Przekład z francuskiego)  
(Le Monde, 19.12.1979)

Pavel Tigrid wybitny publicysta i działacz, jest redaktorem znanego kwartalnika czeskiego *Svedectvi*, wychodzącego w Paryżu. Zamieszczając ten ciekawy i słuszny artykuł nie ze wszystkimi wywodami autora się zgadzamy. Jawność działania opozycji ma wielkie pluse ale również przedstawia duże niebezpieczeństwo. To samo konspiracja. Wydaje się nam słuszne posługiwanie się jednocześnie tymi metodami. Tak samo wydaje się nam niesłuszne podkreślanie defensywności ruchów opozycyjnych. Defensywa nie wystarcza. I nie wszystkie ruchy opozycyjne ją stosują. (Redaktor).

## Kronika niemiecka

W Kilonii odbył się występ gościnny *Teatru Studenckiego „tam”* z Krakowa. Studenci krakowscy zaprezentowali kilonńskiej publiczności psychodramat oparty na tekstach zmarłego przed ośmiu laty młodego poety Rafała Wojaczka. Szczególnie duże wrażenie zrobiły na widzach songi do muzyki Z. Kowalskiego. ■ W Ratuszu poznańskim odbyła się uroczystość podpisania umowy partnerskiej Hanower - Poznań. Nadburmistrz Hanoweru, Herbert Schmalstieg, powiedział przy tej okazji: „Dzień ten przejdzie na trwałe do historii Hanoweru — jako dzień, w którym obydwie nasze miasta uczyniły ważny krok na drodze pojednania między Niemcami a Polakami”. ■ Słynne freski Jörga Ratgeba z Klasztoru Karmelitów we Frankfurcie nad Menem zostaną odrestaurowane przez polskich specjalistów z warszawskiej *Państwowej Pracowni Konserwatorskiej*. Magistrat Frankfurtu wysygnował na ten cel sumę 1,3 mln. marek. ■ W znanej kawiarni *EinStein* w Berlinie Zachodnim odbył się wieczór literacki, w trakcie którego przedstawiono wiersze Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Krzysztofa Karaska, Juliana Kornhausera, Ewy Lipskiej, Barbary Sadowskiej i Adama Zagajewskiego — tylko ten ostatni wziął osobisty udział w spotkaniu. Słowo wstępne wygłosił Peter Raina, wydawca przygotowywanej przez *Oberbaumverlag* antologii poezji polskiej. ■ W *Dniach Malarstwa i Rzeźby* w Bremie wzięła udział liczna grupa artystów, skupionych w gdańskim *Związku Malarzy i Plastyków*; m.in. pokazane zostały prace Berezickiego, Borowskiego, Jackiewicza, Góry, Smolanej i Pietronia. Ponadto w bremeńskich galeriach odbyły się indywidualne wystawy prac Włodzimierza Lejminga, Jerzego Zabłockiego i Jerzego Ostrogorskiego. Była to pierwsza, szeroka prezentacja polskiego malarstwa i rzeźby w Bremie. ■ *Mitteuropäische Handelsbank AG* we Frankfurcie nad Menem podniósł kapitał zakładowy z 12 na 40 mln. marek; 70 % akcji znajduje się w rękach *Banku Handlowego* w Warszawie, 30 % jest własnością *Hessische Landesbank Girozentrale*. ■ We wrześniu ub. roku *Radio Free Europe/Radio Liberty* było zmuszone zaciągnąć wysokooprocentowaną pożyczkę w wysokości 3 mln. dolarów w monachijskiej filii *Deutsche Bank*, by pokryć wydatki do końca roku budżetowego. ■ *Impresje z Polski* — tak była zatytułowana wystawa zdjęć fotograficznych, wykonanych podczas podróży po Polsce przez uczniów gimnazjum *Viktoria Schule* z Darmstadt. Głównym celem podróży, zorganizowanej przez *Aktion Sühnezeichen* (Akcja Pokuty), był teren b. hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Uczniowie z Hesji wykonywali tam prace porządkowe; ich wrażeniom z tego miejsca poświęcona była większość eksponatów. ■ W polskim eksporcie do RFN wzrasta udział przemysłu maszynowego kosztem rolno-spożywczego. Dostawy towarów rolnospożywczych w 1970 roku stanowiły 40 % eksportu, a w 1979 już tylko 16 %, podczas gdy zrealizowane oferty przemysłu elektromaszynowego w tym samym okresie wzrosły z 6 do 22 %. Polskie i zachodniemieckie firmy budują wspólnie fabrykę kwasu siarkowego w Turcji, elektrownie w Grecji i Turcji, fabrykę sody w Algierii oraz fermę kurzą w Iraku. ■ Dyrektor firmy *Carl Heyer GmbH* w Bad Ems przekazał w darze dla *Centrum Zdrowia Dziecka* dwa aparaty inhalacyjne o wartości 10 tys. marek. ■ Maoistowski tygodnik *Rote Fahne* opublikował pełny tekst *Karty Praw Robotniczych* oraz nazwiska sygnatariuszy; *Kartę Praw* ilustrują zdjęcia gdańskich działaczy *Wolnych Związków Zawodowych*: Andrzej Bulca, Anny Walentyńc, Aliny Pienkowskiej i Bogdana Borusewicz. ■ Agenci KGB przesłuchiwali kilkakrotnie Borysa Birgera, moskiewskiego

malarza non-konformistycznego; wypytywano go głównie o kontakty z zachodnioniemieckim pisarzem, Heinrichem Bölle, laureatem literackiej Nagrody Nobla. Böll odwiedził Moskwę w sierpniu ub. roku i widział się z Birgerem. ■ *Polnische Stimme*, miesięczny biuletyn wydawany w Bonn przez *Robocze Koło Ziomkostwa Odra-Nysa* (okresowo wspierany przez *Auswärtiges Amt*), zaprzestał publikowania tłumaczeń ważniejszych artykułów z polskiej prasy emigracyjnej. Ostatnio zamieszcza się jedynie artykuły z prasy PRL-owskiej. W ten sposób podjęto próbę uratowania biuletynu, któremu grozi likwidacja. ■ *Nakładem W. Fink Verlag* w Monachium ukazała się książka Włodzimierza Maciąga — *Die polnische Gegenwartsliteratur 1939-1976* (tłumaczył Klaus Staemmler). Tadeusz Nowakowski, na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, zarzucił Maciągowi uprawianie „ślalomu”, w trakcie którego autor *Polskiej Literatury Współczesnej* „ominał” takie nazwiska, jak Gustaw Herling-Grudziński, Zofia Romanowiczowa, Józef Mackiewicz, Leszek Kołakowski, Józef Łobodowski, Stanisław Wygodzki, Henryk Grynberg i Kazimierz Orłowski; „amnestia cenzury objęła jedynie Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza”. ■ Budżet *Ministerstwa Spraw Wewnętrznych* RFN na rok 1980 przewiduje kwotę 2,4 mln. marek na opiekę nad bezpieczeństwa uchodźcami. ■ Zmarł, w wieku 83 lat, prof. Carlo Schmidt, jeden z najbardziej znanych polityków niemieckich. Był profesorem prawa międzynarodowego, jednym z współautorów konstytucji RFN, członkiem SPD i z ramienia tej partii deputowanym do *Bundestagu* w latach 1949-1972. ■ Organizacje młodzieżowe z *Mannheimu* przekazały kwotę 500 marek na budowę *Centrum Zdrowia Dziecka*. ■ W wieku 58 lat zmarł w Berlinie Wschodnim kardynał Alfred Bengsch. Od 1965 roku był głową biskupstwa berlińskiego, obejmującego również Berlin Zachodni. ■ W Poznaniu podpisano umowę o współpracy między *Ogólnopolskim Towarzystwem Naukowym Instytut Zachodni* a *Towarzystwem Niemiecko-Polskim* w RFN z siedzibą w Düsseldorfie. *Towarzystwo Niemiecko-Polskie* skupia komunistów (większość), socjaldemokratów, chadeków i liberałów. Wśród nich wielu było członkami *NSDAP* a w kilku wypadkach formacji *SS* (prezesaem jednego z oddziałów *Towarzystwa* jest Gustaw Staebe, członek *NSDAP* od 1922 roku, uczestnik puczu w Monachium, następnie szef prasowy *Hitlerjugend* i członek redakcji *Völkischer Beobachter*. Staebe był podpułkownikiem *SS*). *Towarzystwo*, które głośno domaga się likwidacji *Radio Free Europe* (*Kölnische Rundschau*: „Niektórzy członkowie *Towarzystwa* dowiedzieli się o istnieniu tej radiostacji dopiero od dyplomatów PRL...”), wydaje pismo pn. *Begegnung mit Polen*. ■ Prasa zachodnioniemiecka donosi o coraz częstszych akcjach policji NRD (głównie w pociągach), która konfiskuje towary zakupione przez polskich turystów w Niemczech Wschodnich. Podobno ambasador PRL w Berlinie Wschodnim interweniował w tej sprawie. ■ Znany miesięcznik *Mercur* opublikował esej Leszka Kołakowskiego pt. *Revolucja — ta piękna choroba* (przekład Aleksandra Drożdżyńskiego). ■ Kraków podjął decyzję zawieszenia kontaktów z Norymbergą, wynikające z umowy podpisanej w ub. roku przez władze obu miast. Przyczyną był opublikowany w prasie zachodnioniemieckiej list nadburmistrza Norymbergi (skierowany do pocią z bawarskiej *CSU*), w którym napisał on m.in.: „Kraków znajduje się na ziemiach starej Polski, czyli na obszarze, którego nie dotyczy problem Odry/Nysy. Dążyłem do nawiązania stosunków partnerskich z Krakowem, nie wykazując zainteresowania do nawiązania stosunków z innymi miastami, które znalazły się pod okupacją Polski” (dyskwalifikującym adresatów tytułem „Wiecznie wczorajsi” opatrzył znany tygodnik hamburski *Die Zeit* artykuł, krytykujący wypowiedź nadburmistrza Norymbergi A. Urschlechtera). ■ *Auswärtiges Amt* przekazał w darze dla *Zamku Królewskiego 18* dzieła sztuki; *AA* planuje w najbliższym czasie dalsze zakupy. Łączna wartość darowizn wyniesie ponad 2 mln. marek. ■ *Deutsche Bank* we Frankfurcie

nad Menem udzielił polskiej firmie *Impexmetal* kredytu na wysokości 400 mln. marek na okres 10 lat. Kredyt jest przeznaczony na zakup urządzeń przemysłowych i maszyn w RFN. ■ Prezes *Komisji Skarbu Narodowego R.P.* w Niemczech, Lucjan Kopera (433 Mühlheim/Ruhr, Albertstr. 24), zebrał na cele *Skarbu* w Londynie ok. 5 tys. marek. *Komisja Skarbu Narodowego* w Niemczech wyraża przeświadczenie, że zebrana kwota zostanie przekazana w całości na potrzeby opozycji demokratycznej w kraju. ■ Inż. Erich Borchardt z Hanoweru wyposaży oddział rehabilitacyjny *Centrum Zdrowia Dziecka* w trzy baseny terapeutyczne. Ogólna wartość darów zadeklarowanych przez inż. Borcharda wyniesie ok. 500 tys. marek. ■ W 1979 roku przybyło do RFN 36.274 przesiedleńców z Polski. ■ Na Uniwersytecie w Bremie powstaje instytut, który będzie się zajmował badaniem działalności ruchów opozycji demokratycznej w krajach Europy Wschodniej i w Związku Sowieckim. Kierownictwo instytutu powierzono prof. Wolfgangowi Eichwede. Do komisji doradczej powołano m.in. prof. Włodzimierza Brusa z Oxfordu. ■ *Polimex-Cekop* zawarł umowę z francuską firmą *Creusot-Loire Entreprises* wspólnej budowy fabryki nawozów azotowych w Rostocku (NRD). Wartość kontraktu — 65 mln. dolarów. ■ Wychodzący z Hamburgu miesięcznik *Sozialistisches Osteuropakomitee* (*INFO*, nr 38), poświęcił grudniowy numer w całości ruchom opozycyjnym w Polsce. ■ Maria Assunta hr. Oppersdorf, z pochodzenia Polka, zamieszkała we Frankfurcie, przekazała sumę 48 tys. marek, wygraną w tomboli na *Balu Sportu* w Moguncji na fundusz *Zakładu Dzieci Ociemniałych* w Laskach. ■ Niemiecki *Kontinent* Nr 12 opublikował fragmenty większych prac i eseje Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stanisława Barańczaka, Zbigniewa Stypułkowskiego i Witolda Wirpży. ■ W Bochum odbył się wielki wiec protestacyjny, zorganizowany przez potężny Związek Metalowców, na którym domagano się natychmiastowego zaprzestania represji stosowanych przez *MO* i *SB* wobec Edmunda Zadrożyńskiego, działacza *Wolnych Związków Zawodowych* w Grudziądzu. Podobny wiec w obronie Zadrożyńskiego odbył się w Düsseldorfie. Wzięli w nim udział przedstawiciele związków zawodowych z RFN, Belgii, Holandii i Włoch. Zwolnienia Zadrożyńskiego domagano się ponadto na wiecach związkowców w Kolonii i Akwizgranie. ■ W połowie stycznia po krótkim pobycie w Polsce powrócił do RFN Stefan Dingerkus — zastępca przewodniczącego zachodnioniemieckiego *Związku Studentów Chrześcijańskiej Demokracji* (*RCDS*). W Polsce wziął udział w parodiowym spotkaniu wysłanników zachodnioeuropejskich organizacji młodzieżowych i studenckich z przedstawicielami niektórych ośrodków demokratycznej opozycji w kraju. Ze strony polskiej na spotkaniu obecni byli działacze *Studenckich Komitetów Solidarności*, redaktorzy pism ukazujących się poza zasięgiem cenzury i młodzi naukowcy czynnie zaangażowani w akcję samokształceniową prowadzoną pod auspicjami *Towarzystwa Kursów Naukowych*. Z wiadomych względów Stefan Dingerkus nie ujawnił nazwisk polskich uczestników ani też miejsca spotkania. Po powrocie do RFN oświadczył: „Opozycja w Polsce jest znacznie silniejsza i większa liczebnie niż się na ogół przypuszcza na Zachodzie. Do znikomej mniejszości zaliczyć można tych, którzy naprawdę popierają istniejący system lub godzą się na zależność od Moskwy. Kościół katolicki w Polsce stanowi dla demokratycznej opozycji silne oparcie, szczególnie od wyboru na papieża b. metropolity Krakowa, kardynała Wojtyły. W swej działalności ugrupowania opozycyjne natrafiają jednak na ogromne trudności. Wychodzące poza zasięgiem cenzury niezależne pisma są konfiskowane przez *Stuzbę Bezpieczeństwa*. Ich redakcyjom grożą represje oraz konfiskaty powielaczy i innych urządzeń poligraficznych. Demokratyczna opozycja w Polsce potrzebuje i liczy na poparcie i pomoc tych przyjaciół na Zachodzie, którym wspólne są jej ideały walki o poszanowanie zasad demokracji i praw człowieka”.

## Wolna trybuna

### Waszyngton, Moskwa i Europa Wschodnia, czyli kosmate myśli świeżo upieczonego Amerykanina

Można chyba przyjąć za aksjomat fakt, że w roku pańskim 1978 kwestia stosunków sowiecko-amerykańskich była dla Stanów Zjednoczonych jednym z najważniejszych problemów politycznych. Nic też dziwnego, że w ramach ogólnonarodowej dyskusji na temat obecnego stanu jak i przyszłego rozwoju stosunków między Waszyngtonem a Moskwą komisja spraw zagranicznych Senatu Stanów Zjednoczonych zwróciła się jesienią 1978 do 121 naukowców z dziedziny nauk politycznych z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie na temat tych stosunków. 79 specjalistów przyjęło zaproszenie komisji i w odpowiedzi napisało tyleż to referatów na jeden z piętnastu kluczowych tematów wybranych przez komisję. Memoriały te zostały opublikowane w 1979 przez Senat USA w zbiorze pod tytułem *Perceptions: Relations Between the United States and the Soviet Union*.

Niżej podpisany razem z pięcioma innymi „znawcami przedmiotu” poproszony został do napisania referatu w ramach ogólnego tematu związanego z wpływem sowieckiej polityki zagranicznej na stosunki sowiecko-amerykańskie ze szczególnym uwzględnieniem szeregu pytań, na przykład: jak Związek Sowiecki widzi swoje interesy w Europie Wschodniej? Jaki wpływ niepokoje czy zamieszki w Polsce lub w innych krajach tego rejonu mogą wywrzeć na sowiecką politykę zagraniczną i ogólne stosunki sowiecko-amerykańskie? Czy Kreml skłonny jest tolerować postępującą liberalizację w Europie Wschodniej? W jaki sposób może polityka amerykańska poprzeć pomyślną liberalizację na tamtym terenie?

Jak widać, pytania te nie były łatwe i dotyczyły podstawowych zagadnień interesujących nie tylko Waszyngton i Moskwę ale również kraje Europy Wschodniej, które tradycyjnie zawsze

były przedmiotem a nie podmiotem w stosunkach między Wschodem a Zachodem. Było również jasne, że na pytania te nie mogło być odpowiedzi „słusznych” i „dobrych” czy też „fałszywych” i „złych”. Każdy kto na te pytania odpowiadał, opierał się na swej wiedzy fachowej i znajomości przedmiotu, lub na swej własnej interpretacji pewnych procesów historycznych, czy też wreszcie na swych doświadczeniach osobistych. Innymi słowy, nie było i nie mogło być odpowiedzi idealnych czy „prawdziwych”, które mogłyby być przyjęte z satysfakcją przez wszystkich. Wręcz przeciwnie: różnice poglądów są jedną z podstawowych charakterystycznych cech społeczeństw demokratycznych, które nie tylko tolerują ale nawet aktywnie popierają istnienie różnic zdań na najrozmaitsze tematy, i chociażby dlatego należało się spodziewać zróżnicowanych odpowiedzi.

Wypowiedź moją dla Senatu Stanów Zjednoczonych można przedstawić w skrócie w następujący sposób:

*Jakie były i są podstawowe interesy sowieckie w Europie Wschodniej?*

Pisząc mniej więcej dwadzieścia lat temu, Zbigniew Brzeziński sformułował cele sowieckie w rejonie Europy Wschodniej jak następuje:

(1) Zapobieżenie wpływom krajów wrogo ustosunkowanych wobec ZSSR i zagrażających bezpieczeństwu Związku Sowieckiego;

(2) Zapewnienie władzy i kontroli wewnętrznej nad poszczególnymi krajami elementom przyjaźnie nastawionym wobec Moskwy;

(3) Wykorzystanie zasobów materialnych regionu przy pomocy w powojennej odbudowie gospodarki Rosji Sowieckiej;

(4) Wyzyskanie Europy Wschodniej jako bazy wyjściowej dla potencjalnej agresji przeciwko Zachodowi.

Pierwszym pytaniem, które należy postawić jest, czy cele te, sformułowane jakby nie było przed przeszło dwadziestu laty, są tak samo wiążące przy końcu dekady lat siedemdziesiątych jak w połowie lat czterdziestych, czy też zostały one zastąpione przez nowe dążenia i aspiracje ze strony Kremla.

W odpowiedzi można zaryzykować stwierdzenie, że z jednym jedynym wyjątkiem powyższe cztery cele sowieckie nie uległy większym zmianom. Oznacza to, że głównym priorytetem Moskwy w Europie Wschodniej pozostaje kwestia bezpieczeństwa

Rosji Sowieckiej. Choć w epoce nuklearnej geografia mniej się już liczy jako czynnik strategiczny, to jednak bez wątpienia przywódcy sowieccy uważają rejon Europy Wschodniej jako pierwszą linię obrony ZSSR, szczególnie w wypadku ataku brońmi konwencjonalnymi z Zachodu.

Wobec powyższego istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Kreml stawi silny opór próbom podważenia hegemonii sowieckiej w rejonie Europy Wschodniej. Ciekawostką jest to, że próby takie, przynajmniej do tej pory, nie szły od Zachodu, który w gruncie rzeczy respektował *status quo* w tym rejonie, ale z obozu komunistycznego, początkowo z Jugosławii a później z Chin. Reakcja Moskwy na wizytę Hua Kuo-fenga, który w lecie 1978 odwiedził Rumunię i Jugosławię była przykładem sowieckiej paranoi i nietolerowania ze strony Kremla jakiegokolwiek konkurencji na tym terenie. Można również powiedzieć, że wizyta Hua znalazła się pod znacznie ostrzejszym atakiem aniżeli podobne wizyty prezydentów Nixona, Forda i Cartera.

Blisko związaną z kwestią bezpieczeństwa sowieckiego jest kontynuacja monopolu władzy politycznej w poszczególnych krajach w rękach partii komunistycznych. Oznacza to, że Sowiety gotowe są wystąpić w obronie tego monopolu, jeśli zostanie on zagrożony. Wypadki w Czechosłowacji w 1968 dobrze ilustrują ten punkt: ambasada sowiecka w Pradze interpretowała procesy liberalizacyjne jako dążące nieuniknienie do obalenia rządów komunistycznych — co należało powstrzymać za każdą cenę. Można więc przypuszczać, że to właśnie było przyczyną inwazji Czechosłowacji a nie, na przykład, Rumunii, pomimo tego że polityka Bukaresztu pozostawiała wiele do życzenia z punktu widzenia Moskwy. Z drugiej jednak strony Ceausescu potrafił utrzymać w Rumunii neo-stalinowski system władzy, który nie dopuszczał do jakiegokolwiek opozycji wobec reżymu.

Przez szereg lat po objęciu władzy przez partie komunistyczne uważano, że Europa Wschodnia była dla Sowietów bardzo wartościowym atutem gospodarczym. Miało to na pewno miejsce w okresie stalinowskim, kiedy to Moskwa traktowała ten rejon jako swą własną kolonię, którą można było wyzyskiwać w interesie Sowietów. Przy końcu lat sześćdziesiątych sytuacja zaczęła się zmieniać i Europa Wschodnia coraz bardziej stawała się ciężarem gospodarczym dla Kremla, szczególnie od chwili kiedy Związek Sowiecki postanowił kontynuować dostawy surowców po niskich cenach w zamian za niskiego gatunku towary przemysłowe importowane z Europy Wschodniej.

Czy Rosja Sowiecka ciągle jeszcze traktuje Europę Wschodnią jako bazę wyjściową do potencjalnego ataku na Europę Zachod-

nią? Brak miejsca nie pozwala na szczegółową analizę tej kwestii jak również sprawy zamierzeń sowieckich wobec Paktu Atlantyckiego, ale fakt faktem, że rejon Europy Wschodniej pozostaje do dzisiaj terenem bardzo poważnej koncentracji sowieckich sił konwencjonalnych, którą trudno nazwać koncentracją w celach obronnych.

Pomijając kwestię intencji sowieckich można chyba przyjąć hipotezę, że Moskwa traktowała i traktuje Europę Wschodnią jako ważny atut w swych bilateralnych stosunkach z Waszyngtonem. Sowiety zawsze przywiązywały dużą wagę do osiągnięcia i utrzymania parytetu w stosunkach Wschód-Zachód, co oznaczało, że Pakt Warszawski czy też Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej były często używane przez Kreml w celu zrównoważenia NATO czy Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Można również przyjąć za pewnik fakt, że Związek Sowiecki widzi siebie jako wodza sojuszu politycznego, gospodarczego i militarnego, co nadaje mu specjalny status wobec USA i reszty świata, i co oznacza, że Kreml nie łatwo zgodzi się na jakiegokolwiek zmniejszenie czy erozję swych wpływów w rejonie Europy Wschodniej.

#### *Niepokoje i rozruchy w Europie Wschodniej, sowiecka polityka zagraniczna i stosunki sowiecko-amerykańskie*

Jeśli chodzi o obecne cele sowieckie w Europie Wschodniej to można zaakceptować tezę, że Moskwa jest przede wszystkim zainteresowana w zachowaniu *status quo*, co oznacza, że Kreml nie zgodzi się bez oporu na jakiegokolwiek drastyczne zmiany w polityce wewnętrznej czy zewnętrznej swych młodszych partnerów.

Można chyba również zgodzić się z tym, że głównym instrumentem gwarantującym hegemonię sowiecką w Europie Wschodniej jest groźba interwencji zbrojnej, co również odzwierciedla gotowość Moskwy do użycia siły czy przemocy w celu utrzymania obecnego stanu rzeczy w tym rejonie. Niebezpieczeństwo agresji sowieckiej związane jest naturalnie z kwestią tzw. „progu” ustanowionego i tolerowanego przez ZSSR, którego żaden z krajów Europy Wschodniej nie może bezkarnie przekroczyć bez narażenia się na atak ze wschodu. Próg ten ulega zmianom w czasie w zależności od takich czynników jak zmiany w elicie rządzącej na Kremlu, zmiany w ogólnej atmosferze międzynarodowej i w tzw. „korelacji sił” głównie między Wschodem a Zachodem. Stosunki między Rosją Sowiecką a jej aliantami przypominają grę, w której jeden z uczestników jest zarazem sędzią, który w każdej chwili jest w stanie zmienić reguły i przepisy gry.

ZSSR ma do swej dyspozycji jeszcze szereg innych instrumentów, które mogą być użyte w celu zachowania *status quo* w Europie Wschodniej, i można postawić hipotezę, że interwencja zbrojna — chociaż bez wątpienia najbardziej skuteczna — będzie zastosowana jedynie w wypadku kiedy wszystkie pozostałe metody zawiodą. Należy więc postawić pytanie, jakie wypadki czy też kryzys w Europie Wschodniej mogą pociągnąć za sobą sowiecką interwencję zbrojną? Jak już zasugerowano powyżej, trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie ze względu na obecność szeregu imponderabiliów, miskoncepcji i innych niewiadomych czynników. Na przykład w 1968, z punktu widzenia Moskwy, sytuacja wewnętrzna w Czechosłowacji stworzyła niebezpieczeństwo kompletnego załamania się rządów komunistycznych nie tylko w Pradze ale również, na skutek osmozy, w innych krajach rejonu. Ta groźba, koniec końców, zmusiła Moskwę do interwencji.

Można jednak również postulować hipotezę, że innym ważnym czynnikiem, który wpłynął na decyzję agresji było przekonanie ze strony Kremla, że wojska czechosłowackie nie będą stawić oporu wkraczającym oddziałom sowieckim. W przeciwieństwie, przekonanie, że wojska polskie, rumuńskie i jugosłowiańskie będą walczyć w wypadku interwencji, bez wątpienia oddziaływało i oddziałuje dzisiaj na stosunkowo tolerancyjne stanowisko Moskwy wobec rosnącej opozycji politycznej w Warszawie, niezależnej polityki zagranicznej prowadzonej przez Bukareszt, i alternatywnej drogi do socjalizmu praktykowanej przez Belgrad, chociaż każdy z tych procesów podważa hegemonię Sowietów na tym obszarze.

Następnym pytaniem jest to, czy kryzys systemowy w jakimkolwiek kraju Europy Wschodniej wywarłby wpływ na stosunki sowiecko-amerykańskie? Odpowiedź na to można oprzeć jedynie na doświadczeniach z niedalekiej przeszłości.

A więc zgniecenie przez armię czerwoną rewolucji węgierskiej w 1956 zrodziło dużą wrogość wobec ZSSR, ale już po trzech latach, Nikita Chruszczow, nazwany „rzeźnikiem Węgier”, odwiedził USA, gdzie był witany jeśli nie z entuzjazmem to przynajmniej z dużym zainteresowaniem, i gdzie doprowadził do narodzin tzw. „ducha Camp David” inaugurującego nową erę w stosunkach między Waszyngtonem a Moskwą.

Sowiecka interwencja w Czechosłowacji przerwała na krótką chwilę proces odprężenia w stosunkach między USA a ZSSR, ale przerwa ta nie trwała długo i pierwsze spotkanie w ramach rokowań SALT I miało miejsce w Helsinkach na jesieni 1969, niewiele ponad rok od załamania się „Praskiej Wiosny”.

Prawdą jest, że Stany Zjednoczone ostrzegły Związek Sowiecki przed inwazją Rumunii w 1968 i że w swoim czasie Waszyngton również wysłał szereg sprzecznych ze sobą sygnałów w związku z możliwością interwencji sowieckiej w Jugosławii, ale można przyjąć, że do tych ostrzeżeń i sygnałów nie przywiązywano większej wagi tak we Wschodniej jak i Zachodniej Europie. Stany Zjednoczone były od dawna uważane po obu stronach linii demarkacyjnej w Europie jako głęboko zainteresowane w utrzymaniu postanowień terytorialnych ustalonych w Jałcie, i jako przeciwnie jakimkolwiek zmianom w *status quo*. Czym innym było ogłaszanie głośnych deklaracji o „odepchnięciu” (*rollback*) i „uwolnieniu” (*liberation*) a czym innym aktualne wprowadzenie ich w życie. Koniec końców, obie te doktryny zostały zastąpione przez politykę „pokojowego zaangażowania” i „budowania mostów” co potwierdziło raz jeszcze podejrzenie, że Europa Wschodnia ponownie stała się „zapomnianym rejonem” w oczach przywódców amerykańskich.

Opierając się na powyższej analizie można uogólnić, że kryzys w Europie Wschodniej, który mógłby doprowadzić do interwencji sowieckiej, miałby jedynie niewielki wpływ na stosunki sowiecko-amerykańskie, że jakiegokolwiek pogorszenie się tych stosunków nie trwałoby zbyt długo, i że proces odprężenia między oboma mocarstwami nie byłby zahamowany na dłuższą metę.

#### *Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i procesy liberalizacyjne w Europie Wschodniej*

Odpowiedź na pytanie, czy Moskwa tolerowałaby postępującą liberalizację w Europie Wschodniej musi zawierać szereg kwalifikacji. Przede wszystkim, należy sprecyzować pojęcie „liberalizacji”. Jak wynika z powyższego porównania procesów zachodzących w Czechosłowacji i Rumunii, Sowiety gotowe są tolerować spory stopień autonomii w polityce zagranicznej ale nie poważne zmniejszenie kontroli wewnętrznej, wykonywanej przez rządzące partie komunistyczne. Jeśli tak rzeczywiście jest, to można przypuścić, że Kreml nie sprzeciwiłby się zbyttno procesom liberalizacyjnym, jeśli przebiegałyby one stopniowo i pod kontrolą partii.

Można przypuścić, że w ostatecznym wypadku reakcja Moskwy na długotrwały proces liberalizacyjny zależałaby od tego jak Kreml widzi i interpretuje ostateczny cel tego procesu. Jeśli celem tym jest uzyskanie większej popularności wśród mas czy też osiągnięcie bardziej wydajnego i efektywnego funkcjonowania systemu politycznego czy gospodarczego w danym kraju, to

można przyjąć, że Sowiety nie będą się automatycznie sprzeciwiać liberalizacji, jak to wynika z przykładu Węgier i częściowo Polski. Jeżeli jednak proces liberalizacji jest rozumiany przez Moskwę jako wiodący nieuchronnie do osłabienia roli partii i do narastania tendencji pluralistycznych, to w takim przypadku można się zgodzić, że Sowiety byłyby skłonne do interwencji zbrojnej jak to miało miejsce na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku.

Reakcja sowiecka zależy może również od tego, czy proces liberalizacji ogranicza się wyłącznie do jednego kraju czy też wykazuje on tendencje rozszerzania się na kraje sąsiednie. To ostatnie zjawisko miało miejsce w okresie „Wiosny Praskiej” która w krótkim czasie „przełała się” do Polski i Wschodnich Niemiec, zagrażając stabilności tamtejszych reżymów. Naturalnie trzeba zaznaczyć, że proces przelewania się procesów liberalizacyjnych z jednego kraju do innych zależy również od charakteru i rangi kraju, w którym ten proces się rozpoczął. Innymi słowy, jeśli proces liberalizacji zostałby zainicjowany na przykład w Rumunii, istnieje duża szansa, że miałby on znacznie mniejszy skutek w pozostałych krajach aniżeli proces zrodzony w Czechosłowacji, w Polsce czy na Węgrzech, które to kraje cieszą się znacznie wyższym prestiżem niż Bułgaria czy Rumunia.

Ostatnie pytanie dotyczy tego, w jaki sposób Stany Zjednoczone mogą popierać proces udanej liberalizacji w Europie Wschodniej. Odpowiedź na to pytanie nie jest naturalnie łatwa, a przed odpowiedzeniem na nie można by się zastanowić, czy jest to właściwe pytanie, które należałoby postawić. Może raczej należałoby zapytać się, czy popieranie procesów liberalizacyjnych w Europie Wschodniej powinno być jednym z celów amerykańskiej polityki zagranicznej. Dotychczasowe doświadczenia na tym polu prowadzą do negatywnych konkluzji, jako że amerykańskie osiągnięcia na tym terenie są raczej dość smętne i nie widać oznak na polepszenie się tej sytuacji.

Ta smutna konkluzja odzwierciedla nade wszystko fakt, że Europa Wschodnia nigdy nie była terenem większego zainteresowania politycznego, militarnego i gospodarczego dla Stanów Zjednoczonych i że oficjalne poparcie Waszyngtonu dla procesów liberalizacyjnych może nie leżeć w interesie narodowym USA. Czy się chce czy nie chce, pomyślna liberalizacja musi wywrzeć wpływ na *status quo* w Europie Wschodniej i w ten sposób dać pretekst dla sowieckiej interwencji zbrojnej. Jeśli Stany Zjednoczone czułyby się głęboko i prawdziwie zobowiązane do popierania liberalizacji na tym obszarze, musiałyby wtedy zareagować poważnie na tę interwencję, co mogłoby doprowadzić do konfrontacji zbrojnej między obu mocarstwami. Trudno w tej chwili powiedzieć,

czy takie zaangażowanie się Waszyngtonu miałyby masowe poparcie społeczeństwa amerykańskiego — ale należy w to wątpić. Oficjalne nastawienie USA wobec ostatnich wypadków w Iranie i Afganistanie dobrze o tym świadczy.

Innymi słowy, dopóki i dopóty Waszyngton nie jest w pełni gotów do zaangażowania się konsekwentnie w procesach liberalizacyjnych w Europie Wschodniej, Stany Zjednoczone nie powinny się do tych procesów mieszać.

W chwili obecnej, po stosunkowo łatwym zdobyciu władzy przez komunistów po Drugiej Wojnie Światowej, po zbankrutowaniu doktryny „uwolnienia” i braku jakiegokolwiek reakcji Zachodu w obliczu procesów liberalizacyjnych na Węgrzech czy w Czechosłowacji, nikt w Europie Wschodniej nie liczy poważnie na masowe poparcie ze strony Waszyngtonu, podczas gdy połowiczne próby pomocy amerykańskiej służyłyby tylko do stworzenia fałszywych nadziei i oczekiwań, i pogorszyłyby tylko ogólną sytuację. Jednym z ostatnich przykładów takiej właśnie połowicznej akcji jest kampania „obrony praw człowieka”, zainicjowana przez prezydenta Cartera, która nigdy nie ruszyła z miejsca i która zmarła niesławną śmiercią ku ucieście i zadowoleniu reżymów wschodnioeuropejskich.

Na zakończenie, receptą dla amerykańskich przywódców politycznych w gruncie rzeczy powinno być, utrzymanie *status quo* w Europie Wschodniej, przynajmniej na najbliższą metę. Ponieważ działamy w świecie, w którym percepcje i mispercepcje odgrywają kluczową rolę, szczególnie na polu stosunków międzynarodowych, ważne jest aby amerykańska gotowość do niedopuszczenia do drastycznych i nieskompensowanych zmian w bilansie sił we Wschodniej Europie była właściwie widziana i zrozumiana przez Moskwę. Chociaż w chwili obecnej jedyna wyobraźalna zmiana w regionalnej konstelacji sił mogłaby nastąpić w Jugosławii, USA powinny dać do zrozumienia Moskwie, że nie będą tolerowały interwencji sowieckiej w tym kraju w momencie możliwego kryzysu sukcesyjnego po śmierci marszałka Tito. Podobne ostrzeżenie mogłoby być powtórzone wobec Rumunii.

Można przypuścić, że interes Ameryki w kontynuowaniu *status quo* w Europie Wschodniej na dłuższą metę pokrywałyby się z interesem Sowietów w utrzymaniu stabilności politycznej na własnym podwórku w celu uniknięcia powtórzenia kryzysu czechosłowackiego. Z tego powodu, ZSSR byłby prawdopodobnie skłonny przyznać swym młodszym aliantom dodatkowe pole do manewru i większą autonomię w polityce wewnętrznej i zewnętrznej po to, ażeby rozładować niezadowolenie ludności. A jeśli ta hipoteza jest słuszna, rezultatem zbieżności interesów amerykańskich i sowieckich byłoby utrzymanie *status quo* w Europie Wschodniej.

kańskich i sowieckich może być to, że Europa Wschodnia przestanie być terenem konfliktu i konfrontacji między oboma mocarstwami.

*Doktryna Korbońskiego bardziej zdradziecka i złowieszczą od doktryny Sonnenfeldta?*

Powyżej streszczony memoriał napisany został jesienią 1978. Gdzieś na początku marca 1979 zostałem powiadomiony, że byłem któregoś niedzieli ostro zaatakowany w czasie polskiego programu radiowego w Los Angeles za to, że popierałem obecny reżym komunistyczny w Polsce. Wkrótce potem otrzymałem kopię notatki z *Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza* z Londynu z marca pod złowrogim tytułem „Pozostawić Polskę Sowietom radzi polsko-amer. (sic!) profesor”, w której między innymi stwierdzono, że memoriał mój dla Senatu Stanów Zjednoczonych był „pierwszym wypadkiem, w którym świeżo upieczony Amerykanin urodzony i wychowany w Warszawie, występuje przeciwko liberalizacji ustroju w kraju swego pochodzenia”.

To był dopiero początek. W parę tygodni później, nowojorski *Nowy Dziennik* z 28 marca skomentował moje wystąpienie w artykule pod tytułem „Doktryna Sonnenfeldta w amerykańsko-polskim wydaniu”, który po prostu był przedrukiem, prawie że dosłownym, wyżej wymienionej notatki z *Dziennika Żołnierza*. Podobnie uczynił to *Głos Polski* z Toronto z 15 marca, z czego można było wywnioskować, że ani jedna ani druga redakcja nie zadała sobie nawet trudu, żeby przeczytać moją wypowiedź w oryginale, a polegała na notatce z *Dziennika Żołnierza*.

Powoli ataki stawały się mniej wybredne. Oto cytata z numeru kwietniowego czasopisma *Listy do Polaków*, wydawanego w mieście New Britain w stanie Connecticut: „Przypominamy, że swego czasu Senat USA wysłał Korbońskiego na konferencję w Helsinkach jako znaną zagadnień Europy środkowo-wschodniej. Nie dziw, że na tej konferencji zatwierdzono zdobycze terytorialne Rosji i zdominowanie przez nią całej Europy środkowo-wschodniej. Dla utrzymania *status quo*. Wstyd, psia mać, przyznać się, że to człowiek polskiego pochodzenia”.

Również w kwietniu wytoczono przeciwko mnie najcięższą bodajże artylerię w formie listu p. Alojzego Mazewskiego, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, wystosowanego do przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Senatu USA. List ten w polskim przekładzie ukazał się w *Nowym Dzienniku* z 3 kwietnia i w *Tygodniku Polskim* z 14 tego miesiąca. Główną troską p. Mazewskiego było to, żeby mój referat nie był opacznie zrozu-

miany przez „czytelnika” (jakiego?) jako „wykładnia poglądów przeciętnego Amerykanina polskiego pochodzenia”. Ze względu na pozycję autora listu, warto może wyliczyć w skrócie główne zarzuty skierowane pod moim adresem:

(1) Recepta Korbońskiego jest szkodliwa z punktu widzenia interesów narodowych i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych;

(2) Korboński idzie dalej niż tzw. doktryna Sonnenfeldta, zalecając aby USA tolerowały hegemonię sowiecką w Europie Wschodniej;

(3) Przyjęcie zaleceń Korbońskiego oznaczałoby, że demokracja amerykańska stałaby się „wspólnikiem totalnego mocarstwa, które zniewoliło swych słabszych sąsiadów narzucając im swój własny system policyjny i nieludzkie praktyki”;

(4) Abstrahując od „moralnego aspektu” propozycji Korbońskiego, jego ocena polityki sowieckiej w Europie Wschodniej jest fałszywa „z analitycznego punktu widzenia” i roi się od pominięcia i uproszczenia niezmiernie złożonych problemów i procesów. Rozpatruje on stosunki między USA a krajami Europy Wschodniej „w oderwaniu od globalnego kontekstu stosunków między dwoma supermocarstwami”;

(5) Podkreślając rolę Europy Wschodniej jako pierwszej linii obrony ZSSR Korboński „odwraca obecną rzeczywistość do góry nogami. Nigdzie w jego memoriale nie można znaleźć jakiegokolwiek wzmianki na temat sowieckich dążeń do ekspansji stanowiących organiczną część państwowej doktryny ZSSR”;

(6) Ostrzegając, że pomyślnie procesy liberalizacyjne muszą w końcu spowodować sowiecką interwencję zbrojną, Korboński pomija w swej analizie przykład Polski, „który zadaje kłam jego uproszczonej teorii” jako, że Sowiety „nie zdławiły środkami wojskowymi postępów liberalizacji w Polsce, które zrodziły się w kryzysach w latach 1956, 1970 i 1976”.

Tyle p. Mazewski. Ostatnim opublikowanym atakiem na mnie była notatka w paryskiej *Kulturze* z kwietnia 1979. Anonimowy autor oskarżywszy przede wszystkim politykę amerykańską, „która robi maksymalne wysiłki, aby zachować pojałtańskie *status quo* podtrzymując zbankrutowany reżym PRL pożyczkami i kredytami...” napiętnował rząd amerykański, który „systematycznie ogranicza działalność radiostacji Wolna Europa i Swoboda wprowadzając coraz bardziej totalną cenzurę”, i stwierdził, że „nowością jest tylko to, że zaczyna się to robić rękami Polaków”, takich jak Korboński.

Muszę przyznać, że ta ostatnia notatka trochę mnie zabolęła. Bogiem a prawdą, niewiele mnie obchodzi to, co o mnie piszą



*Nowy Dziennik, Tygodnik Polski, czy Listy do Polaków*: mają do tego pełne prawo. Podobnie wytrzymam chyba i przeżyję krytykę prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej i byłego kierownika polskiej sekcji Radia Wolnej Europy. Ale co innego być oskarżonym *anonimowo* o robienie brudnej roboty dla Amerykanów przez *Kulturę*, którą szanuję i popieram od trzydziestu lat.

Trudno się dziwić, że powyższe artykuły, notatki i wypowiedzi odbiły się pewnym echem nie tylko w środowisku polonijnym w Stanach ale również w Wielkiej Brytanii, szczególnie zaś w emigracyjnym Londynie. Tutaj rej wodził naturalnie *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, który nie tylko potępił mnie w czambuł jako gorszego sprzedawczyka od Helmuta Sonnenfeldta, ale który na dodatek napiętnował mnie ponownie w numerze z 17 kwietnia za „manifestowanie pogardliwego stosunku do powstania warszawskiego” co już zupełnie stawiało mnie poza nawiasem. W rezultacie, w czasie mego pobytu w Londynie w lipcu 1979 w celach badawczych, kierowniczką archiwum Studium Polski Podziemnej, p. H. Czarnocka, w liście z 8 sierpnia stwierdziła, że nie „mogę liczyć na [jej] współdziałanie” ponieważ „solidaryzujemy się ze stanowiskiem p. Alojzego Mazewskiego, Prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej co do [moich] wystąpień antyniepodległościowych”.

Po tych atakach ze strony różnych jednostek czy grup emigracyjno-polonijnych na Zachodzie, ciekaw byłem reakcji z Polski. Wkrótce po ukazaniu się pierwszych krytycznych komentarzy w Stanach Zjednoczonych rozmawiałem z jednym z czołowych dziennikarzy polskich, który spokojnie i bez hysterii stwierdził, że chociaż się ze mną nie zgadza, to jednak uważa mój memoriał za pożyteczny, szczególnie jeśli da on podjętę do spokojnej, beznamietnej i obiektywnej dyskusji na temat nastawienia Zachodu do kwestii liberalizacji czy demokratyzacji Europy Wschodniej.

Podczas pobytu w Polsce ubiegłego lata również miałem okazję rozmawiania na temat mego artykułu z szeregiem osób, które знаły moje wystąpienie z audycji Radia Wolnej Europy. Jak można było się spodziewać, nikt się ze mną nie zgodził, ale jednocześnie nasze dyskusje przebiegały w spokojnej atmosferze, bez histeryzowania i bez oskarżania mnie o chęć wiecznego zaprzędania Polski satrapom siedzącym na Kremlu.

*Co miał na myśli Korboński pisząc ten złowrogi memoriał?*

Zanim przejdę do meritum sprawy chciałbym sprostować parę nieścisłości dotyczących mojej osoby. Przede wszystkim, nie jestem, jak twierdzi *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, „świeżo

upieczonym Amerykaninem urodzonym i wychowanym w Warszawie”. Urodziłem się w Poznaniu w 1927 i mieszkałem tam do 1939. Po wyrzuceniu nas przez Niemców do Warszawy, mieszkałem tam do Powstania, czyli do 1944. Z Polski wyjechałem mając lat 17, czyli, że mieszkam na Zachodzie przez przeszło 35 lat, z tego prawie 30 lat w Stanach Zjednoczonych. Służyłem przez dwa lata w wojsku amerykańskim i jestem obywatelem USA od 25 lat. Jeśli pomimo tego *Dziennik Żołnierza* ciągle uważa mnie za „świeżo upieczonego Amerykanina”, to jest to jego sprawa, na którą nic nie mogę poradzić.

Czasopismo *Listy do Polaków* myli się również pisząc, że Senat Stanów Zjednoczonych wysłał mnie swego czasu na konferencję w Helsinkach. Chciałbym, żeby tak rzeczywiście było, gdyż nigdy jeszcze nie byłem w tym pięknym mieście, ale niestety moja wizyta tam, jak również moja rola w utwierdzeniu sowieckiej kontroli nad Europą Wschodnią miały miejsce jedynie w bujnej wyobraźni redaktora *Listów do Polaków*.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego prezes Mazewski boi się, żeby mój referat nie był mylnie interpretowany jako odzwierciedlający poglądy Kongresu Polonii Amerykańskiej czy też opinie Amerykanów polskiego pochodzenia. Mogę go zapewnić, że memoriał pisałem tylko i wyłącznie jako przedstawiciel samego siebie: nie jestem członkiem KPA i nigdy nie pretendowałem do stanowiska rzecznika polonii amerykańskiej.

Wreszcie chciałbym naprawdę zapewnić anonimowego autora notatki w *Kulturze*, że nigdy nie miałem i obecnie nie mam nic wspólnego z wprowadzaniem „coraz bardziej totalnej cenzury” do Radia Wolnej Europy i Radia Swoboda. Od 1963 jestem profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, a od czterech lat kierownikiem wydziału tych nauk. Na jesieni 1977 byłem mianowany członkiem delegacji amerykańskiej na konferencję w Belgradzie: była to pierwsza i do tej pory jedyna „oficjalna” funkcja, jaką pełniłem dla rządu USA.

To chyba o mnie wystarczy a teraz *ad rem*. Moja teza jest prosta i może warto ją w skrócie powtórzyć. A więc, pomyślnie rozwijające się procesy liberalizacyjne w Europie Wschodniej muszą, prędzej czy później, ugodzić w istniejące systemy kontroli politycznej sprawowanej przez partie komunistyczne. Daleko idąca liberalizacja czy demokratyzacja tych systemów jest, *ex definitione*, solą w oku Sowietów, które od przeszło 35 lat traktują Europę Wschodnią jako swoją strefę interesów i które, również *ex definitione*, nie mogą i nie chcą dopuścić do drastycznego zmniejszenia się ich wpływów na tym obszarze. Najbardziej skutecznym narzędziem polityki sowieckiej, które może i mogłoby

zapobiec redukcji wpływów Moskwy jest groźba interwencji zbrojnej, która jest w stanie powstrzymać czy zdławić dalszą liberalizację godzącą w interesy Kremla. Ponieważ w szeregu wypadków agresja sowiecka wywołałaby opór ze strony zaatakowanych młodszych sojuszników, decyzja Moskwy użycia przemocy musiałaby się skończyć konfliktem zbrojnym, ofiarami i ewentualnym zniszczeniem zaatakowanego państwa.

Jeśli powyższy scenariusz można przyjąć za względnie realistyczny, koszt liberalizacji jest według mnie wysoki i cały ten proces powinien być głęboko przemyślany przed wprowadzeniem go w życie. Oznacza to również, że nikt nie powinien popierać procesów liberalizacyjnych bez zdania sobie sprawy z ich konsekwencji i z wysokiej ceny, którą trzeba za nie zapłacić. Dlatego też uważałem i uważam, że tak Stany Zjednoczone jak i inne kraje zachodnie nie powinny aktywnie popierać procesów liberalizacyjnych z jednym jedynym wyjątkiem, a mianowicie w wypadku, gdy państwa te gotowe są w taki czy inny sposób zapobiec czy oprzeć się interwencji sowieckiej.

Śmiem twierdzić, że teza ta, która spotkała się z ostrą krytyką, nie została jednak obalona. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nie ważne to czy proces liberalizacji rzeczywiście potrafi doprowadzić do podstawowych zmian systemowych; ważne jest to czy przywódcy sowieccy *wierzą*, że zmiany takie są nieuniknione i że kolidują one z interesami Kremla. To zjawisko miało miejsce na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968.

Prezes Mazewski uważa, że moja teza jest kłamliwa, gdyż ZSSR nie interweniował w Polsce w 1956, 1970 i 1976. Odpowiedź na ten zarzut jest bardzo prosta: wiadomo wszystkim, że w październiku 1956 wojska sowieckie posuwały się w kierunku Warszawy i że o mały włos nie doszło do konfliktu zbrojnego. To, że Polska uniknęła losu Węgier było z jednej strony rezultatem spotkania Gomułki z Chruszczowem, podczas którego przywódca sowiecki szybko zorientował się, że nowowybrany Pierwszy Sekretarz PZPR nie był w gruncie rzeczy rewizjonistą, zamierzającym wprowadzić kardynalne zmiany w systemie rządów komunistycznych, a z drugiej strony wynikiem rozważnej postawy zarówno przywódców politycznych jak i mas robotniczych i studenckich pragnących za wszelką cenę uniknąć starcia z armią czerwoną.

Jeśli chodzi o liberalizację zrodzoną w kryzysach 1970 i 1976, to jest to chyba nieporozumienie: zastąpienie Gomułki przez Gierka po wypadkach grudniowych na Wybrzeżu nie było połączone z demokratyzacją wewnętrzną i to samo odnosi się do okresu po rozruchach w Ursusie i Radomiu w czerwcu 1976. W żadnym z tych wypadków system władzy partyjnej nie był

w gruncie rzeczy poważnie zagrożony i stąd nie było powodu do interwencji sowieckiej.

Prawdą jest, że od dwóch czy trzech lat reżym PRL i pośrednio Kreml tolerują sporą dozę liberalizacji w Polsce. Można to sobie tłumaczyć na różne sposoby: osobiście uważam, że Moskwa ciągle jeszcze nie traktuje istniejącej opozycji wewnętrznej jako zdolnej do podważenia reżymu Gierka i że w momencie, kiedy Kreml zacznie zmieniać zdanie, interwencja stanie się bardzo prawdopodobna. Domysły na ten temat krążą w Polsce coraz częściej, podobnie jak i plotki o rosnącym niezadowoleniu sąsiadów Polski, bojących się przenikania wpływów dysydenckich.

W dalszym ciągu uważam, że Stany Zjednoczone nie powinny się mieszać do procesów liberalizacyjnych w Europie Wschodniej. Poparcie moralne ze strony Waszyngtonu w formie retoryki i symbolicznych deklaracji nic nie kosztuje a jednak może mieć negatywne skutki przez niepotrzebne wzbudzenie nowych nadziei. Prawdą jest, że chociaż starsze pokolenie w Europie Wschodniej, nauczone smutnym doświadczeniem z lat czterdziestych, okresu „Zimnej Wojny” i wypadków czeskich i węgierskich, nie liczy na poparcie amerykańskie, nastawienie młodszego pokolenia jest bardziej skomplikowane i USA cieszy się jeszcze stosunkowo wyższą popularnością w Europie Wschodniej niż na Zachodzie. Oznacza to, że jakiegokolwiek wyrazi sympatii dla ruchów liberalizacyjnych mogą być źle zrozumiane.

Jak już parokrotnie podkreślałem, aktywne poparcie Waszyngtonu dla procesu demokratyzacji Europy Wschodniej byłoby słuszne i właściwe jedyne w przypadku, kiedy przywódcy amerykańscy gotowi byłiby powstrzymać w taki czy inny sposób interwencję sowiecką. Każdy kto ma jakieś rozeznanie w obecnej atmosferze politycznej panującej w Stanach Zjednoczonych zgodzi się chyba, że akcja taka nie ma najmniejszej szansy. Ryzyko i koszt jakiegokolwiek kontrakcji są po prostu za wysokie, tym bardziej, że sukces takiego przedsięwzięcia jest więcej niż wątpliwy. Jak już wspominałem powyżej, ustosunkowanie się Waszyngtonu do wypadków w Iranie i Afganistanie mówi samo za siebie. Dlatego też uważam, że niewtrącanie się Waszyngtonu do procesów liberalizacyjnych w Europie Wschodniej leży w interesie Ameryki.

O cóż więc chodzi? Można się chyba zgodzić z tym, że wbrew moim krytykom, Stany Zjednoczone tolerowały i tolerują hegemonię sowiecką w Europie Wschodniej od 1945 i że dominacja ta została oficjalnie potwierdzona podpisaniem przez prezydenta Forda Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach w sierpniu 1975. Co tu dużo mówić? Pomimo życzeń p. Mazewskiego, chcąc nie chcąc, „demokracja amerykańska” jest od 35 lat „współ-

nikiem totalnego mocarstwa, które zniewoliło swych słabszych sąsiadów narzucając im swój własny system policyjny i nieludzkie praktyki”.

Można się również zgodzić z tym, że kondominium sowiecko-amerykańskie w Europie, istniejące od końca Drugiej Wojny Światowej, spełniło swoje zadanie i linia demarkacyjna dzieląca oba państwa niemieckie jest jedną z najtrwalszych granic w historii obecnego stulecia. Fakt faktem, że okres 35 lat pokoju w Europie jest prawie dwukrotnie dłuższy od podobnego okresu po Pierwszej Wojnie Światowej. Można z tego wyciągnąć wniosek, że i USA i ZSSR, nie mówiąc o ich słabszych partnerach, są zainteresowane w utrzymaniu obecnego stanu rzeczy i przeciwnie drastycznym zmianom w istniejącej korelacji czy konstelacji sił.

Jeśli więc odprężenie sowiecko-amerykańskie i utrzymanie *status quo* leży w interesie narodowym Stanów Zjednoczonych, to odwrotna strona medalu czyli zmiana w obecnym stanie rzeczy i zaognienie stosunków między Waszyngtonem a Moskwą, musi z tym interesem kolidować. *Tertium non datur*. Obecne ochłodzenie tych stosunków związane z sowiecką interwencją w Afganistanie bynajmniej temu nie zaprzecza.

Jeden z moich krytyków wyraził zdziwienie, że nie jestem za tym, aby Waszyngton popierał procesy liberalizacyjne w Europie Wschodniej chociaż godzą one w interesy Rosji Sowieckiej, która przecież jest przeciwnikiem USA. Innymi słowy, Ameryka powinna aktywnie popierać wszelkie wrogie akcje skierowane przeciwko Moskwie w myśl zasady, że „wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi”.

Trudno mi się zgodzić z takim rozumowaniem z paru względów. Wydaje mi się, że nie leży w tej chwili w interesie Ameryki — i chyba Europy Wschodniej — niepotrzebne zaostrzenie stosunków z ZSSR i ewentualny powrót do atmosfery „Zimnej Wojny”, a przecież ingerencja amerykańska w procesy liberalizacyjne może być interpretowana przez Kreml jako posunięcie w tym właśnie kierunku. Po drugie, widać już dzisiaj, że tzw. „cicha dyplomacja” w stosunku do Europy Wschodniej prowadzona przez Niemcy Zachodnie i Francję daje lepsze rezultaty na tym terenie niż często bombastyczne deklaracje ze strony Waszyngtonu. Po trzecie, głośne popieranie przez Amerykę procesów liberalizacyjnych musi skończyć się ponownym kwestionowaniem przez mieszkańców nie tylko Europy Wschodniej ale i Zachodniej rzetelnej gotowości USA do wystąpienia w obronie swych aktualnych czy potencjalnych aliantów, jak to już miało miejsce nie tylko w Europie Wschodniej ale również w Wietnamie Południowym, Tajwanie, a ostatnio w Iranie.

Powyższe nie oznacza jednak bynajmniej, że osobiście zalecam, aby USA tolerowały na wieki wieków hegemonię sowiecką w Europie Wschodniej. Wręcz przeciwnie. Uważam, że od połowy lat sześćdziesiątych Waszyngton posiadał receptę na skuteczną politykę wobec Europy Wschodniej. Mam tu na myśli politykę „budowania mostów”, której architektem był obecny doradca prezydenta Cartera dla spraw bezpieczeństwa. Głównym założeniem tej polityki było przekonanie, że chociaż nie ma mowy na najbliższą metę o obaleniu rządów komunistycznych w tym rejonie, to można próbować załagodzić dotychczasowy charakter i formę tych reżymów i jednocześnie wzmocnić je i usamodzielnic od wpływów Moskwy. W rezultacie, polityka „budowania mostów” oznaczała wzrost pomocy gospodarczej, rozwój stosunków handlowych, turystykę, wymiany kulturalno-naukowe i inne formy „pokojuowego zaangażowania” które natrafiały na podatny grunt w Europie Wschodniej.

Osobiście uważam, że ta polityka odniosła pozytywne rezultaty. Trudno nie zgodzić się z tym, że Europa Wschodnia na początku lat osiemdziesiątych wykazuje spory postęp pod różnymi względami w porównaniu z okresem sprzed 15 czy 20 laty, i że zmiany te były wynikiem polityki wewnętrznej, prowadzonej przez rządy komunistyczne w poszczególnych krajach, jak również do pewnego stopnia skutkiem polityki „budowania mostów” forsowanej przez Zachód. Jeśli ta hipoteza jest słuszna to zachodzi pytanie dlaczego należy tę politykę zmieniać.

Innymi słowy, warto się zapytać, jak mogą Stany Zjednoczone popierać aktywnie procesy liberalizacyjne skierowane przeciwko istniejącym reżymom, podczas gdy jednocześnie Waszyngton robi wysiłki, aby te same reżymy wzmocnić i usamodzielnic, i w ten sposób zmniejszyć stopień kontroli wywieranej przez Moskwę. Albo, albo: jak mówią Anglosasi, nie można zarazem zjeść ciastka i je mieć. W myśl tego uważam, że z punktu widzenia interesów amerykańskich polityka „budowania mostów” ma większy sens aniżeli polityka aktywnego popierania ruchów liberalizacyjnych. Naprawdę nie widzę możliwości prowadzenia równoległej polityki na obu tych frontach przez jednoczesne popieranie istniejących reżymów i popieranie opozycji wobec nich.

Jeśli popieranie procesów liberalizacyjnych w Europie Wschodniej nie leży w tej chwili w interesie Stanów Zjednoczonych, to może jednak to poparcie leży w interesie poszczególnych krajów? W tym wypadku również uważam, że mieszanie się USA do tych procesów nie przyniesie wielkiego pożytku krajom w tym rejonie, a może nawet im zaszkodzić. Śmiem twierdzić, że najszybszy i najpoważniejszy wzrost opozycji wewnętrznej na tym obszarze, który miał i ma miejsce w Polsce, był wywołany nie

tyłe przez bunt przeciwko „niehumanicznym praktykom” stosowanym przez reżym Gierka a rosnącym niezadowoleniem ze stale pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Dalszy wzrost ruchów opozycyjnych popieranym przez USA może w konsekwencji doprowadzić do dwóch możliwych rozwiązań: po pierwsze, do likwidacji istniejących swobód i do zaostrzenia kursu wewnętrznego, a po drugie, do ponownej próby rozładowania napięcia przez poprawę sytuacji gospodarczej przy pomocy ZSSR. Chyba żadna z tych alternatyw nie leży w interesie społeczeństwa polskiego, które niewiele zyska a sporo straci, chociażby przez zwiększenie zależności politycznej i gospodarczej Warszawy od Moskwy i przez utratę nawet tych ograniczonych praw i swobód, które ciągle jeszcze pozytywnie odróżniają Polskę od innych członków Paktu Warszawskiego.

Na zakończenie parę słów o moim krytycznym nastawieniu do amerykańskiej polityki kampanii „praw człowieka”. Można by na ten temat napisać dłuższy elaborat; ja ograniczę się do powtórzenia tego, co napisałem przedtem, a mianowicie, że inicjatywa ta była fiaskiem i że do tej pory przynajmniej nie widzę wielkich rezultatów tej wielce rozdmuchanej kampanii, która prawie od samego początku spaliła na panewce. Doświadczenia z Helsinek i Belgradu mówią same za siebie i wskazują na to, że jeśli w ogóle któreś z państw zachodnich było poważnie zainteresowane w „Trzecim Koszyku” to nie były to Stany Zjednoczone a raczej mniejsze państwa zachodnioeuropejskie takie jak Belgia, Holandia i, *horribile dictu*, Niemcy Zachodnie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że spóźnione adoptowanie przez USA polityki „praw człowieka” w niektórych wypadkach wyrządziło więcej szkody niż pożytku w Związku Sowieckim i może również w niektórych krajach Europy Wschodniej.

#### Zamiast zakończenia

A teraz kilka słów *pro domo mea*. Otóż jak już wspomniałem powyżej, pisząc memoriał dla Senatu USA spodziewałem się dość ostrej nań reakcji, łącznie z epitetami skierowanymi pod moim adresem. Uważałem jednak, że od czasu do czasu należy poruszać pewne kontrowersyjne problemy, nawet jeżeli wywołują one silny odgłos w różnych sferach.

Pomimo to jednak, byłem trochę zaskoczony pewnymi paradoksalnymi oddźwiękami. Z jednej strony emigracja polska na Zachodzie nieustannie krytykuje i oskarża reżym w Warszawie za brak tolerancji i wolności słowa, a z drugiej strony, na przykład, ta sama emigracja zabrania mi dostępu do archiwów za

to tylko, że odważyłem się napisać coś, co nie było zgodne w stu procentach z jej linią przewodnią czy „programem ideowym”, nakreślonym właściwie przez nie wiadomo kogo. Tak się dziwnie składa, że do tej pory nie wpuszczono mnie tylko do dwóch archiwów: PZPR w Warszawie i Armii Krajowej w Londynie. Fakt ten nie jest chyba pozbawiony pewnej ironii.

Jednym z moich najostrejszych krytyków był prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, który oskarżył mnie o cały szereg horendalnych „błędów i wypaczeń”, łącznie z brakiem troski o losy mojej byłej ojczyzny. Nie jest również pozbawiony ironii fakt, że ten sam prezes nie zadał sobie wielkiego trudu aby skontaktować się ze mną przed konferencją w Belgradzie, w której brałem udział jako członek delegacji amerykańskiej. Jak tylko prasa tutejsza podała do wiadomości moją nominację na członka delegacji dostałem cały szereg ciekawych materiałów od grup czeskich, słowackich, węgierskich, estońskich, łotewskich i litewskich, ale ani słowa od Kongresu Polonii Amerykańskiej, który mnie teraz krytykuje.

Mniejsza zresztą z tym. Nie mam zamiaru na zakończenie licytować się w patriotyzmie czy polskości. Pod tym względem nie mam sobie nic do zarzucenia ani też powodu do wstydu, gdyż w swym życiu nie byłem, między innymi, ani *Treuhänderem* ani aparatczykiem. Pisząc referat dla Senatu Stanów Zjednoczonych miałem na sercu zarówno interesy Ameryki, mojej przybranej ojczyzny, jak i Polski, w której się urodziłem i do której ciągle jeszcze czuję duży sentyment. Można się naturalnie z moimi poglądami nie zgadzać, ale przynajmniej były one wygłoszone otwarcie, w przeciwieństwie do większości moich krytyków, którzy z takich czy innych względów woleli oskarżać mnie anonimowo. No, ale to już jest ich sprawa.

Andrzej KORBOŃSKI

## Wołanie na puszczy

### O podwójnym myśleniu i działaniu

Motto: „Biada narodom, które bardziej kochają wolność niż ojczyznę”.  
(Henryk Sienkiewicz)

Pisując w *Kulturze* pisze się przede wszystkim dla czytelnika emigracyjnego, bo *Kultura* do kraju dociera minimalnie, choć ma w Polsce swoją ustaloną legendę. Pisząc więc dla emigracji, chciałbym dziś zacząć od zakwestionowania pewnego emigracyjnego poglądu na sytuację w kraju — zresztą w dużym stopniu zostało to już zrobione w dwóch doskonałych artykułach *Kultury*: „List z kraju” i „Rozdwojenie” (Nr 12/387, 1979).

Na emigracji sądzi się mianowicie, że działalność grup opozycyjnych w kraju jest wyrazem rosnącego buntu i opozycyjności całego społeczeństwa. Tymczasem ja myślę przeciwnie: że opozycja to grupka młodych ludzi, częściowo „wyalienowanych”, to znaczy egzystujących na marginesie normalnego naszego życia, która usiłuje namówić społeczeństwo do buntu czy oporu, lecz wcale jej się to nie udaje. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że opozycja jest słaba i nie dysponuje masowymi środkami przekazu, poza, co najwyżej, radiem Wolna Europa, ale także z wielu innych powodów. Na przykład: a) Społeczeństwo jest bierne, rozbrojone państwowo-partyjnym monopolem działań organizacyjnych. Opozycyjna aktywna mniejszość nie przekona biernej mniejszości, iż należy podważyć ustaloną legalność, wszakże może to prowadzić do utraty szans na uzyskanie tego wszystkiego, co jakoś tam do życia legalnie można zdobyć. b) Po wojennej hekatombie demograficznej, która w olbrzymim stopniu dotknęła inteligencję, ton nadaje obecnie inteligencja „z awansu”, specjalnie psychicznie urobiona, oderwana od dawnych tradycji, a dobrze pamiętająca o źródłach swego awansu. c) Społeczeństwo nie informowane o istotnych problemach polityczno-gospodarczych, nie zna istoty ustroju i jego immanentnych wad, jego historii, nie zdaje sobie nawet sprawy z działania cenzury.

d) Społeczeństwo wie za to doskonale, że jego obecną sytuację geopolityczną wymyślili i utrzymują Rosjanie, że w dużym stopniu zamieszkuje ono na nowych, poniemieckich a korzystnych ziemiach, których nie chce i nie może utracić — stąd obawa przed ryzykiem, związanym z wszelkimi zasadniczymi wstrząsami. e) Ludzie są wprawdzie zmęczeni i zdenerwowani trudnym życiem, ale przywykli już radzić sobie „na lewo”, kombinacjami i wykrętem, czemu mimo wszystko sprzyja specyficznie funkcjonujący gierkowski NEP dewizowo-agencyjny. f) Nikt nie wierzy w zasadnicze zmiany światowe, wszyscy wiedzą już doskonale, że Zachód nie zamierza ratować nas od komunizmu — przeciwnie, podtrzymuje ten komunizm ekonomicznie, aby nie zbankrutował i nie zawałił się. Etc., etc.

Jeśli mimo to wszystko i niezależnie od działań młodzieńczych przeważnie grup „kontestatorskich”, nastroje opozycyjne, choć nie „powstańcze”, w społeczeństwie niewątpliwie w ciągu ostatniego roku wydatnie wzrosły, stało się to dzięki wyjątkowej gospodarczo-społecznej nieudolności rządzącej ekipy, dzięki marnotrawstwu, dyletantyzmowi a zarazem megalomanii kierownictwa, widocznymi wszędzie gołym okiem. Zaiste, opozycja winna złożyć Gierkowi i Jaroszewiczowi podziękowanie, dzięki nim bowiem zyskała szansę i wiatr w żagle, o jakich jej się od czerwca 1976 nie śniło. Ale teraz przed nami, pisującymi tu i ówdzie o polityce, staje ważny problem: co doradzać opozycji, jakie hasła proponować?

W nieoficjalnym piśmie *Respublica* nr 1 napisałem artykuł „Czy geopolityka straciła znaczenie?”, w którym wskazywałem, że Polska długo jeszcze pozostanie w sferze rosyjskiej i że trzeba wyciągnąć z tego wnioski w myśleniu politycznym, przygotowując np. koncepcję współpracy z Rosją, odrzucającą jednocześnie komunizm. Stanisław Stomma, aprobując ten artykuł, zarzucił mi niekonsekwencję i dwulicowość, że w innych wypowiedziach, zwłaszcza sygnowanych „Kisiel” (artykuł w *Respublice* podpisałem jako Stefan Kisielewski), m.in. w felietonach dla *Kultury*, atakuję i wyśmiewam Rosję.

Otóż podwójność myślenia i działania jest tu niewątpliwa, symbolizuje ją właśnie rozmyślna dwoistość podpisów. Podwójności myślenia nie sposób uniknąć przy nieszczęśliwie dwuznacznej sytuacji Polski Ludowej, która swą geopolitykę zawdzięcza Rosji i zawsze może być straszona polującymi na Wrocław i Szczecin Niemcami, jednocześnie zaś ma dosyć, wręcz po dziurki od nosa, komunizmu, wraz z jego wszystkimi absurdami. Sądzę jednak, że przygotowywanie alternatywy psychologiczno-politycznej na arcyprawdopodobną okoliczność, iż stosunki geopolityczne w Europie przez długie lata stanowiąc będą trwały *constans* nie ma nic wspólnego z zapieraniem się siebie, swojej historii i sposobu myślenia, swojej osobowości narodowej, o którą właśnie chodzi. Toć i Finnowie, niezależnie od polityki zagranicznej jaką prowadzą, nie mają zgoła zamiaru zlikwidować pomnika Mannerheima, czy upaństwowić handlu mlekiem!

Co więc proponuję opozycji, zakładając niezmienną sytuację podziału Europy na długie jeszcze lata?

Myślę, że najważniejszym zadaniem jest uświadomienie społeczeństwu, że jego i w ogóle Polski największym wrogiem jest USTRÓJ. Przed laty puścili go w ruch Rosjanie, lecz dzisiaj działa on już samoczynnie, prowadzony polskimi rękami, przy mniej lub bardziej biernym udziale 3 milionów członków Partii, bałamuconych na różne sposoby. Można tu przeżyć życie, nie widząc na oczy Rosjanina, a jednocześnie będąc konsekwentnie z roku na rok sowietyzowanym. Nie jest przecież Rosjaninem cenzor, niszczący kulturę i historię, nauczyciel, wbijający dzieciom do głowy absurdy i fałszywe, zaturawający psychikę dziennikarz, budujący niepotrzebną fabrykę inżynier, policjant, funkcjonariusz partyjny, gorliwy dyplomata, uległy naukowiec etc. Ustrój niszczy nas moralnie i materialnie. Moralnie, przez organizacyjny i propagandowy przymus kłamstwa, przez tworzenie fałszywych elit premiujących oportunistów, tchórzostwo, karierowiczostwo, przez dezinformację i powszechne ogłupianie. Materialnie — przez błędne a nieodwracalne inwestycje, przez niszczenie przyrody, lasów, gleby, burzenie starych dzielnic miejskich i pokrywanie kraju bezduszną, standardową zabudową, przez odebranie społeczeństwu inicjatywy inwestycyjno-ekonomicznej i oduczenie od niej, przez likwidowanie wolnej myśli w każdym dziedzinie. Ustrój odbierze nam tożsamość psychiczną i kulturową, zdegeneruje nas, przestaniemy być narodem.

To właśnie a nie co innego tłumaczyć trzeba ludziom, pokazując jak nasza rzeczywistość wynikała ze specyficznej realizacji doktryny „społeczeństwa bezklasowego” i „dyktatury proletariatu”. Ale tłumaczyć bez wymyślania i krzyków, że wszystkimu winni są Rosjanie — bo myśmy sami, społeczeństwo, też grubo winni. Antyrosyjskości nie ma co u nas podsycać, jest jej i tak dosyć, to za łatwe zwalnianie nas od odpowiedzialności i obowiązku walki. Istotą rzeczy jest ustrój, a pytanie najważniejsze: o ile da się go zwalczyć i zmienić, jeśli geopolityka w Europie nie ulegnie zmianie — zaś obowiązkiem działaczy realistów jest uwzględnianie hipotezy najbardziej pesymistycznej. Wszak amerykański minister Vance, przemawiając w grudniu 79 w Berlinie z okazji decyzji o zainstalowaniu nowego systemu rakiet nuklearnych NATO, potraktował kraje „demokracji ludowej”, nasze kraje, jako organiczny składnik siły rosyjskiej, ani się zająknął, że kraje te zostały do swej obecnej sytuacji zmuszone siłą, że wszakże nigdy przedtem nie były one antyamerykańskie. Ameryka uznaje *status quo* i *cuius regio eius religio*. To chyba daje coś do myślenia!

W tej sytuacji absurdem ze strony naszej elitarniej opozycji byłoby wysuwanie hasła „pełnej niepodległości” czy suwerenności. Pełna niepodległość, czyli niezależne wojsko i niezależna polityka zagraniczna? — mój Boże, toć niejedno zachodnioeuropejskie wolne państwo broni się dziś przed tym jak przed zarazą! Własna polityka zagraniczna dziś, między dwoma blokami,

musiałaby znów Polskę doprowadzić do sytuacji Józefa Becka, który znalazł się wobec sojuszu niemiecko-rosyjskiego i czwartego rozbioru Polski. Jeśli nie do sytuacji Imre Nagy'ego, gdy zdecydował się samotnie wystąpić z Paktu Warszawskiego — rezultat znany (i do powtórzenia).

Oczywiście — w polityce i historii wszystko jest możliwe, zdarzają się i cuda, do których zastosujemy się, gdy przyjdą. Jeśli wybuchnie Wojna Światowa, czy też Rosja a raczej Związek Radziecki zacznie się rozpadać, wówczas wyłonią się inne możliwości i inne hasła (a także uaktualni się znów dla nas sprawa niemiecka). Dmowski planował iść z caratem, gdy carat upadł, przestawił się na aliantów zachodnich. Piłsudski szedł z państwami centralnymi, gdy zobaczył, że Niemcy przegrywają, poszedł do Magdeburga. Na takie gesty zawsze jest czas. W sytuacji jednak obecnej, gdy ani Wschód ani Zachód nie zamierzają zmienić europejskiego *status quo*, przed realną polską opozycją zarysowuje się jedna tylko alternatywa: albo dalsza sowietyzacja, realizowana przez ustrój a zagrażająca narodowej tożsamości, albo też walka o finlandyzację, czyli o zmianę ustroju wewnętrznego, bez naruszania sytuacji międzynarodowej i wzbudzania terrorystycznej akcji Rosjan. Tak jak by ktoś mówił do Kremla: — Pozwólcie nam zmienić ustrój i rządzić się po swojemu, a i tak zostaniemy z wami!

Utopia to czy nie? Jeśli utopia, to na pewno nie większa niż domaganie się absolutnej niepodległości w epoce, gdy nawet potężna RFN nie domaga się zjednoczenia Niemiec ani likwidacji berlińskiego muru. Istotę moich rozważań w *Respublice* dobrze uchwycił w *Kulturze* Gustaw Herling-Grudziński pisząc, że ja rozpatruję dylemat czy Związek Sowiecki może być „normalnym”, świeckim mocarstwem imperialnym, czy też musi być państwem „religijnym” (religia marksistowsko-leninowska oczywiście), ideologicznym, wymagającym od swych geopolitycznych satelitów wspólności ustrojowej. Oczywiście, o to mi właśnie szło, o zdanie sobie sprawy z istnienia tego dylematu i wciągnięcie go na wokandę opozycyjnych rozważań, nie zaś o „współrządzenie” z Rosjanami czy komunistami, jak mi to ktoś naiwnie zarzucił. Czy możemy, pozostając we wschodnim bloku, do którego zresztą Zachód nas wepchnął w Jałcie i Helsinkach, pozostać jednak sobą? — oto jest pytanie.

Pewien mój polemista powiedział, że żadnej alternatywy tu w istocie nie ma, ponieważ Rosjanie nigdy nie zgodzą się na rezygnację z sowietyzacji ideologiczno-ustrojowej, która jest dla nich najlepszą gwarancją i duchowego i fizycznego, a przy tym samoczynnego niewolenia narodów, czyli sowietyzacji również państwowo-imperialnej. Skoro zaś nie ma możliwości, aby Rosjanie zmienili swój pogląd, skoro więc hasło finlandyzacji jest równie utopijne i dalekie, jak hasło pełnej niepodległości, zdrowiej dla moralnej i narodowej edukacji społeczeństwa jest wysuwanie przez opozycję hasła drugiego, maksymalistycznego ale za to plakatowo jednoznacznego.

Z tym poglądem również się nie zgadzam. Jeśli jednym z głównych zadań opozycyjnej myśli politycznej w Kraju i na Emigracji jest przygotowanie kadry wolnych, patriotycznych działaczy, to ważne jest, aby przygotować kadrę realistów, nie zaś fantastów. Realizm zaś mówi nam, że zawsze, cokolwiek się stanie, pozostaniemy sąsiadem Rosji, bo takowej gdzie indziej przenieść się nie da — mapa ma swoje nieugięte wymagania. Stąd też wynika i proponowana przeze mnie, treningowa w pewnym sensie podwójność koncepcji opozycyjnej na dziś: walczyć z sowietyzującym ustrojem, nie przesadzając geopolitycznego stosunku do Rosji-mocarstwa. Walka ta to wzmagany nacisk psychiczno-kulturalny i społeczny, to atak prowadzony w różnych formach w obronie naszej historycznej osobowości, sposobu myślenia, wolności słowa, prawa do wewnętrznych inicjatyw politycznych i gospodarczych, do wyboru ustroju wreszcie. Ale walka ta, najbardziej nawet ostra i zdecydowana, nie może przedzielić się w tromtadracką, samotną wojnę z sowieckim imperium, zwłaszcza w sytuacji, gdy mocarstwa zachodnie okazują dla naszej sprawy kompletną obojętność (przeciwnie, niż postępują w Azji), a nawet suwerenne Niemcy Zachodnie nie wykluczają ze swych politycznych rozważań dyskusji o finlandyzacji. Nie bądźmy bardziej zachodni niż sam Zachód, walcząc zaś o swą osobowość duchową (a tylko naród mający taką osobowość wart jest niepodległości), nie ryzykujemy przedwcześnie swej osobowości fizycznej...

Stąd, ze złożonej, dwuznacznej sytuacji światowej wynikać musi świadoma podwójność polskiego narodowego myślenia i działania, którą proponuję.

KISIEL — Stefan KISIELEWSKI

Warszawa, styczeń 1980.

Stefan Kisielewski pisze: „Zdarzają się i cuda, do których się zastosujemy gdy przyjdą”. To będzie jednak za późno. Piłsudski zdecydował się na pójście do Magdeburga nie w ostatniej chwili — ten wariant miał przemyślany jeszcze przed wojną (patrz relację Czernowa). Dmowski nie zaczął szukać oparcia na Zachodzie dopiero po zawaleniu się caratu: miał zawczasu wypracowane kontakty i dojsca w Londynie i Paryżu. A więc już dziś trzeba myśleć i mieć przygotowane warianty. „Myślenie ma kolosalną przyszłość” (kto to powiedział, kotku?). A wreszcie ta geopolityka, która tak paraliżuje autora. „Pozostaniemy sąsiadem Rosji...” — pisze Kisielewski — zapominając o Ukrainie i państwach bałtyckich chociażby. Czy coś się robi w kierunku już nie współpracy, ale choćby normalizacji naszych stosunków z tymi narodami? Niewiele. A nawet niektórzy narzekają na przesadny antypolski nacjonalizm np. Litwinów, nie próbując nawet przeanalizować co go spowodowało i czy my się do tego też nie przyczyniliśmy?

Przygotowujemy kadrę realistów a nie fantastów — zgoda: ale realistów z wyobraźnią polityczną. — Redaktor.

## Ci, co odeszli

### Był raz...

Zygmunt, buczący trzmiel, szukający słodyczy życia, i demonizm tzw. wielkich historycznych wydarzeń: trudno pogodzić jedno z drugim. Wychowywał się w Polsce lat dwudziestych, kiedy nic prawie z tego co miało nastąpić nie wydawało się możliwe. Pochodził z tego domu i przypuszczam, że ci, którzy go znali przed wojną widzieli w nim sporo cech właściwych rozpieszczonym jedynakom z patrycjańskich rodzin. Przystojny, w miarę zamożny, ubierający się u dobrych krawców, bywalec kawiarni i dansingów, towarzyski, lubiany, pewnie uchodził za typowego złotego młodzieńca, choć jego światły i wykształcony ojciec, działacz społeczny w Łodzi i potroszę literat, zaraził go miłością do książek. Po studiach i służbie wojskowej w podchorążówce artylerii, Zygmunt został urzędnikiem firmy Solvay sprzedającej sodę kaustyczną. Przyzwyczajony zarabiał, kupował samochody, podróżował, żył. Poznał młodą absolwentkę prawa, która już wybiła się jako wyjątkowo zdolny referent notariatu, i ożenił się. Zosia była śliczna, a przy tym uroda szła u niej w parze z niezwykłymi zaletami charakteru, na czym Zygmunt chyba od razu się poznał. Był bystry, wrażliwy, i, myślę, zupełnie pogodny, a więc wolny od wyrzutów sumienia: że on ma tyle z dóbr ziemskich i szczęścia, a inni nie mają. Jego sceptycyzm i jakby przyrodzony liberalizm uzbrajały go i przeciw rozmyśleniom dogłębnym i przeciw ideologiom naszego stulecia. Od polityki stronni, człowiek prywatny z powołania i upodobań.

Kiedy dwa totalitarne państwa zawierały pakt Mołotow-Ribbentrop, zaopatrzony w klauzulę o podziale łupu i rozpętujący drugą wojnę światową, Zygmunt miał lat trzydzieści jeden. Podział został przeprowadzony i w wyniku oficjalnego hasła: *Nikakoj Polsce nigdy nie budżet około półtora miliona oby-*

wateli polskich zostało deportowanych w głąb Rosji. Wśród nich Zygmunt z żoną, oboje do Maryjskiej Autonomicznej Republiki, żeby tam ścinać las. Żywot drwali często miał powracać w rozmowach Zygmunta. Skierowany w płożne lasy konwój obywateli państwa, które przestało istnieć zastał tam zwały drzewa leżące od lat z powodu braku transportu i już zbutwiałe, podobnie jak zbutwiały już szczątki tych, którzy to drzewo wyrabali, kubańskich kozaków, co niezbyt radośnie nastrojało nowoprzybyłych.

Kiedy poznałem Zygmunta w 1951 roku, miał za sobą exodus z armią Andersa, Iran, Irak, i kampanię włoską, po czym zdemobilizowany porucznik artylerii Hertz przyłączył się do trzyosobowego zespołu, który w Rzymie założył dom wydawniczy zwany Instytutem Literackim, a popularnie, od nazwy jego pisma, *Kulturą*, przeniesiony wkrótce do Maisons-Laffitte pod Paryżem. Oczywiście nie mam tu zamiaru pisać dziejów *Kultury*, ale kilka spostrzeżeń wydaje się niezbędnych. Czas jest wrogiem naszych prób utrwalenia rzeczywistości, bo nakłada ciągle nowe warstwy na warstwy już zastane, tak że nieunikniona jest projekcja wstecz. Wielki strach w Polsce 1951 roku wymyka się już wyobraźni, ale powody jego łatwiej zrozumieć niż fazę, jaką przechodził wtedy duch zachodnioeuropejski, w każdym razie paryski. Duch ten, jeżeli wierzyć jego wyposażonym w pióra rzecznikom, pogrążał się w egzystencjalną melancholię z powodu straconej okazji, tj. dlatego, że zachodnia część kontynentu została wyzwolona przez niewłaściwą, czytaj kapitalistyczną, armię. Nieliczni, przebąkujący, że może to i dobrze, byli tępieni jako amerykańscy agenci, poddawani towarzyskiemu ostracyzmowi, a także włożeni po sądach. Odbywał się właśnie proces Dawida Rousset, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, autora książki *L'Univers concentrationnaire*. Miał czelność gdzieś napisać, że w Rosji też są obozy koncentracyjne, stąd proces o oszczerstwo (nie pamiętam na jakiej akrobatycznej zasadzie prawnej zmontowany), wytoczony mu przez *L'Humanité*. W tych warunkach emigracyjne pismo *Kultura* było najzupełniej izolowane czyli żadnego podobieństwa do sytuacji emigrantów po roku 1831, kiedy to duch europejski ich witał jako obrońców wolności — więcej to nieraz ważyło niż nieprzychylność rządów. W naszym stuleciu dopiero z końcem lat pięćdziesiątych, a tak na dobry ład dopiero w latach sześćdziesiątych nastąpiło zdjęcie tabu tj. niechętnie przyznanie, że emigracyjne pisma nie muszą być melinami łajdaków, faszystów, agentów, i że ich współpracowników można nawet zapraszać do domu.

I oto Zygmunt w sytuacji przymusowo heroicznej, dlatego po prostu, że wbrew swojej chęci odbył kształcące wyprawy i

teraz mógł tylko wzruszać ramionami nad błazeństwem i hańbą europejskiego umysłu przechadzającego się po bulwarze St. Germain. Dlatego też, że podczas gdy inni tego rodzaju bywalcy cichutko zajęli się na nie-tak-znowu najgorszym Zachodzie robieniem pieniędzy, został członkiem zespołu najoczywiściej służącego niepraktycznym celom. Co gorsza, on, tak prywatny, tak lubiący mieć swoją własność i swoje własne drogi, trafił do komuny. Słowo to obrosło w tyle znaczeń, że może lepiej zastąpić je innym: falanster. Nie zmieni to faktu, że *Kultura* była przedsięwzięciem szalonym, które z braku pieniędzy mogło istnieć tylko jeżeli jej zespół mieszkał razem, jadł razem i razem pracował, dając każdemu wedle jego skromnych potrzeb, nie więcej. Zygmunt, jak się domyślam, wiele razy odczuwał pokusę odejścia. I zważywszy na jego talent obcowania z ludźmi, znajomość języków, energię, pracowitość, powiodłoby mu się wszędzie, za co by się wzięł. Ale zrobił inwestycję uczuciową. Dziw nad dziwy, komuna czy falanster czy kołchoz, wspólnota *Kultury* miała przetrwać dziesiątki lat.

Początki naszej przyjaźni. Więc ów pierwszy dom *Kultury*, wynajmowany przez nią przy avenue Corneille *pavillon* wielkiej brzydoty i niewygody, i chłód podparyskiej zimy, na który niezbyt pomagały pękate *chaudières* ładowane węglem, i ta dzielnica ciągnących się kilometrami kasztanowych alej, zwały suchych liści i razem coś z dziewiętnastego wieku w Twerze czy Sarajewie. Tam to Zygmunt został świadkiem moich bynajmniej nie urojonych cierpień, a gdyby ktoś powiedział, że człowiek upokorzony cierpi z własnej winy, bo słusznie mu się kara za pychę należy, dotkliwość przez to nie ubędzie. Zacząłem przy avenue Corneille pisać *Zniewolony umysł*, ale nie było w nim pytań najprostszych, których co prawda zwrócić nie było do kogo. Jeżeli jak długo byłem po tamtej stronie korzystałem nie tylko z materialnych, także moralnych, przywilejów, na jakiej niepojętej magicznej zasadzie zmieniłem się, uciekając stamtąd, w indywidualum podejrzanym dla wszystkich? Bo przecie tam wystarczyło nie być z nimi na sto procent, ogłosić „Traktat moralny” (dysydencki, jakby dziś powiedziano) i zajmować się tłumaczeniem Szekspira, żeby uchronić za przyzwoitego człowieka. I drugie, może zresztą to samo, pytanie: czy zwierzyzna ma prawo uciekać z lasu, który zmienił właściciela? Duch europejski miał co do tego wyrobioną opinię i stał na straży z dubeltówką, ów duch europejski ucieleśniony w moim Paryżu Eluarda, Aragona, Nerudy, z którymi jeszcze niedawno spijałem trunki. Ponieważ Zygmunt znał także moje nędzne finanse i powikłania wizowe, z których powodu przez trzy lata miałem być rozłączony z rodziną, oceniał moją sytuację jako okropną. Czule opiekował się mną, pilnował, a kiedy wyjeź-



dąłem do miasta dbałem żebym miał parę franków na śniadanie i papierosy. Wtedy, przyjmując te dary, byłem zbyt zajęty swoim zmartwieniem, żeby dary zaraz ocenić, ale nie zapomniałem o nich, skoro później całe lata w moim przywiązaniu do niego było wiele zwykłej wdzięczności.

Zygmunt już wtedy był tłuścioch, ale krwisty, dobrze nabity ciałem, zdrowy. Żarłok, smakosz, pijus, a nade wszystko gaduła, uosobienie jowialnego humoru i towarzyskiej pasji. Mówię: pasji, bo miał jakby wbudowany radar kierujący go niezawodnie do ciepła obcowania z innymi, do śmiechu, plotki, anegdota, opowieści. Samotność byłaby dla niego nie do zniesienia. I sam tak promieniował ciepłem, że dogrzewał w ponurym domu przy avenue Corneille czego nie mogły dogrzać piecyki. Często mnie irytował nadmiarem: co raz to zaglądał do zakopconego moimi papierosami pokoju bibliotecznego gdzie mieszkalem i pisałem, siadał i zaczynał rozmowę; jej chęć była silniejsza niż postanowienia żeby nie przeszkadzać.

„Czesiu, nie mów, powiesz głupstwo. Napisz”. Ta rada Zygmunta, którą często sobie później powtarzałem, była trafna, a odnosiła się do mego złego obyczaju wygłaszania skrajnych i rażących sądów z samej przekory. Szczególnie miała zastosowanie do moich, wówczas wcale nie najbardziej harmonijnych, stosunków z *Kulturą*. Bo jednak byliśmy tworamami nie tak samo naznaczonymi czy urobionymi i przy naszym spotkaniu, na przecięciu różnych orbit, nie obywało się bez zadrażnień, za co odpowiedzialność ponosiły w znacznym stopniu moje prowokacje. Zygmunt, jak wskazuje jego rada, nie dawał się nabrać, bo pomiędzy moją mową mówioną i pisaną rozróżniał. Do pierwszej odnosił się z tolerancją, drugiej ufał.

Nie traktowałem wtedy Zygmunta jak przyjaciela którego się wybiera, z którym powinno się mieć intelektualne porozumienie. Był dla mnie raczej jak koleczy szkolni wyznaczani nam bez naszego udziału. Do talmudycznych rozcinań włosów na czworo szukałem innych partnerów. Bo Zygmunt był dla mnie zachowanym okazem przedwojennego inteligenta uformowanego przez *Wiadomości Literackie*, *Cyrulika*, *Szpilki*, z filozofią której przewodził Boy i Słonimski z „Kronik Tygodniowych”, a ja miałem za punkt ambicji wyrwanie się z Polski przedwojennej, w jej obu odmianach, liberalnej i „narodowej”. A jednak, jak jeszcze raz się okazało, przyjaźnie i miłości intelektualne przybierają nieraz dramatyczny obrót, natomiast te inne, oparte na trudniej uchwytnych porozumieniach, bywają trwalsze. A nie staliśmy przecie w miejscu, zmienialiśmy się, i ja, i Zygmunt, w sposób, myślę, który nas zbliżał.

Progami na których można rozbić się są w życiu każdego kryzysy tożsamości. Wiedzieć kim się jest, jaką przyjmuje się rolę i wobec jakiej, choćby niedużej, grupy ludzi, jak jest się widzianym przez innych: w tym wszystkim zawód ma miejsce wybitne, jeżeli nie kluczowe. Dlatego też nigdy nie doradzałem emigracji z Polski osobom już wciągniętym w niektóre zawody, na pewno nie literatom i aktorom. Sam przecie musiałem zmienić zawód i zgodzić się, że w oczach mego otoczenia będę tylko profesorem uniwersytetu. Zanim to nastąpiło, zebrałem sporo ciekawych doświadczeń. I nie przeszkody są tutaj istotne, choć na pewno było mi przykro kiedy młody paryski autor, którego mi polecono jako tłumacza, powiedział wręcz, że chętnie by mnie tłumaczył, ale gdyby to zrobił, nic nie mógłby swojego wydrukować, bo „oni” kontrolują literackie pisma. I ileś lat po tym śmiech pusty mnie ogarnął kiedy dowiedziałem się, że wielki, sławny dom wydawniczy paryski dał moją nową książkę (*Rodzinną Europę*) do oceny partyjnemu literatowi z Warszawy: to prawie lepiej niż policja francuska dziewiętnastego wieku zbierająca w carskiej ambasadzie informacje o emigrantach. Ale nie przesadzajmy z przeszkodami. W 1953 roku na konkursie *Prix Européen* w Genewie reprezentowałem Francję, choć przecie jury francuskie wiedziało, że mój maszynopis jest tłumaczeniem z polskiego. Sukces dopiero mnie przestraszył: bo wtedy uświadomiłem sobie, że pisząc dla cudzoziemców nie wiem i nie będę wiedział kim jestem i że z moją francuską karierą trzeba skończyć. Te przygody nie mogły nie obniżyć moich aspiracji. Wybierałem mój język, na szerokim świecie nieznanym, czyli rolę poety, jak to nazywał Zygmunt, Nadwiślanii.

Zważywszy na te moje przygody, mogę w skrócie przedstawić wielkie walki wewnętrzne Zygmunta, tak jak je obserwowałem i przez co czułem coraz więcej dla niego szacunku. Ci, którzy biorą do ręki roczniki *Kultury* i książki wydane przez Instytut Literacki, i którzy będą je brać do ręki w przyszłości, powinni pomyśleć chwilę o garnkach kuchennych, o przygotowywaniu śniadania, obiadu i kolacji przez te same trzy-cztery osoby odpowiedzialne za redakcję, korekty i ekspedycję, o zmywaniu, o zakupach, na szczęście we Francji łatwych, i pomnożyć liczbę tych i podobnych domowych zajęć przez liczbę dni, miesięcy i lat. A także o sznurkach, papierze pakowym, o dźwiganiu, noszeniu, nadawaniu przesyłek na pocztę. Kryzys tożsamości Zygmunta nie był bez związku z jego dawnym rozpieszczeniem to znaczy z niechętnym wyzbywaniem się własno-woli. Gdyby miał skłonności do wyrzeczeń, gdyby był fanatykiem idei, łatwiej wchodziłby w skórę zarządcy, kuchcika, ekspedytora i tragarza. Ale jego stosunki z ideami zawsze były mało kordialne. Absolutnie

uczciwy, lojalny, otwierał się tylko na ludzi, nie na dalekosiężne zamierzenia, dla niego abstrakcje. Kim powinien byłby być, jak wyobraziliby go sobie jego znajomi, a może on sam? Dyrektor wielkiego, sprawnie działającego przedsiębiorstwa, kilka telefonów na biurku, sekretarki, konferencje, a w swojej willi amfiteatr o bezgranicznej gościnności, mecenas artystów, kolekcjoner dzieł sztuki, dobroczyńca sierocińców i szpitali. Zapewne wszystko to było do osiągnięcia, ale pod warunkiem, że zacznie się w porę. A tymczasem rok za rokiem upływał na pakowaniu, wozeniu paczek ręcznym wózkiem na stację w Maisons-Laffitte, ładowaniu ich do pociągu, wyładowywaniu na Gare St. Lazare, zakupach, gotowaniu itd.

Kolektyw tylko jeżeli dość długo trwa wydaje się *ex post* idyllą, na mocy samego trwania. W istocie jego dzień powszedni jest pełen napięć pomiędzy osobami, a że Zygmunt na osoby był wrażliwy, bardzo nieraz cierpiał. Bo nie jest łatwo zgodzić się na skromne miejsce jakie komuś musi przypaść w zespole i choć jest jasne, że ktoś musi wziąć na siebie pracę dla najsilniejszego fizycznie, wymaga to niemałej samo-dyscypliny. Zmaganie się Zygmunta ze sobą, szukanie rozwiązań i wreszcie przyjęcie swojej tożsamości anonimowego niemal pracownika, to treść jego dorzącego wieku. Znowu muszę tutaj wrócić do zniekształceń wprowadzanych przez czas. Gdyby wierzyć prasie warszawskiej lat pięćdziesiątych, *Kultura* była potężną instytucją wyposażoną przez Amerykanów, niejako równoległą do Wolnej Europy, z taką ilością personelu, jaka (każdy sądzi po sobie) jest w Polsce potrzebna żeby wydawać pismo i książki. Goście z Polski odkrywali ze zdziwieniem, że obraz ten nie miał nic wspólnego z rzeczywistością i stanowił jeszcze jeden przykład fabrykowania legend, w które zaczynają następnie wierzyć sami ich twórcy. Ale dzisiaj, kiedy minęło trzydziestolecie *Kultury*, jeżeli nie obraz to znaczenie przypisywane wtedy *Kulturze* nie wygląda na przesadę. Bo niewątpliwie *Kultura* przewyższyła i długotrwałością i wpływem cokolwiek co w tym zakresie osiągnęła Wielka Emigracja, i ma swój rozdział w dziejach polskiego piśmiennictwa, czy po prostu w historii Polski. I oto Zygmunt-trzmiel, dziś buczący na zaświatowych łąkach, jako postać historyczna. Tylko że, wybierając, nie wiedział, że nią będzie. Całe przedsięwzięcie mogło rozpełznąć się i zginąć bez trwalszego śladu, albo same polityczne warunki w Europie, niepewne, nie do przewidzenia, mogły położyć takim próbom koniec.

Czy grubasy mogą głęboko przeżywać? Zygmunt był połączeniem delikatności i żarłoczności, dyskrecji uczuć i huczenia śmiechem. Przybywało mu brzucha i upodobał się do Zagłoby. Marek Hłasko mówił mu „Wuju”. Zagłoba jednak nie miał

pewnie tego wykroju ust: bardzo sensualne i jakby niemówące, układające się do przyjęcia smoczka czy łyku wody ognistej, kapryśne przy tym i nerwowe. Urodził się hedonistą i zasada przyjemnościowa nim rządziła. A przyjemności w świecie znajdował pod dostatkiem. Dzięki niemu głównie konieczność wspólnej kuchni w *Kulturze* przekształcała się w rozkosze stołu, w uczyty, biesiady, bo przynajmniej na jedzenie sobie nie skąpiono. Goście, stale, zewsząd, z krajów europejskich, z Polski, z Ameryki, zaspakajali jego towarzyskie pasje, jego ogromną ciekawość twarzy, charakterów, biografii. Jazda z paczkami do Paryża dostarczała okazji do spotkań z tym czy owym przy winie, do gaworzenia i oglądania tłumy. I właśnie idąc za swoimi naturalnymi skłonnościami Zygmunt odkrył swoje prawdziwe powołanie i swój talent. A kiedy odkrył, wszystko zaczęło się układać we wzór czytelny, poszczególne rozrzucone fragmenty łamigłówki przeznaczenia już przylegały do siebie, a to, co z początku wydawało się rezygnacją, okazywało się najbardziej ambitnym wyborem. Krótko mówiąc, Zygmunt był z powołania *filanthropos*, przyjaciel ludzi, a nigdzie jego zdolność do robienia ludziom dobrze nie znalazłaby takiego zastosowania jak w tej dziwacznej strefie „pomiędzy Polską i za granicą. Zygmunt żył „Nadwiślanią”, współczuł, wściekał się, cieszył, wstydził z powodu tego co się tam działo, traktował to swoje zaangażowanie jak chorobę, ale nieuleczalną, i już taką przeciwko której przestał się buntować. To stałe przejęcie się Polską przybierało, jak to u niego, zawsze postać konkretną, wysokości zarobków, cen, warunków pracy, wolności osobistej albo jej braku, czyli losu rzeczywistych ludzi, znanych mu z imienia i nazwiska, albo dokładnie, w ich codziennym bytowaniu, wyobrażonych. Natychmiast też pojawiała się u niego myśl o czynnym udziale, o niesieniu pomocy. Lista osób, które Zygmunutowi zawdzięczają stypendia, zaczeplenia w Paryżu, zaproszenia za granicę, byłaby ogromna. Kwitł swoim intryganctwem, obmyślał posunięcia, kogo poruszyć, kogo na kogo napuścić — tak jak mnie długo męczył, aż zgodziłem się pójść do Jean Cassou, wtedy dyrektora Musée d'Art Moderne z pewną młodą plastyczką, która zaraz siadła potentatowi paryskiemu na biurku (i zwyciężyła). A ileż było podobnych intryg, telefonów, przynagleń, przypomnień! Wyglądało na to, że Zygmunt sobie w pewnym momencie powiedział: „Tu jestem, żadna większa przyszłość mnie nie czeka, no to zróbmy tyle dobrego ile się da”. Jeżeli niedostatecznie podkreśliłem jego udział w kształtowaniu politycznego oblicza *Kultury*, to dlatego, że był we władzy swego współczucia, gniewu, litości, podziwu dla szlachetnych i wstrętu do podłych, czyli wszystko zaczynało się u niego od etycznego odruchu. I w miarę jak etycznie rósł, rozszerzając

swoje własne pole działania, zwiększała się jego rola inspiratora, pośrednika, znakomitego *public relations man* w służbie niezależnej myśli, a tym samym, rzecz można bez przesady, jego obecność przemieniała i humanizowała dom *Kultury*.

Sceptyk. Do możliwości reform ustroju strzeżonego przez tanki sąsiada odnosił się z niedowierzaniem. Co do tych, którym pomagał, nie miał wielu złudzeń i zauważał na nich piętno zdrobnienia, przyzwyczajęń nabytych w walce wszystkich ze wszystkimi o grosze. Jednak nie wątpił, że sam byłby taki jak oni, i, kto wie, pewnie robiłby świństwa jak wielu z nich, gdyby tam mieszkał. Zygmunt stale cieszył się, że mieszka we Francji, a równocześnie od nikogo na owym Zachodzie, po którym niewiele się spodziewał, nie zależy. Dom *Kultury* przy avenue de Poissy, już instytucją, już zasobny w wielką bibliotekę i obrazy polskich malarzy, był jak wyspa wyłoniąca się z odmętów, pomiędzy jednym kataklizmem i drugim, i sceptyk Zygmunt nieraz wyrażał nadzieję, że następnego kataklizmu nie dożyje.

Płacę po Zygmuncie z powodów wielce egoistycznych. Co można mieć lepszego na ziemi niż kilkoro ludzi trzymających się za ręce, którzy razem tworzą obwód i czują przebiegający po obwodzie prąd? Paryż po emigracji stamtąd do Ameryki w 1960 roku pozostał dla mnie takim małym gronem przyjaciół, ale to przede wszystkim Zygmunt nas razem trzymał, jego prąd czuliśmy najsilniej, a teraz, jak we śnie, nasze ręce wyciągają się ku sobie i nie mogą się połączyć. Tak że mój punkt odniesienia na wschód od Kalifornii stracił wyrazistość. Można też inaczej wytłumaczyć nagle mnie dopadające uczucie pustki. Przez dwa dziesiątki lat Zygmunt był moim wiernym korespondentem. Uprawiał z zamiłowaniem sztukę dziś już prawie zapomnianą, jego listy były urocze, błyskotliwe, inteligentne, nieraz tak zabawne, że pobudzające do spazmów śmiechu, choć przeważała makabryczny warszawski humor. I z listów tych dowiadywałem się nie tylko co się dzieje z naszymi paryskimi przyjaciółmi, także wszelkich plotek warszawskich, z których przezierała codzienność kraju, bo ambicją Zygmunta było wiedzieć wszystko — i jeżeli przez tak długi okres wygnania nie miałem jakoś wrażenia, że kiedykolwiek z Polski wyjeżdżałem, jego to przede wszystkim było zastęgą.

Prawdopodobnie łączyło nas ugrzęźnięcie w Nadwiślanii, jego, przez chęć żeby wiedzieć, moje, przez język, równie u niego i u mnie powikłane, *odi et amo*. W jego chętnym obcowaniu z artystami i literatami nigdy nie zauważałem snobizmu, kibicem i opiekunem sztuk był, że się tak wyrażę, żywiołowym, z ciekawości dla szczególnego gatunku zwierząt. Gatunek ten znał i

życzliwie przyglądał się rewii garbusów dźwigających mniej czy bardziej wdzięcznie swoje garby rozmaitego kształtu, na ogół dręczonych przez żal, że są sobą a nie kimś innym, na co Zygmunt miał swój aforyzm: każda kobieta lekkich obyczajów marzy o tym żeby być zakonnicą, każda zakonnica o tym żeby być kobietą lekkich obyczajów, tragiczny aktor chciałby umieć rozśmieszać, a komik zagrać Hamleta. Jeżeli uskarżałem się, o tym właśnie przypominał mi na pociechę. Zresztą jego zdaniem jak na garbusa byłem przystojny czyli widział we mnie pewne objawy normalności. I rzeczywiście, nasza przyjaźń utrwałała się jakby poza literaturą. Nic a nic mnie nie drażniło jego zrządzenie na „wymądrzania się”, do których zaliczał moje eseje. Z wewnętrznej potrzeby różne rzeczy pisałem, ale nie bez świadomości względnego tylko znaczenia intelektualnych budowli, więc głos Zygmunta, przeciętnego czytelnika, przed czymś tam pewnie ostrzegął.

„Czesiu, pisz dla ludzi!”. Ale co według Zygmunta było pisanem „dla ludzi”? Za najlepszą moją książkę uważał *Doline Issy*. Mnóstwo jego listów zawierało to samo przynaglenie: „Kiedy napiszesz o Duchoborach?”. Bo raz, przyjechawszy do Maisons-Laffitte z Ameryki opowiedziałem przy stole o oglądanym na własne oczy święcie sekty Duchoborów w lasach British Columbia i pociąg Zygmunta do widowisk komicznie-niesamowitych znalazł w tym aż nadto dla siebie. Zamiast dostosować się do prośby Zygmunta, znów napisałem „wymądrzania się”, *Ziemię Ulro*, po to żeby znów usłyszeć: „Czemu nie piszesz dla ludzi?”. Działo się to już latem 1979, kiedy Zygmunt był po operacji i słabszy z każdym dniem. Nie powołałem się w mojej obronie na wiersze (może za trudne?) ale zapytałem: „A przekład Psalmów? Czy to nie dla ludzi?”. Zastanowił się. „Tak — powiedział — to dla ludzi”.

Czym jest nasza przegrana i wygrana, jeżeli to nikogo ani ziębi ani grzeje? Zygmunt martwił się kiedy jego przyjaciołom wiodło się źle, cieszył się kiedy wiodło się dobrze. Jeden z jego ostatnich listów jest triumfalny dlatego, że malarstwo Czapskiego wreszcie na rynku „chwyciło” i zaczął w starości sprzedawać dużo obrazów. I teraz łąpię się na myśli, że Zygmunt, świadek moich blasków i nędz, był pierwszym któremu donosząc o jakimś powodzeniu chciałem zrobić przyjemność, jakby zobowiązany jego troską o mnie kiedy byłem na dole. Żyjąc w cywilizacji płynnej, śpiesznej, w której tytuły, nazwiska, sławy przemijają z wielką szybkością, uczymy się cenić więzi osobiste i kiedy ubywa ktoś taki jak Zygmunt, raptem widać, że nic się nie liczy jeżeli zapłakać ani pochwalić się nie ma przed kim.

Zygmunt nigdy nie chorował i dociągnawszy do siedemdzie-

siatki w dobrym zdrowiu poczytywał to za osiągnięcie wystarczające samo w sobie. Muszę tutaj przypomnieć tak niedawną kolację u Jeleńskiego, na której Zygmunt, w przeciwieństwie do reszty biesiadników, pijących wino, wydoił sam jeden butelkę wódki. Odwiozłem go taksówką na Gare St. Lazare i wstąpił na schody, chwiejnie ale sprawnie. Nazajutrz zapytałem go dlaczego to zrobił. „Żeby sprawdzić. Czy mogę”. Razem z tym jednak po stoicku rozważał krótkość czasu i martwił się, nie o siebie. Zastanawiał się też co się stanie z jego kolekcją obrzydliwości: bo, kpiarz niepoprawny i przekorniś, zebrał dużą kolekcję odznaczeń za służalstwo, z różnych epok, w rodzaju carskiego medalu „*Za usmirenije polskiego miatieża*”. Jakież polskie muzeum ucieszyłby taki zapis?

Bilanse robił więc kiedy nic nie zapowiadało jeszcze choroby. Toteż nie zdziwił mnie jego list ze szpitala, po tym kiedy usłyszał, że ma nowotwór i czekał na operację. Nie mam zamiaru wykorzystywać jego korespondencji, to rzecz prywatna, pozwalam sobie tylko zacytować z tego właśnie listu szpitalnego, data 22 lutego 1979:

„Sprawy ojczyzny *non existing*. Na razie spokój. Mało co się dzieje. Z perspektywy operacji za dni kilka jakoś wszystko przeszło na miarę karzełków. Psychicznie czuję się doskonale. Przeżyłem 71 lat, do 1939 w luksusach jak na Polskę — zdążyłem do 31 roku życia mieć 3 samochody, potem ta *drôle de guerre*, co mam pisać — znasz te okresy trwające do dziś.

Prawda: od 1939 roku kołchoz. U mojego stryja w Stanisławowie, w Maryjskiej ASSR, w wojsku, potem od 32 lat *Kultura*. Poznałem setki ciekawych ludzi, których nawet jako nie urzędnik a naczelny dyrektor Solvay'a nigdy bym nie znał. Nie zrobiłem nikomu grubszych świństw, byłem dość użyteczny, paru ludziom oddałem życiowe usługi, nie mam chyba wrogów, mam małą grupkę ludzi na których mogę liczyć. Więc o co chodzi? Nie przejdę do historii literatury jak Ty. No to co? Nie mam na to żadnych danych. A że Ty przejdziesz, no to co?

Jak dotąd trzymam się dobrze i mam nadzieję, że się w tym stanie utrzymam do końca. Nawet mnie to dziwi, bo okazuje się, że mam 'charakter', jest to oczywista bzdura, bo go nie mam. Chyba w tego rodzaju przykrych sytuacjach występują jakieś fiszbiny trzymające człowieka sztywno, lub też odwrotnie te fiszbiny odpadają, robi się z człowieka galareta. Mam szczęście, że ta pierwsza ewentualność zagrała”.

Nie wszystko dla niego stało się nieważne: „sprawą najbardziej istotną” była myśl o żonie. Przeciwny wszelkiej melan-

chologii zaraz też siebie pocieszał: „Ale znowu: dlaczego mam wykitować. Przecież to nie jest konieczne”.

I pomyśleć, na łóżku szpitalnym tak jak zwykle planował figle swawolnego Dyzia: „W wypadku najgorszym mała złośliwość. Poproszę — nie ja — ale już zlecone tu w Paryżu, aby Paweł Hertz dał nekrolog do *Życia Warszawy* i obstałował mszę u Św. Marcina. Nie dowiem się kto 'był chory', 'wyjechał', 'miał zajęcia służbowe'. Będzie kupa śmiechu”.

W pisaniu o bliskich nam umarłych jest coś wysoce niepokojącego: oto podmiot obcował z podmiotem, i choćby niepełne było uznanie sekretu tej drugiej osobowości, coraz to zastępowane przez spojrzenie „urzeczawiające”, przecie była to wymiana, jakkolwiek sąd był otwarty na korektę. A tu nagle: przedmiot. I żenująca niedokładność opisu poszczególnej osoby ludzkiej z zewnątrz, uzurpacja dla siebie oczu boskich, albo po prostu zabieg totalitarny, kiedy to niepowtarzalne zostaje podciągnięte pod „ogólne”, „typowe”. Tudzież fałsz literatury, rzekomo pokazującej człowieka „od środka”, a naprawdę konstruującej, żeby złożyła się razem jakaś całość poddana prawu formy. Nie ma co ukrywać. Mam przed sobą zamiast Zygmunta jego portret i dobiaram szczegóły, które razem powinny go przedstawić, w nieznanym tylko stopniu dając miejsce szczegółom sprzecznym. Rzadkość: przeżyć życie jako człowiek dobry i prawy. Ponieważ rozumiem tę rzadkość, konieczności konstrukcji prowadzą moje pióro. Ale najważniejsze jest dla mnie to, co jeszcze zostaje z podmiotowości Zygmunta, z jego apetytu, łapczywości z jaką wychylał szklanki whisky, żartów, intryg, figlowania: całego ruchu, niewykończenia, przemiany, wśród których niepostrzeżenie dla niego i dla innych spełniał się los — a któż z nas kiedykolwiek spodziewał się, że Zygmunt z odległości zacznie wyglądać posagowo?

Czesław MIŁOSZ

## Książki

### Wiersze Karola Wojtyły po francusku

Podczas gdy polska edycja dzieł zbiorowych Karola Wojtyły jest nadal w przygotowaniu, a wydane dotychczas tłumaczenia wierszy Papieża (angielskie i włoskie) ograniczają się do wyboru fragmentów, ukazuje się po francusku najpełniejsze dotychczas wydanie jego poetyckiego dzieła, w przekładzie Pierre Emmanuela i Konstantego Jeleńskiego (Karol Wojtyła: Poèmes, Editions Cane — Cerf, Paryż, 1979, 159 str.). Zamieszczamy poniżej przekład przedmowy Pierre Emmanuela do tego wydania, z jego upoważnieniem.

Urodzony w roku 1916, Pierre Emmanuel wcześniej zabłysnął jako jeden z czołowych poetów francuskiego ruchu oporu. Poezja jego, o natchnieniu chrześcijańskim, przechodziła różne fazy dochodząc, zdaniem krytyki francuskiej do zenitu w wydanych w ubiegłym roku dwóch tomach (w ramach jednego cyklu): *Una i Duel* (Editions du Seuil). Wybrany w roku 1969 do Akademii Francuskiej, Emmanuel wystąpił z niej symbolicznie (pod Kopułą fotele są dożywotne, czy się chce czy nie chce), aby zaprotestować przeciw wyborowi Félicien Marceau, który w swej ojczyściej Belgii współpracował pod okupacją z hitlerowcami. Jako prezes Francuskiego, a także Międzynarodowego PEN Clubu, Pierre Emmanuel okazał szczególnie żywą solidarność z pisarzami prześladowanymi w krajach totalitarnych i pod dyktandem — od Związku Sowieckiego do Chile i Argentyny.

#### PRZEDMOWA

Wiemy dziś że poeta Andrzej Jawień, który w latach 1950-1969 ogłaszał ważne wiersze w polskich pismach katolickich, to nikt inny, jak papież Jan Paweł II: nie błąha to zatem decyzja artysty przystępującego teraz do publikacji swego dzieła. Świadomy jej wagi, zgodziłem się na przetłumaczenie tych wierszy, ze względu na ich wartość, rzecz prosta, ale również z pobudek ściśle osobistych, „po prostu w hołdzie”, jak mawia Guillevic\*.

\* Eugène Guillevic, wybitny współczesny poeta francuski, z pokolenia Emmanuela.

Każdy kto wierzy w intuicyjną siłę wyobraźni i w to że jest ona dla człowieka źródłem specyficznego poznania, będzie w swym przekonaniu utwierdzony na widok papieża przyzwalającego na publikację swej poezji. To przyzwolenie oznacza, że dla Jana Pawła II słowo poetyckie jest wcielone, że ma ono siłę i zadanie przywrócenia człowiekowi odpowiedzialności wobec siebie samego, a także że poeta, poprzez dar jaki mu był dany, jest jednym z autentycznych świadków człowieka, jego prawdy, jego tajemnicy, jego stosunku do innych i do Boga. W osobie Jana Pawła II poeta jest tym samym co filozof i teolog, ale podchodzi on do człowieka w punkcie jego bytu, którego ani filozofia, ani teologia nie mogą uchwycić z równą bezpośredniością. W jego wierszach rozwija się nie tyle rozmyślanie nad człowiekiem, co doświadczenie osobiste i międzyludzkie dotyczące samego faktu bycia człowiekiem, doświadczenie utrwalone w poetyckim tworzywie, skąd jest nam przekazane.

Cóż z tego że jego poetycki język nie zawsze ma tę spontaniczność cechującą natchnienie poetów z urodzenia, u których logika wyobraźni działa bez żadnego intelektualnego rusztowania. Karol Wojtyła jest myślicielem intelektualnym, jego myśl szuka nieraz oparcia w obrazie; zdarza się również, że jego system obrazowania jest funkcją ścisłości tej myśli. Nic nie stoi na przeszkodzie takiej wspólnoty, która u poetów o należnym tchu rozszerza pojęcie jakie rozum ma o sobie samym i pozwala mu uznać funkcje metafory i symbolu. Czytelnik zauważy że kiedy pojawia się tu myśl abstrakcyjna, to w formie poddanej rytmowi i że fraza tego poety-filozofa świadczy o jego skłonności do litaniijnej reiteracji, nieraz inkantacyjnej.

Ta sztuka periodu, paradoksalnie związana z upodobaniem do eliptycznego skrótu, nie jest obca polskiej poezji współczesnej, której echo dźwięczy u Karola Wojtyły. Co więcej, sama funkcja poezji związana jest dla niego z szacunkiem dla najcenniejszej tradycji. Od wieków, polska poezja jest najwyższym wyrazem geniusza narodowego: w szeregu wierszy czytelnik odkryje, że w Polsce umiłowanie słowa pokrywa się z umiłowaniem ojczyzny. Student Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w roku 1938 rozpoczęła tam swe studia literackie, od dawna żywił się tą miłością poezji. Kiedy podczas okupacji ów student staje się robotnikiem i czuje że rodzi się w nim powołanie kapłańskie, uczestniczy on w tajnym „Teatrze Rapsodycznym”, gdzie poetyckie doświadczenia prowadzą do odnowy dramatycznego wyrazu. Wszystko to skłania nas do przekonania, że pierwotnym językiem Jana Pawła II, językiem macierzystym jego bytu, jest słowo poetyckie.

Ten teolog, ten filozof, jest zresztą przeciwieństwem abstrakcyjnego myśliciela. Przed abstrakcją chroni go zresztą nie sama tylko poezja, ale również osobiste doświadczenie ludzkiego bytu, owej „szorstkiej rzeczywistości”, którą wspomina Rimbaud. Karol Wojtyła był pracownikiem fizycznym, robotnikiem w kamieniołomie, a później w fabryce chemicznych wytworów. Ma on bez-

pośrednią znajomość odporności materii i jej ukrytej uległości: w latach bardzo ciężkich dla swego kraju żył bytem robotniczym, poznał właściwą mu solidarność i serdeczność, przeniknął prawdziwy wymiar historyczny świata robotniczego, różniący się od wymiaru narzucanego mu przez propagandę. Poezja Karola Wojtyły jest zatem zaangażowana w historię jego ludu *hic et nunc*, poprzez doświadczenie długich lat, okrutnych dla chrześcijan Europy Środkowo-Wschodniej; ale również w historię Polski, od pierwotnych zaczątków narodu. Narodu, który jest w pierwszym rzędzie formą rzeczywistości duchowej, żyjącą i uwieczniającą się w każdym ze swych członków i w sobie samej. Dla Karola Wojtyły, ta należność do wspólnoty jest jednym z wyrazów duchowej pełni.

Człowiek wspólnoty historycznej, ale również obcowania świętych. Nie ma tu przerwy między jednym i drugim, istnieje natomiast ciągłość: historia ludzka dąży do wymiaru zbawienia i Karol Wojtyła, opisując jak ludzkość osiąga swą pełną miarę w Chrystusie, czyni to w tonie epickim i proroczym o sile godnej jego wiary.

Uszeregowałem wiersze w tym tomie w oderwaniu od ich chronologii, aby czytelnik mógł, śladem autora, iść drogą która wiedzie od historycznej jedności człowieka (w pracy, w myśli, w ojczyźnie), do jego jedności w Chrystusie, która zawiera w sobie wszystkie aspekty historii, zakorzeniając ją we wcielonym Słowie. Od wiersza do wiersza, zarysowuje się wtedy dla nas wielki fresk człowieka, a pośrodku wznosi się Krzyż, symbol historycznej próby, ale również wiecznej nadziei: fresk w którym każdy gest, każdy konkretny szczegół nacechowany jest precyzyjną i świadomą uwagą, zarówno wobec pokornej rzeczywistości przedmiotów, jak wobec bolesnego często splotu ludzkich losów. Jesteśmy tu w dziedzinie zrozumienia, współczucia i miłości.

Kiedy, w niskim przywarciu, papież po raz pierwszy ucałował amerykańską ziemię, uderzyły mnie siła i atletyczne piękno tego gestu. Wydało mi się że mam przed oczami miarę ludzką, do której chrześcijanie już dziś nie przywykli. Od tej chwili, nic nie zmieniło mego przekonania że Jan Paweł II posiada tę miarę, ani mego przywiązania do niego.

Zwracając się do mnie w sprawie tego tłumaczenia, wydawca nie wiedział, że to uczucie z góry spowoduje moją zgodę. Muszę jednak wyznać że chrześcijanin którym jestem z głębokiego przekonania, daleko stoi od wzoru i że odczuwam pewne zażenowanie wobec mego udziału w tym przedsięwzięciu, choćby w roli narzędnia. Niech Czytelnicy zechcą zatem zapomnieć o mnie i mieć na uwadze jedynie dzieło, któremu chciałem służyć.

A niełatwa była to obiektywnie służba, gdyż nie znam polskiego języka. Miałem przed sobą dosłowne tłumaczenie dokonane w Polsce przez Annę Turowiczową, która zaopatrzyła je w cenny aparat krytyczny. Jestem jej wdzięczny za tę pracę, pozwoliła mi ona lepiej zrozumieć jak polski czytelnik odbiera

wiersze, z których wiele odnosi się do historii w której się urodził i żyje nadal. Jej uwagi, często ważne, pomogły mi zrozumieć duchowy wymiar tej poezji. Piękny, rasowy przekład angielski poety Jerzego Pietrkiewicza, Brytyjczyka polskiego pochodzenia, był mi użyteczny, mimo że dotyczy jedynie fragmentów dzieła. Nie mógłbym jednak dokonać tej pracy, gdyby mój przyjaciel Konstanty Jeleński, którego przekłady są we Francji wysoko cenione, nie podjął się sporządzenia pierwszej wersji, dając mi ekwiwalent rytmiczny i słuchowy, aby wiersze te mogły mi zadźwięczyć w wyobraźni. Niezbędny ten wkład sprawia, że razem podpisujemy tę wspólnie opracowaną adaptację.

Pierre EMMANUEL

(Przekład K. A. Jeleńskiego)

## Kissinger i jego pamiętnikarstwo

Z niedużą przesadą mogę powiedzieć, że nie spuszczałem oczu z autora tych wspomnień w trakcie pisania o jego książce\*. Cuda takie zdarzają się w naszym nowojorskim bycie elektronicznym. Miałem go kilka razy tygodniowo na telewizji i jeszcze częściej za pośrednictwem dziennikarstwa drukowanego.

Kryzys irański, inwazja Afganistanu umożliwiły taką niezwykłą częstotliwość „sąsiedowania” z Henry Kissingerem. Wchłaniałem więc jego memuary w czymś przypominającym „zamknięty obwód” retoryki kissingerowskiej.

Miało to swoje dodatnie i ujemne strony. Do pierwszych plusowych zaliczam możliwość konfrontowania prozy *White House Years* z jego twarzą i głosem, który przypomina chwilami bas Stefana Jaracza grającego Juliusza Cezara. Pozwoliło mi to, na bliższe poznanie go. Na małe odkrycia. Na przykład, obgryza paznokcie i wyobrażam sobie do jakiej rozpacz doprowadza swoją manikurzystkę.

Nie należy jednak z tego wyciągać dalekoidących wniosków. Profesorowie specjalizujący się w dziedzinie geopolityki są takimi samymi śmiertelnikami jak my. I na nich też przyszła „kryśka na matyska”. Teraz na fali Iranu, Afganistanu i krachu koncepcji *détente*.

Dawno nie czytałem tylu złośliwości i ironii na ten temat. Wyśmiewa się ich nieodpartą skłonnością do abstrakcyjnego my-

\* Henry Kissinger, *White House Years*. Wydawnictwo Little, Brown and Company. Boston, Toronto. 1521 stron. Rok 1979.

ślenia, brak zdrowego rozsądku, wymyślanie sloganów szybko kwitnących i szybko wędnących w słowniku politycznym Waszyngtonu. Obarcza się ich odpowiedzialnością za *mess* — chaos — w jakim znajdujemy się.

Ubawił mnie bardzo esej w *The Washington Post* przeciwstawiający profesorom „pokerzystę”, który podchodzi do spraw intuicyjnie a nie teoretycznie, uważającego — na przykład — Hitlera za psychopatę dojrzałego do kaftana bezpieczeństwa, a nie za wynik dekadencji republiki weimarskiej. Wszystko wymienione powyżej stanowiło potrzebną poprawkę przy lekturze kisingerowskich pamiętników, opisujących jego pierwsze cztery lata u władzy.

Ale — uwaga! — nie jedyną. Przebijając się przez kolosalny tom ważący 2,5 kg wchłaniałem jednocześnie recenzje omawiające w prasie amerykańskiej pamiętniki b. sekretarza stanu. Wydaje mi się, że *White House Years* i to co o nich napisano stanowią jakby jedną bardzo organiczną całość. Wymowa tych recenzji jest bardzo znamienna, charakterystyczna jeśli chodzi o „odbiór” Kissingera w Ameryce. Reakcję na jego osobę. Duża część tych recenzji zdradza bowiem istnienie czegoś, co nazwałbym „syndromem Kissingera”.

Symptomy tego kompleksu najwyraźniej puszczają farbę w omówieniach kolegów uniwersyteckich b. sekretarza stanu. Klasyycznym przykładem piśmiennictwa dotkniętego „syndromem Kissingera” jest bardzo obszerny esej dziekana Ośrodka Studiów Europejskich Uniwersytetu Harvard, profesora Stanleya Hoffmana w *The New York Review of Books*, czasopiśmie odgrywającym rolę „wiodącą” na nowojorskim Olimpie.

Jaki jest podkład psychologiczny „syndromu Kissingera” na które cierpi nasze ciało profesorskie...? Nazwijmy rzecz bez cieniowania: pożera ich dzika zazdrość.

Stwierdzenie to zdziwi jedynie tych, którzy mają skłonność do idealizowania profesorów. A rzeczywistość nie ma nic wspólnego z takim naiwnym rojeniem. W uniwersyteckich wieżach z kości słoniowej — zapewniają mnie wtajemniczeni — panuje taki sam nastrój jak w Hollywoodzie, a może nawet bardziej drapieżny. Tu i tam obowiązuje *star system* — gwiazdorstwo. Nawet mniej w Hollywoodzie, niż w tym co Amerykanie nazywają *Academe*.

Bądźmy jednak wyrozumiali na ludzkie słabości. Pamiętać należy, że świat *establishment*'u akademickiego obejmujący uniwersytety Columbia, Yale, Princeton, Harvard, Massachusetts Institute of Technology, uważany jest za przedsiónek, odskocznię do pierwszo- i drugoplanowych stanowisk, którymi Waszyngton czaruje *Academe*.

Tak zwane „tanki mózgów” zmobilizowane przez różne fundacje rekrutują się z elity profesorskiej krążącej w orbicie, na którą składają się Pentagon, Departament Stanu, Biały Dom, i ambasady będące rodzynekami w cieście dyplomatycznym, a

więc Londyn, Paryż, New Delhi i Moskwa. Do stolicy Indii zwykło się zawsze wysyłać konceptualistów.

Tej elicie przyszło łatwiej kopać dołki pod Kissingerem, ponieważ wystartował jako republikanin, a osiągnął swoją wielką *exposure* czyli widoczność związując się ze znieawidzonym przez liberalny *establishment* Nixonem.

Niewątpliwie grały też względy czysto osobiste. Na półmetku swej kariery, to znaczy w okresie harwardzkim, Kissinger był agresywny, arogancki, „besserwiserski”, jednym słowem owiany kontrowersją.

Teraz mamy nowego Kissingera. Prezentuje się nam w wersji złagodzonej, zretuszowanej dostojenstwami, doświadczeniem, poczuciem ważności i przynajmniej siedmiocyfrowym kontem bankowym. Takie rzeczy dobrze wpływają na samopoczucie. Może sobie pozwolić na luksus robienia dowcipów o sobie samym, co świadczy wymownie o jakiego stopnia jest pewien siebie.

Oprócz tego niewątpliwie musi go cieszyć istnienie „syndromu Kissingera” w formie epidemicznej.

Studiując pilnie recenzje stwierdziłem, że symptomy kompleksu najmocniej występują w recenzjach ludzi o podobnym lub identycznym rodowodzie jak emigrant Kissinger. Mówiąc to mam na myśli Europejczyków, którzy przybyli do Ameryki w latach 30-tych i których życie potoczyło się torem równoległym do toru Kissingera. Wielu z nich zajmuje kluczowe stanowiska w świecie akademickim, lub cyrkuluje między katedrą i „tankiem mózgów”. Obserwując fantastyczny wzlot Kissingera nie przestaje ich gryźć myśl: dlaczego nie ja?, czym jestem gorszy od niego?

Ich syndrom jest wzbogacony, skomplikowany bardzo specyficzną perwersją. Na przykład, obojętne im są sukcesy życiowe profesora Harolda Browna, stojącego na czele Pentagonu, lub McGeorge Bundy, bo to dla nich ludzie z innego środowiska, z innego „punktu odniesienia”.

Dziwne, ale prawdziwe. Przekładając istotę tej rywalizacji na terminologię lekkoatletyczną, powiedziałbym, że w biegu długodystansowym, Kissinger, Brzeziński, Sonnenfeldt i reszta tej egzotycznej stawki galopując do mety pilnuje się wzajemnie. Inni na torze obchodzą ich mniej, lub wcale. Smaczek tej rywalizacji odsłania styl w jakim Kissinger stara się zignorować Zbigniewa Brzezińskiego w swych pamiętnikach. Na półtora tysiąca stron amerykańskiego wydania jest wspomniany jeden raz tylko. W ten sam sposób, chłodny i wyniosły, odfajkował Marshalla Shulmana, za co nie mam do niego żadnej pretensji.

Ostatnia dygresja zanim przejdę do omówienia pamiętników. Wydaje mi się, że jestem w stanie dorzucić coś nie coś nowego i oryginalnego o norymberskich korzeniach Heinricha Kissingera, bo takim pozostał atawistycznie pomimo amerykańskiego „przemalowania”.

Z góry mówię, że zaliczam mu to na plus. Żydzi norymberscy byli światem dla siebie. Odcinali się od berlińskich, których

uważali za międzynarodową hołotę, od hamburskich z których *plattdeutsch* akcentu się nabijali. Getto w Norymberdze, wolnym mieście Rzeszy od 1219 roku, było jednym z najstarszych, najbardziej uczonym i zamożnym w Europie Zachodniej. Stamtąd promieniowała kultura aszkenazyjska. Żydzi tamtejsi odznaczali się bystrością, inteligencją i pilnością.

Mogę na ten temat coś powiedzieć z pierwszej ręki. Podczas moich studiów w *college'u* szwajcarskim Montana, w kantonie Zug, miałem kilkunastu kolegów Żydów norymberskich. Byli bezkonkurencyjnymi prymusami. Wiedzieli wszystko lepiej, dokładniej od reszty b. międzynarodowej klasy. Nie przepadalismy za nimi. Nie pozwalali ściągać od siebie podczas klasówek. Interesowała ich wyłącznie nauka. Nie z nimi rozmowy o biodrach Maryny. W sporcie raczej ofermy. Celowali za to w historii, literaturze, fizyce. Lessinga, Kleista, Schillera, Goethego znali na pamięć. Do nas odnosili się z dystansem.

Pamiętam do dnia dzisiejszego trzy nazwiska: George Bernhardt, Franz Bing i Kirschman, z którym przez pewien czas siedziałem na tej samej ławce. Teraz wiem, że w jakiś sposób był blisko spokrewniony z Kissingerami. Matka albo babka b. sekretarza stanu była z domu Kirschman. To na jej część Kissinger przeobraził się w generała Harolda Kirschmana, kiedy w roku 1970, udał się w tajnej misji do Paryża na negocjacje z północnymi Wietnamczykami.

Ulubionym chwytym dziennikarzy jest łączenie Kissingera z Metternichem. Jest w tym karygodna łatwizna umysłowa. Austriacki inspirator Świętego Przymierza niczego ciekawego nie napisał przez 86 lat swego życia. Podobno klecił kiepskie wiersze miłosne pod pseudonimem, zaadresowane do dam dworu w Schoenbrunie.

Inaczej dzieje się w wypadku Kissingera. Nawet gdyby nie przekroczył progu Białego Domu, nie wstawił się jako mąż stanu-dyplomata-negocjator zrobiłby nie mniejszą karierę jako pisarz. *White House Years* jest kapitalną książką, przerastającą o kilka długości piśmiennictwo historyczne wychodzące spod *best-seller'ów*skich piór europejskich i amerykańskich w tej dziedzinie. Taka Barbara Tuchman ośmielająca się go krytykować w *Book Review New York Times'a* powinna nosić za nim kałamarnicę.

Jedyną wadą pamiętników są ich rozmiary. Za dużo tego dobrego. Można z nich zrobić dwie książki. O takim tomie Boy Żeleński zwykł był mówić, że trzeba go dźwigać w dwie osoby na drugie piętro i że można sobie złamać rękę czytając go do poduszki.

Ale pomimo tego lektura ta fascynuje. Odznacza się wirtuozerią w opisach ludzi, nastrojów, sytuacji. Mao, Nixon, Chou En-lai, Golda Meir, Abba Eban, Dobrynin, Gromyko, żyją, można ich prawie dotknąć. O Dobryninie pisze raczej z pogardą. Uważa go za moskiewską wersję podskakiewicza zwodzącego Amerykanów swoją maską jowialności. O Gromyko, o jego technice

negocjacyjnej pisze z odcieniem szacunku, nazywa go człowiekiem „podwójnego przeczenia”, którym konfrontuje interlokutora.

Rewelacją było dla mnie do jakiego stopnia Kissinger potrafi być wrażliwy, subtelny, docieklivy i używając określenia opatentowanego przez Józefa Czapskiego — muzykalny na wibracje otoczenia. Jaka w nim cienkość na *chiaroscuro*.

Na to by wystrzelić interkontynentalną raketę takiego kalibru trzeba mieć w sobie klasyków niemieckich, plus Manna, Emila Ludwiga, Zweiga, Hauptmanna i wszystkich współczesnych. Na takie coś nie wystarczy talent kompilacyjny i umiejętność układania zręcznych sloganów.

Kissinger przeraża Metternicha. Jeśli się do kogoś przymiera to — *toutes proportions gardées* — chyba do Goethego, który był pisarzem i mężem stanu. Nie jest to tylko hiperbola, do której skusił mnie temat — pisanie o profesorach — jest przecież w nim coś z autora hymnów opiewających geniuszy i durniów ludzkości.

Czyż dla niego Nelson Rockefeller nie był księciem Karolem Augustem weimarskim? W otoczeniu b. gubernatora Nowego Jorku, Kissinger spełniał rolę nadwornego filozofa, korepetytora jego synów, i przyjaciela. Jemu zadedykował *White House Years*.

*White House Years* to więcej niż pamiętniki, to epos nieustannego zmagania się z życiem i przewrotnością liberałów w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Spowiada się w nich z lat nauki i lat wędrówki „Kissingera Majstra”. Mienią się w jego prozie różne echa filozofii i piśmiennictwa Wolfganga Goethego z wyjątkiem chyba „Cierpień młodego Wartera”. Miał on spóźniony przez drugą wojnę światową „okres burzy i naporu”, nadrabiając go już w bardzo dorosłym wieku uganiem się w Waszyngtonie za aktorami filmowymi, bajeczkami opowiadanyymi reporterce włoskiej Orianie Fallaci, że przed negocjacjami z Gromyko i innymi, czuje się trochę kowbojem wyruszającym na pojedynek w południe. Opisy intryg dworskich w Białym Domu przypominają satyrę o „lisie Przecherze” (Reineke Fuchs).

Ci nacierający na niego z pozycji liberalnych, nie mogący przebaczyć mu bombardowania baz komunistów wietnamskich w Kambodży, gotowi podchwycić moją goetheowską teorię nazywając *White House Years* kissingerowską wersją autobiografii Goethego „Zmyślenie i prawda”.

Znany dziennikarz brytyjski William Shawcross napisał o tym kambodżańskim epizodzie wojennym całą książkę — fetowaną przez liberałów — w której przedstawia Kissingera jako człowieka próżnego, odpowiedzialnego za ludobójstwo Pol Pota.

*White House Years* osnute są wokół czterech wielkich negocjacji, które Henry Kissinger zapoczątkował jako doradca Nixona dla spraw bezpieczeństwa: *détente* z Rosją, poszukiwania pokoju w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, „uwertury” stosunków — poprzez Pakistan — z Chinami.

Jedziemy z nim do Moskwy, Pekinu, Kairu, Tel Avivu, Paryża.



Powtarza się z niemiecką skłonnością do wbijania w głowę szczegółów.

Kapitałny jest rozdział o tym jak w 1970 roku Moskwa podstępnie zabierała się do budowania bazy dla podwodnych statków atomowych w Cienfuegos na Kubie.

Relacjonuje swoje rozmowy z chargé d'affaires sowieckim w Waszyngtonie, Woroncowerem, ambasadorem Dobryninem. (W tym miejscu pragnę zaproponować redaktorowi *Kultury*, by w jednym z najbliższych numerów dał w polskiej wersji właśnie ten fragment pamiętników). Ujawnia on kwintensencję dyplomacji sowieckiej, na którą składają się małe kanty i oszustwa i nawet naiwnie przygotowane pułapki. W pewnym sensie demistyfikuje różne mity o wielkiej przebiegłości szachistów w Kremlu. Epizod ten piętnuje też głupotę biurokracji amerykańskiej — która pragnąc uniknąć skandalu o Kubę w roku wyborczym — proponowała skontrolowanie zdemaskowanych machinacji sowieckich w Cienfuegos wyciągnięciem z demobilu kilku okrętów. Rozdział ten uzmysławia do jakiego stopnia Moskwa ciągle, nieustannie wystawia na próbę Waszyngton. W jego świetle rozumiemy lepiej dlaczego kardynalnym błędem było nie zareagowanie na „wyprawy krzyżowe” kubańskiego korpusu ekspedycyjnego.

*White House Years* ma większe walory historyczne, literackie niż polityczne. Być może dlatego, że inaczej się je czyta po inwazji Afganistanu, która zvaliła w przepaść całą strukturę *détente*.

Krytycy z pozycji prawicowych dowodzą, że Henry Kissinger *oversold détente*, czyli że „sprzedał” amerykańskiej opinii publicznej „inflacyjne” wyobrażenie o polityce zainicjowanej przez niego i Nixona. Mam na to ciut ciut inny pogląd. Sedno zagadnienia widzę w tym, że dla nas, Amerykanów o genealogii europejskiej, USA jest jeszcze ciągle wielką zagadką.

Budując strukturę *détente* Kissinger rozumował europejskimi kategoriami *Realpolitik*. Przeliczył się myśląc, że w środowisku amerykańskim obojętnym na odcienie, niuansy, pozbawionym sensu historii, będzie możliwe prowadzenie gry opartej na dwóch komponentach. Oporze i to zdecydowanym, przeciw sowieckiej ekspansji i na gotowości rokowania na zasadzie wzajemności. Cóż, na palecie przeciętnego Amerykanina nie ma półcieni i farb zmieniających barwę w zależności od światła.

Kiedy Nixon zszedł z góry z tablicą *détente* Amerykanom wydawało się że spadła manna. Oczywiście wielką winę ponosi Kongres, ale on jest zwierciadłem wyborców.

Kissinger nie umiał tego zahamować. Goniąc za mirażem Salt „popęłnił” szereg oświadczeń, o których nie ma słowa w książce ale *volens volens* trzeba mu wytknąć.

Po podpisaniu wstępnego protokołu traktatu Salt prawił na Kapitolu w Waszyngtonie: — „Historia poucza, że główną troską wódzów narodów było nagromadzenie potęgi geopolitycznej i militarnej. Jeszcze za poprzedniego pokolenia wydawało się rze-

czą niemożliwą, że potęga taka raz pozyskana, nie będzie natychmiast użyta w stosunku do adwersarza. Ale teraz my i Rosja Sowiecka zaczynamy odkrywać, że wzrost potęgi nie oznacza wzrostu możliwej do użycia siły politycznej”.

Jak Kissinger nas teraz przekona, że Kreml „odkrył”, że jego wzrastająca potęga polityczna jest nieużyteczna?

Carterowcy mający na sumieniu ten sam grzech „przecenienia *détente*, uderzają w Kissingera od innej flanki. Twierdzą oni, że obecna sytuacja jest wynikiem tak zwanej „doktryny Nixona”, która zluźowała Stany Zjednoczone z roli „żandarma” wolnego świata, przekazując tę odpowiedzialność regionalnym sojusznikom Waszyngtonu. Na przykład w rejonie Zatoki Perskiej, zafundowali ją szachowi, którego uzbroidli w sprzęt wartości 19 miliardów dolarów.

Broniąc się Kissinger oskarża. Twierdzi i to słusznie, że „teoria Nixona” była odpowiedzią na skoncentrowany atak liberałów na powojenne założenia polityki amerykańskiej (niektórzy powiedzą na ich brak) i że „doktryna Nixona” w takiej sytuacji była jedyną alternatywą.

Omówieniem książki Kissingera można by zapisać podwójny numer *Kultury*. Zwłaszcza teraz kiedy z uwagi na to, co się dzieje, *White House Years* zaawansowały do rangi lektury obowiązkowej.

Kissinger skarży się często, że Kreml nie dotrzymał tak zwanego „kodu” *détente*, którego Breżniew — jak wiemy — w żadnym dokumencie nigdy nie zobowiązał się honorować. Była to jedna ze wspańiałych autosugestii amerykańskich. Kissinger jest w tym samym stopniu marzycielem jak prof. Brzeziński, który też co pewien czas mówi o pogwałconym przez Rosję sowiecką „kodzie” zachowania, który Amerykanie jednostronnie sobie wyimaginowali. Politolodzy żyją w świecie abstrakcji. Na przykład taki spec jak George Kennan, autor polityki *containment* (hamowania zapędów sowieckich) w latach 50-tych, powiedział kilka dni temu w wywiadzie telewizyjnym, że Moskwa nie ruszy na podbój Pakistanu, bo tak zapewnia komentarz w *Prawdzie*, bo „czytało ten komentarz 18 milionów Rosjan” i to jest pewnego rodzaju „zobowiązanie” Kremla. Człowiek, który spędził 55 lat swego życia studiując tajemnice Kremla uważa, że w *Prawdzie* jest prawda...

Na zakończenie, poloniki w *White House Years*. O Polsce we wspomnieniach jest 6 stron i dwie wzmianki. Nie jest to dużo. Opisuje bezbłędnie przyczyny rozruchów w 1970 roku. Zajmuje się historią Polski z okazji wizyty Nixona do Polski. Redaktor naczelny *Nowego Dziennika* nowojorskiego Bolesław Wierzbiański, który nie zalicza się do sympatyków Kissingera, napisał że w zachodniej historii wojennych i powojennych lat mało jest jednak wypowiedzi równie obiektywnych i życzliwych dla Polaków i Polski. Od prof. Wiktora Weintrauba, kolegi Kissingera, wiem, że zawsze cechowała go ta życzliwość. W swych memuarach pisze, że przeszłość Polski była w tym samym stopniu wspa-

niała co tragiczna, a jej cierpienia nie ustępowały natchnieniu dzięki któremu w pewnej chwili była jedną z największych potęg w Europie.

Pisze, że rzadko w historii spotyka się naród łączący tak podniosłe pragnienie wolności z tak gorącym sprzeciwem podporządkowania się obcemu autorytetowi. *Liebchen was wills du noch mehr...*

Ale Polacy mają pretensję do Kissingera o „doktrynę Sonnenfeldta” którą zaliczam do poloników.

O Helmucie Sonnenfeldtce, jego bliskim współpracowniku, jest przynajmniej dwadzieścia razy więcej niż o Brzezińskim, ale ani słowa o jego doktrynie, która rzekomo oddała *de facto* Europę Wschodnią w jarzmo sowieckie. Piszę rzekomo, ponieważ podczas mojego pobytu w Waszyngtonie, już po Afganistanie, miałem na ten temat kilka rozmów, oraz okazję przeczytania bardzo ciekawego artykułu Edwina M. Yodera jr. w *The Washington Post*. Napisany w przeddzień ogłoszenia „doktryny Cartera” zajmował się *quirky* osobliwą historią różnych doktryn amerykańskich. Yoder opowiada, jak pewnego dnia jego przyjaciel komentator Robert Nowak piszący *column* do spółki z Rowlandem Evansem, odkrył dzięki „przeciekowi” w Departamencie Stanu „doktrynę Sonnenfeldta”. Miała ona proklamować pogodzenie się rządu amerykańskiego z ujarzzeniem Europy Wschodniej.

Yoder ujawnia, że podczas *briefing'u* w Londynie dla ambasadorów amerykańskich na placówkach europejskich, Sonnenfeldt wygłosił referat sytuacyjny, analizę historyczno-polityczną, którą następnie w kablu do Departamentu Stanu skompilował młody dyplomata, niejaki Warren Zimmerman. Rzekomo nadał prelekcji Helmuta zwartość i sens, którego nie było w oryginalnej wersji na użytek ambasadorów.

Sprzedają to tak, jak kupiłem. Znając biurokrację Departamentu Stanu gotów jestem w to uwierzyć. Zresztą Sonnenfeldt jest dla mnie już trochę sympatyczniejszy od kiedy, kilka dni temu, widziałem go, roznoszącego prof. Marshalla Shulmana w dyskusji telewizyjnej. Ten główny doradca Cyrus Vance'a dożył wieku średniego, wierząc w pokojowe intencje Kremla.

Na zakończenie moje bardzo personalne doświadczenie z Henry Kissingerem. Na zlecenie mojej redakcji w Buenos Aires starałem się o wywiad z nim dla *El Economista* przeze mnie reprezentowanego w USA. Napisałem do niego uprzejmy list proszący o wywiad, podkreślający znaczenie Argentyny, etc. Po kilku tygodniach otrzymałem bardzo uprzejmą odpowiedź, że chętnie udzieli mi wywiadu, ale trochę później, bo jest zajęty wykańczaniem swych pamiętników.

Odczekałem i ponownie do niego napisałem powołując się na naszą korespondencję. Ponieważ czytałem tyle o jego zmyśle humoru pomyślałem sobie, ot zwrócę jego uwagę, zaintryguję go niewinnym żartem.

Napisałem więc, że mam nadzieję że przyrzeczenie jego po-

rozmawiania ze mną nie okaże się — jak zwykle się mówić w Argentynie — *una promesa de marinero* — obietnica marynarza. Półtora roku minęło od tego czasu, i jeszcze ciągle czekam.

Morał: mówiąc językiem *Realpolitik*, stosunek sił między Kissingerem a mną jest tego rodzaju, że nie mogę sobie pozwolić nawet na niewinne kawy w stosunku do niego.

Zdzisław B A U

## Zapowiedzi wydawnicze na rok 1980

### INSTYTUT LITERACKI

W roku 1980 ukażą się 4 numery *Zeszytów Historycznych* (Nry 51, 52, 53, 54) oraz następujące książki:

Marek TARNIEWSKI: „Porcja wolności” (Październik 1956).

Kazimierz ORŁOŚ: „Trzecie kłamstwo”.

„RAPORT O STANIE NARODU I PRL” zawierający teksty: Stefana Kurowskiego: „Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL”; Raport” Konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość” (DiP); Józefa Kuśmierka: „O czym wiedziałem”; Bohdana Borusewicza: „Robotnicy nabrali odwagi” oraz Komunikat 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski”. Tom jest poprzedzony przedmową Andrzeja Brzeskiego.

„GŁOS” — wybór tekstów z 10-ciu pierwszych numerów niezależnego miesięcznika społeczno-politycznego, wychodzącego w Kraju.

Janina KOWALSKA: „Pogranicze”.

Zofia ROMANOWICZOWA: „Skrytki”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI: „Dziennik pisany nocą”, tom II.

### ODNOWA

W roku 1980 ukażą się następujące książki:

Prof. Jerzy KRZYŻANOWSKI: „Generał Okulicki”.

Jerzy BRAUN: „Prometej Adam” (wiersze pisane w więzieniu w latach 50-tych na rok mickiewiczowski).

Prof. Zbigniew FALLENBUCHL: „Polityka gospodarza PRL”.

Dr Józef GARLIŃSKI: „Enigma, tajemnica drugiej wojny światowej”.

Marek TARNIEWSKI: „Niezależność i demokracja”.

Karol POPIEL: „Prawda i legenda o Zarzewiu”.

Bohdan WRÓŃSKI: „Wspomnienia płyną jak okręty”.

KSIĄŻKA ZBIOROWA PAMIĘCI JANA HOPPE.

Zbigniew SIEMASZKO: „Narodowe Siły Zbrojne”.

Jan CIECHANOWSKI: „O genezie i upadku Drugiej Rzeczypospolitej”.

## O R B I S (LONDYN)

W roku 1980 ukaza się: PAMIĘTNIKI KIJOWSKIE, tom IV.

## POLONIA BOOK FUNDS LTD.

W roku 1980 ukaza się następujące książki:

- Leopold TYRMAND: „Dziennik 1954”.  
 Leopold ŁABĘDŹ: „Détente. Polityka międzynarodowa w okresie odprężenia”. Zbiór artykułów.  
 Jerzy ANDRZEJEWSKI: „M i a z g a” (wersja pełna autoryzowana).  
 GŁOSY SOLIDARNOŚCI (broszura) — Wyjątki z komentarzy prasowych i wypowiedzi czołowych przedstawicieli zachodnioeuropejskiej opinii publicznej odnośnie ruchów opozycyjnych w Europie Wschodniej.  
 Jan NOWAK: „Polska pozostała sobą” — wybór artykułów, przemówień radiowych oraz sylwetki działaczy krajowych i emigracyjnych ostatniego 40-lecia.

## POLSKA FUNDACJA KULTURALNA

W roku 1980 ukaza się następujące książki:

- Tadeusz SKOWROŃSKI: „Wojna polsko-niemiecka widziana z Brazylii (1939-1940)”.  
 Wacław SOLSKI: „Dym” (tom wierszy).  
 Wacław LIPIŃSKI: „Wrześniowa obrona Warszawy w roku 1939”.  
 Apolinary TARNAWSKI: „Hygiena starzenia się i starości” (opracował Wit Tarnawski).  
 Tadeusz NOWAKOWSKI: „Słowo o wielkości” (rzecz o papieżu Janie Pawle II).  
 KSIĘGA O ALEKSANDRZE JANTA-POLCZYŃSKIM (praca zbiorowa).

## KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”

W roku 1980 ukaza się następujące książki:

- Św. TOMASZ: *Suma teologiczna* tom 6 i 7, „Człowiek” cz. I i II tom 8 „Rządy Boże”.  
 Jadwiga MAKOWIECKA: „Wprowadzenie do sanskrytu”.  
 Stefan CZARNIECKI: „Katakizm”.  
 Wojciech TROJANOWSKI: „Ach, jaka szkoda!”.  
 Ks. dr KUCIA: „Filozofia biogenety” (praca naukowa).  
 CUDEM OCALENI (praca zbiorowa — wspomnienia i relacje).  
 Ks. Fr. CEGIEŁKA: „Siostra Faustyna, Szafarka Miłosierdzia Bożego”.  
 SIOSTRA MAGDALENA: „Moi bliscy z Galilei” (homilia).  
 Ks. Jan JAWORSKI: „Jestem człowiekiem” (rozważania) i „Szkice parastyczne”.  
 Edward SCHAPER: „Dzieciątko Jezus z borów karelskich” (nowela w tłumaczeniu K. Brzozowskiej).  
 Jan SKORUSA: „Bywaj dziewczę zdrowe” (powieść).  
 Mieczysław PASZKIEWICZ: „Ave atque vale” (reportaż).  
 Tadeusz MACHALSKI: „Co widziałem i przeżyłem” (pamiętnik).

## Nadesłane nowości wydawnicze

- JASTRUN (Tomasz). *Bez usprawiedliwienia*. Wiersze. Str. 52 i 4 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1978; cena: zł 20).
- Wieczór poezji Czesława Paszkowskiego*. Wiersze. 34 str. nienumerowane (powielacz). Paryż, 1978.
- MOCZARSKI (Kazimierz). *Entretiens avec bourreau*. Préface de Andrzej Szczypiorski. Traduit du polonais par Jean-Yves Erhel. Str. 368 i 4 nlb. (Wyd. Editions Gallimard — Collection Témoins, Paryż, 1979).
- Libre — politique-anthropologie-philosophie* — 79-6. Str. 250 i 6 nlb. (Str. 3-33: Krzysztof Pomian „La censure mise à nu”). (Wyd. Petite Bibliothèque Payot — nr 365, Paris, 1979).
- Soviet Diplomacy and Negotiating Behavior: Emerging New Context For U.S. Diplomacy*. Foreword Clement J. Zablocki. Str. 573 i 1 nlb. (Wyd. Committee on Foreign Affairs, Special Studies Series on Foreign Affairs Issues, Volume I; Library of Congress, Washington, D.C., 1979).
- KULSKI (Eugeniusz Julian). *Dying, We Live*. The Personal Chronicle of a Young Freedom Fighter in Warsaw (1939-1945). Str. 304. (Wyd. Holt, Rinehart and Winston, New York, N.Y., 1979; cena: \$ 18,95).
- KRZYŻANIAK (Marian). *The Differential Incidence of Cash Flow Consumption Base Versus Comprehensive Income Tax in a Neo-classical World*. (Nadbitka z *Public Finance*, volume XXXIV/XXXV-ème année, No. 1/1979, str. 1-30; wyd. „Public Finance/Finances Publiques”, La Haye).
- GELLA (Aleksander). *The Russian and Polish Intelligentsias: A Sociological Perspective*. (Nadbitka z *Studies in Soviet Thought 19/1979*), str. 307-320, wyd. D. Riedel Publishing Co., Dodrecht, Hollandia and Boston, USA).
- MATUSCHEK (Herbert). *Einwortlexeme und Wortgruppenlexeme in der technischen Terminologie des polnischen*. Str. 417 i 3 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner — Slavistische Beiträge — Band 114, Monachium, 1977).
- Slavistische Linguistik 1977*. Referate des III. Konstanzer Slavistischen Arbeitstreffens, Bochum 27. 9. 77 - 29. 9. 77. Herausgegeben von Wolfgang Girke und Helmut Jachnow. Str. 260. (Wyd. Verlag Otto Sagner ? Slavistische Beiträge — Band 120, Monachium, 1978).
- Referate und Beiträge zum VIII. Internationalen Slavistenkongress, Zagreb, 1978*. Str. 451 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner — Slavistische Beiträge — Band 119, Monachium, 1978).
- NEUREITER (Ferdinand). *Geschichte der kaschubischen Literatur*. Versuch einer zusammenfassenden Darstellung. Str. 281 i 3 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner — Slavistische Beiträge — Band 117, Monachium, 1978).
- TERESZCZYK (Petro). *Rozdumy nad odnoju knyżkoju „Dywowyżnyj 'rebus' polskich falsyfikatoriw*. Str. 134. (Wyd. Nakładem Towarzystwa Kołysznic Wojakiv UPA w Kanadi i w ZSA, Toronto - Jju Jork, 1979).
- MARAMZIN (Władimir). *Smiesznie czem priezdie*. Rasskazy i powiesti. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Izdatielstwo „Trietaja Wolna”, Francja, 1979).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

13-12-79

W Polsce jest obecnie 4,8 miliona samochodów, w tym 1,7 miliona prywatnych. Wszyscy kierownicy narzekają na jakość usług motoryzacyjnych. Sejmowa komisja stwierdziła, że główne przyczyny złego stanu rzeczy to: wadliwa organizacja pracy, brak fachowców, brak części zamiennych. Resort przemysłu maszynowego przedstawił komisji program, zgodnie z którym dopiero za 3, 4 lata na rynku znajdzie się dostateczna ilość akumulatorów. ■ Do roku 1985 ma nastąpić elektryfikacja 2.500 km linii kolejowych. Wówczas trasy kolejowe będą zelektryfikowane w 40 %.

20-12-79

We Wrocławiu ukazał się pierwszy numer pisma społeczno-kulturalnego *Tematy*. Pismo wydaje Studencka Oficyna Wydawnicza poza cenzurą.

1-1-80

Klemens Krzyżagórski, redaktor naczelny białostockich *Kontrastów*, który uczynił z tego pisma jeden z najlepszych periodyków w Polsce, zrezygnował ze stanowiska naczelnego redaktora i przeszedł do *Miesięcznika Literackiego* w Warszawie. W swoim czasie p. Krzyżagórski był redaktorem *Odry*, która po jego odejściu bardzo podupadła. ■ *Robotnik*, pismo ukazujące się w Kraju poza cenzurą, podaje: „Na północny wschód od Przemyśla, w miejscowościach Gruszowice, Stubno, Kalników, Nakło tworzone jest Agrocentrum, które do roku 1980 ma objąć 35.000 ha ziemi. Prowadzi się masową akcję skupu ziemi — choć cena jest trzykrotnie wyższa od rynkowej, rolnicy odmawiają sprzedaży. Agrocentrum ma być zarządzane przez przedstawicieli ZSSR i Polski i będzie produkować żywność dla ZSSR (w zamian za dostawy środków technicznych). Ludność okolic Przemyśla obawia się, że tworzenie gospodarstw o wspólnym zarządzie sowiecko-polskim jest próbą stopniowego wprowadzania kontroli tych terenów przez ZSSR”. ■ Na miejsce aresztowanych Jiří Hajeka i Ladislava Hejdanka wyznaczono dwóch nowych rzeczników Karty 77 w osobach historyka Marii Hromadkovej i pastora Milosa Reiharta. ■ Trzeci rok działalności Towarzystwa Kursów Naukowych zainaugurował odczyt Władysława Bartoszewskiego pt. „Polskie państwo podziemne w latach okupacji hitlerowskiej”. W roku akademickim 1979/1980 TKN zamierza prowadzić w Warszawie następujące seminaria naukowe: Polska myśl polityczna XX wieku — Marcin Król; Kwestia rolna i ruch ludowy w Polsce XX wieku — Zdzisław Szpakowski; Stosunki polsko-żydowskie od roku 1918 — Władysław Bartoszewski; Postawy światopoglądowe inteligencji polskiej od roku 1945 — Adam Michnik; Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego — Bohdan Cywiński; Aksjologiczne podstawy polityki — Jerzy Jedlicki; Etyczne problemy nauki — Stefan Amsterdamski; Moralisści współcześni: Nietzsche, Scheler, Camus — Hanna Buczyńska; Ruch społeczny jako środowisko wychowawcze — Jacek Kuroń; Polityka gospodarcza PRL — Waldemar Kuczyński; Sztuka czytania gazety — Krzysztof Wolicki; Literatura polska na emigracji od roku 1939 — Zdzisław Łapiński; Literatura rosyjska XX wieku w kraju i za granicą — Andrzej Drawicz. ■ Główny Urząd Ceł zmienił niektóre przepisy w zakresie wywozu towarów. Turyści krajowi i zagraniczni będą mogli wywozić bez cła upominki o łącznej wartości 1.000 zł (dotychczas 2.000 zł) i nie mogą to być artykuły, których wywóz wymaga pozwolenia Urzędu Celnego. Nowe przepisy ograniczają także wywóz środków spożyw-

czych, bawełny, wełny, wyrobów skórzanych, obuwia dla dzieci, telewizorów kolorowych, biżuterii, maszyn do szycia, pralek automatycznych itp. Główną intencją zmian jest wzmocnienie ochrony rynku krajowego przed wywozem za granicę towarów przeznaczonych na zaopatrzenie ludności.

3-1-80

Prasa donosi o coraz większym zagrożeniu polskich jezior. Umierają Mazury, atakowane przez ścieki są również jeziora Pojezierza Lubuskiego. W Zakopanem woda nie nadaje się do spożycia, nie ma wysypiska śmieci, wojewoda zezwala na stałe wycinanie lasów. ■ W Sejmie rozpatrzono projekt budżetu państwa na rok 1980. Zaplanowano wybudowanie 31 szpitali, 41 pawilonów szpitalnych, a także 20 ośrodków zdrowia. Ma również przybyć około 8.000 miejsc w żłobkach. Nadal PRL będzie miała deficyt leków. W dziedzinie oświaty przewiduje się budowę 16 nowych szkół zbiorczych, a także przydział 15 tys. ton papieru, co pozwoli na pewną poprawę zaopatrzenia uczniów w podręczniki. Nie należy też spodziewać się poprawy zaopatrzenia rynku, tym bardziej że plany 1979 roku w tej dziedzinie nie zostały wykonane. Projektuje się wydobycie węgla na około 206 milionów ton, zaś produkcję energii elektrycznej na około 125 mld. kWh. Jeśli idzie o transport, to przewiduje się ponowne wznowienie produkcji węglarek. 2/5 lokomotyw spalinowych stoi bezużytecznie z powodu braku części zamiennych. Nie będzie także poprawy jeśli idzie o telefony. Kolejka zwiększy się do 1,2 mln. osób. Ma się zmniejszyć o połowę inwestycje w resorcie łączności.

7-1-80

W Warszawie zmarł, w wieku 67 lat, krytyk literacki, eseista i tłumacz literatury francuskiej Julian Rogoziński.

13-1-80

W bież. roku przewidziano w PRL 16 dodatkowych dni wolnych od pracy. ■ Znany dziennikarz czeski, sygnatariusz Karty 77, Jiří Lederer, został zwolniony po odbyciu kary 3-letniego więzienia.

17-1-80

Rada Państwa PRL zarządziła wybory do Sejmu PRL i do Rad Narodowych stopnia wojewódzkiego na niedzielę, 23 marca bież. roku.

18-1-80

Nagroda im. Jana Palacha została po raz pierwszy przyznana w Paryżu dla VONS (Komitet Obrony Ludzi niesprawiedliwie Prześladowanych). Nagroda ta wynosi 25.000 franków pochodzących ze zbiórki i pierwsza subskrypcja znacznie przekroczyła tę sumę.

20-1-80

Jeszcze w 1970 roku PRL była poważnym eksporterem produktów rolnospożywczych, a w połowie lat 70-tych uzyskano dodatnie saldo w wysokości około 800 mln. złotych dewizowych. Obecnie deficyt wynosi 6 mld. złotych dewizowych.

21-1-80

Według informacji kursujących w Warszawie ZSSR chciało wciągnąć kraje demokracji ludowej do akcji interwencyjnej w Afganistanie. Zależało im na symbolicznym udziale jednostek wojskowych tych krajów. Sprawa ta była poruszana na sesji ministrów obrony krajów bloku, jednakże uczestnicy byli przeciwni wysłaniu swych kontyngentów do Afganistanu.

**23-1-80**

Polska Żegluga Morska w ciągu minionych 5-ciu lat przywiozła do PRL ok. 10 mln. ton ropy naftowej. Już w bież. roku przywieziono z Zatoki Perskiej ponad ćwierć mln. ton ropy. Przewiduje się, że do końca bież. roku Port Północny przyjmie ponad 3 mln. ton ropy.

**3-2-80**

Tygodnik *Argumenty* w Warszawie podaje: Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej przy współudziale FJN, CRZZ, FSZMP, CZKR, COMUK, MKiS, MOiW, MSW, MAGTiOS, CZSBM, Państwowego Muzeum Etnograficznego oraz związków twórczych ogłasza Konkurs na scenariusze obrzędów socjalistycznych. — A więc zastosowanie wzorów sowieckich, o których pisał w swym przeglądzie prasy sowieckiej Adam Kruczek (*Kultura* nr 5/380).

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**9-12-79**

W Kolonii została powołana do życia Polska Rada Narodowa w NRF. Jest ona częścią składową Rady Narodowej RP w Londynie. W skład Rady Narodowej w RFN wchodzi przedstawiciele PPS, Polskiego Stronnictwa Ludowego, Polskiego Wolnościowego Ruchu Europejskiego, Zjednoczenia Polskich Uchodźców, Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Ligi Niepodległości Polski oraz Niezależnej Grupy Społecznej.

**15-12-79**

Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość o otwarciu w dniu 21 października 1979 roku w Porto Alegre (Brazylia) biblioteki im. Edmunda Gardolińskiego dla uczczenia jego zasług w dziedzinie prac badawczych nad emigracją polską w Brazylii. ■ Estoński Ośrodek Informacji w Sztokholmie ogłosił dopiero teraz tekst memorandum, podpisanego w Moskwie 23 sierpnia 1979 przez czterdziestu sześciu Litwinów, Łotyszów i Estończyków, i skierowanego do: Rządu ZSSR, rządu NRF, rządu NRD, rządów wszystkich krajów sygnatariuszy Karty Atlantyckiej, Kurta Waldheima, sekretarza generalnego ONZ. Podpisani domagają się unieważnienia paktu Ribbentrop-Mołotow. Memorandum zawiera historię i prawną analizę paktu, po czym formułuje żądania. „Żądamy aby Związek Sowiecki ogłosił pełny tekst paktu Ribbentrop-Mołotow, łącznie ze wszystkimi tajnymi protokołami. Pragniemy podkreślić, że w swoim Dekrecie Pokojowym ZSSR wyrzekł się tajnej dyplomacji. Równocześnie domagamy się deklaracji, że pakt Ribbentrop-Mołotow traci swoją ważność w momencie jej podpisania. Żądamy aby zostało to publicznie zadeklarowane przez rządy NRF i NRD, oraz domagamy się aby dopomogły one rządowi sowieckiemu w likwidacji rezultatów paktu, a mianowicie w wycofaniu obcych wojsk z krajów bałtyckich. Dla osiągnięcia tego celu może być konieczne powołanie komisji przedstawicieli rządów ZSSR, NRF i NRD, komisji do likwidacji następstw paktu Ribbentrop-Mołotow”.

**21-12-79**

Mediolański *Il Giornale* rozpoczął 21 grudnia druk cyklu reportaży i wywiadów swego wysłannika specjalnego Lucio Lami pod ogólnym tytułem: „1980-1990 — 10 lat decydujących dla ocalenia Europy”. Otwiera go artykuł „ZSSR, Apokalipsa jutro”, w który włączono wywiad z sekretarzem generalnym NATO, Lunsem. W samym artykule Lami bierze za punkt

wyjścia cyklu słynną już książkę generała Sir Johna Hacketta *Trzecia wojna światowa*. I pisze: „Książka jest znana, ukazało się ostatnio jej tłumaczenie włoskie. Co nie jest znane, a w co wtajemniczyli mnie najbliżsi przyjaciele autora, to że w wersji oryginalnej książka kończyła się nieodwracalnym upadkiem Europy. Ale władze angielskie wywarły tak silny nacisk na generała, że zgodził się (w zamian za pewne korzystne reformy w armii angielskiej) usunąć połowę manuskryptu i zastąpić ją pomyślnym zakończeniem, w którym w trakcie pertraktacji wojujących państw w Europie „przybywają nasi”, czyli Amerykanie. W rzeczywistości nikt nie wierzy, że w ramach serii ciosów nuklearnych prezydent Stanów Zjednoczonych, niezależnie nawet od cech jego charakteru, zgodziłby się zniszczyć Mińsk by pomóc Birmingham, dobrze wiedząc że przysłaby kolej na jakieś miasto amerykańskie. Sam Hackett, z którym spotkałem się w starym i wielkim hotelu londyńskim, dał mi potwierdzenie tego. „Książka — powiedział mi — jest jakby bajką dla dorosłych, ostrzegawczą parabolą która zawiera swój morał niezależnie od pomyślnego zakończenia”.

**25-12-79**

W Londynie zmarł Jerzy Anzelm Cydzik, członek Rady Narodowej RP, sekretarz generalny Europejskich Federalistów, wydawca i redaktor miesięcznika *European Press*.

**28-12-79**

Gilda Pisarzy Katolickich w Londynie zaofiarowała Władysławowi Bartoszewskiemu honorowe członkostwo.

**31-12-79**

Tegoroczną nagrodę dziennikarską w Londynie, wynoszącą £ 200.00, otrzymał Wiktor Trościanko, dziennikarz, radiowiec i publicysta. ■ W Paryżu przestał ukazywać się periodyk *Polska w Europie*, wydawany i redagowany przez Jerzego Jankowskiego. Pismo zajmowało się systematycznie sprawą zjednoczonej Europy. Powodem zamknięcia pisma były trudne warunki finansowe. ■ W Buenos Aires zmarł nagle Tadeusz Czarnobrywy, prezes Związku Polaków w Argentynie.

**1-1-80**

Po śmierci prof. Henryka Paszkiewicza jego funkcję w Polskim Instytucie Historycznym w Londynie objął prof. Andrzej Folkierski z Imperial College, fizyk, syn prof. Władysława Folkierskiego. ■ Z inicjatywy Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata powstał komitet budowy Domu Pielgrzyma Polskiego w Rzymie. Koszt budowy ma wynieść co najmniej milion dolarów. Adres Komitetu jest następujący: Pope John Paul II Guest House Committee, Suite 800 South, 1800 M Street N.W., Washington, D.C. 20036. Czeka zaś należy wystawiać na „John Paul II Guest House”. ■ W ciągu grudnia 1979 roku Józef Garliński wygłosił w Zurychu i w Lozannie odczyt pt. „Ostatnia broń Hitlera”.

**3-1-80**

W Göteborgu (Szwecja) odbył się pogrzeb Tadeusza Nadel-Turońskiego, wybitnego filozofa i logika, wykładowcy na Uniwersytecie Łódzkim, zmuszonego przez władze do wyjazdu w 1978 roku. Ostatnio wykładał on w Sztokholmie. Zmarł w wieku lat 37.

**9-1-80**

Zmarł w Londynie, w wieku 90 lat, gen. bryg. Marian Bolesławicz, brał on udział w Legionach i obydwu wojnach światowych.

**15-1-80**

W kraju, nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej, ukazał się *Inny Świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (wznowiony niedawno w Bibliotece Kultury). Wydanie krajowe poprzedzają dwie przedmowy: nota *Od Wydawcy* z roku 1965 oraz nota *Od Autora*. ■ Zmarł w Toruniu, w wieku lat 50, Leszek Herdegen, aktor teatralny, filmowy i telewizyjny.

**17-1-80**

Nagrodę teatralną *Dziennika Polskiego* w Londynie, w wysokości £ 200.00 przyznano Marii Arczyńskiej i Witoldowi Scheybalowi za całokształt ich działalności aktorskiej.

**25-1-80**

W okresie od 1968 do 31. 10. 1979 roku przybyło do Francji 11.546 politycznych uchodźców sowieckich. W tej liczbie jest 7.932 Rosjan, 2.509 Ukraińców, 851 Bałtów, 254 Gruzinów. W większości są to osoby pochodzenia żydowskiego. ■ W Instytucie Katolickim w Paryżu odbył się wieczór poświęcony ważnej dla Ukraińców sprawie „Patriarchatu katolików wschodnich”, zorganizowany przy pomocy Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego w Monachium. Wykład na ten temat wygłosił ks. Fr. Prevost, profesor Uniwersytetu Katolickiego w Lille, a zebraniu przewodniczył arcybiskup Rupp, delegat papieski przy ONZ w Genewie; obecni byli przedstawiciele wielu obrządków wschodnich, z prawosławnym włącznie. Zebrani wypowiedzieli się przychylnie w stosunku do ukraińskiego postulatu ustanowienia patriarchatu dla obrządku grekokatolickiego.

**29-1-80**

W siedzibie Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie, prowadzonym przez polskich jezuitów, odbyła się prezentacja książki „Autobiografia del cattolicesimo polacco” (przekład z francuskiego „Nous chrétiens de Pologne”, Ed. Cana, 1979). Jest to zbiór artykułów i esejów czołowych przedstawicieli katolickiego niezależnego ruchu „Znak” (Turowicz, Hennełowa, ks. Boniecki, Wilkanowicz, Woźniakowski, Mazowiecki, Wielowieyski, Święcicki).

**30-1-80**

Jan Paweł II mianował biskupa Kazimierza Majdańskiego, ordynariusza diecezji Szczecin-Kamień, wiceprzewodniczącym Komitetu dla Rodzin *ad tempus* (do czasu nominacji nowego ordynariusza bp Majdański będzie regularnie dojeżdżał do Rzymu). Komitet ten stanowi autonomiczną jednostkę w ramach *Consiglio dei Laici* (Rada Świeckich).

**31-1-80**

Dziennik katolicki *Avvenire* podaje, że wkrótce ukaze się polskie wydanie watykańskiego dziennika *Osservatore Romano*. Edycja ta na razie będzie ukazywała się co miesiąc. Przygotowaniem jej zajmuje się: ks. Adam Boniecki z zakonu marianów, członek zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego*, b. kapelan akademicki w Krakowie.

**1-2-80**

Prezydent R.P. na wygnaniu E. Raczyński mianował swym następcą p. Kazimierza Sabbata. K. Sabbat jest premierem rządu emigracyjnego.

**2-2-80**

W Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie odbyło się zebranie miejscowego Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego z odczytem przybyłego z Paryża wiceprezesa Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego we Francji,

inż. Wasyla Mychalczuka, na temat „Minionych możliwości i teraźniejszych potrzeb”. Przybyłego gościa przedstawił prezes Konstantyn Zeleńko, ożywną dyskusję zgał dłuższym przemówieniem Kazimierz Trebicki.

**3-2-80**

W Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (POSK) w Londynie odbyło się zebranie poświęcone wprowadzeniu w życie postanowień układu w Helsinkach i opracowaniu związanych z tym postulatów ze strony narodów uciemiężonych przez ZSSR. W zebraniu, któremu przewodniczył Stanisław Grocholski, wzięli udział licznie przybyli z Francji członkowie tzw. Grupy Paryskiej, skupiającej przedstawicieli grup emigracyjnych osiadłych we Francji oraz uczestnicy czynnej w Londynie Grupy Związkowej, obejmującej głównie uchodźców ukraińskich i rosyjskich. Postulaty, które mają być zbiorowo opracowane, będą rozesłane do jak największej ilości rządów na Zachodzie. Delegacja ukraińska złożyła wieniec pod pomnikiem ofiar Katynia.

**8-2-80**

*Osservatore Romano* zamieścił artykuł wstępny pt. „Tolerancja i stanowczość” podpisany przez ks. V. Levi, zastępcę dyrektora tego dziennika watykańskiego. Artykuł omawia niedawno wydaną książkę Dominika Morawskiego, podkreślając, że „ułatwia ona czytelnikowi włoskiemu zaznajomienie się z problematyką chrześcijaństwa i żywotnością Kościoła w powojennej działalności w Polsce”.

**15-2-80**

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało odczyt red. Jerzego Jankowskiego pt. „Polskie formacje polityczne wobec sprawy ukraińskiej”. ■ Konsul PRL w Malmö (Szwecja) Stanisław Kwieciński został uznany za *persona non grata* i ma opuścić Szwecję w ciągu tygodnia. Jest oskarżony o szpiegostwo, m.in. wśród emigracji polskiej. ■ Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata proklamowała rok 1980 „Rokiem Katynia”, a dzień 27 kwietnia dniem modłów dla uczczenia pamięci ofiar zbrodni w Katyniu i innych miejscach ZSSR. Nabożeństwa żałobne odbędą się we wszystkich skupiskach polskich na świecie. Rada wzywa wszystkich, by w dniach 26, 27 i 28 kwietnia założyli czarne żałobne opaski.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

Konferencja Episkopatu Polski wyznaczyła łącznika między sekretariatem Episkopatu Polski a Komisją Migracji przy Konferencji Biskupów w Stanach Zjednoczonych w osobie prowincjała Księży Chrystusowców. Ks. Władysława Gowina. ■ Sowieckie placówki konsularne w USA zakomunikowały, iż naturalizowani obywatele amerykańscy mogą otrzymać zwolnienie z obywatelstwa sowieckiego za opłatą \$ 96,00. Do tego dochodzą opłaty za poszczególne dokumenty. Podobne oświadczenie wydał konsul PRL, tylko opłaty są wyższe — np. w Kanadzie wynoszą \$ 174,00. ■ W listopadzie 1979 roku jednym z 14-tu radnych miejskich Houston (stolica naftowa USA, 2 mln. mieszkańców) został wybrany Dale Gorczyński, Amerykanin polskiego pochodzenia. Ma on 29 lat i jest jednym z najmłodszych radnych miejskich w Stanach Zjednoczonych. ■ Edward Puacz w Chicago, Ill. otrzymał doroczną nagrodę Prezydium SD i Zarządu wydawnictwa „Epoka” za „popularyzację polskiej literatury i sztuki zarówno w środowisku polonijnym, jak i amerykańskim”. Laureat ofiarował tę nagrodę pieniężną

dla Polskiego PEN Clubu. ■ Instytut Historyczny Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku wraz z Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie (PUNO) w Londynie zorganizował w Nowym Jorku publiczną obronę pracy doktorskiej mgr. Zygmunta Wygodzkiego. P. Wygodzki wygłosił odczyt na temat „Gnieźno i powiat gnieźnieński w Powstaniu Wielkopolskim 1918/19”, będący skrótem jego pracy doktorskiej. ■ Tegoroczne nagrody Fundacji Jurzykowskich otrzymali: BIOCHEMIKA — Irena Chmielewska, emerytowany prof. Uniwersytetu Warszawskiego; FILOLOGIA KLASYCZNA — Marian Plezia, Uniwersytet Jagielloński i Katolicki Uniwersytet Lubelski; FIZYKA — Iwo Białynicki-Birula, Instytut Teoretycznej Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego; HISTORIA — Emmanuel Rostworowski, Instytut Polskiej Historii PAN w Krakowie; LITERATURA — Julian Strykowski, autor „Głosów w ciemności”, „Austerii” i „Snu Azrila”; PLASTYKA — Jerzy Wolff, kapelan w Laskach, autor książki o Gierymskim i Waliszewskim; MUZYKA — Konstanty Regamey, Szwajcaria; OSIĄGNIĘCIA KULTURALNE — Ks. Kazimierz Figłowicz, b. kurator katedry krakowskiej; TŁUMACZENIA — Zygmunt Kubiak, Warszawa i Louis Iribarne, Kanada. ■ Na posiedzeniu Kongresu Polonii Amerykańskiej na stan Illinois, w Chicago, w lutym br. zapadła uchwała o pozbawieniu Zygmunta Podbielskiego stanowiska wiceprezesa KPA w Chicago oraz pozbawienia go członkostwa KPA. Z Podbielski był przez 6 lat prezesem Koła A.K. w Chicago, długoletnim członkiem władz KPA w Chicago i delegatem organizacji kombatanckich na Zjazd Polonii Jutra w Toronto, w 1978 i w 1979 roku. Z. Podbielski był mianowany Marszałkiem wielkiej Parady 3 Majowej w Chicago, w której cała Polonia brała udział. Znany był jako wybitny bojownik o wyzwolenie Polski spod okupacji sowieckiej. Niedawno Podbielski został zdemaskowany jako agent konsulatu PRL w Chicago zajmujący się donosami ze środowiska polonijnego.

## KRONIKA KANADYJSKA

W Hamiltonie zmarł, w wieku lat 86, płk dypl. Leon Kolbuszewski, szef Służb Sztabu Drugiego Korpusu. Po demobilizacji emigrował w 1948 roku do Kanady i po krótkim pobycie na fermie osiadł w Hamiltonie pracując zarobkowo fizycznie. Należał do lokalnych organizacji polonijnych, pracując w nich ofiarnie. ■ Na pomnik uczczenia ofiar Katynia wpłynęło dotychczas (12 list zbiorowych) — \$ 62.651. ■ Stan majątkowy Funduszu Wieczystego — Millenium Fund — na dzień 31 października 1979 roku przedstawia się według oficjalnego sprawozdania następująco: bieżące aktywa — \$ 791.724,81; nieruchomości aktywa — dom i urządzenia biurowe: \$ 97.200,73. Razem aktywa: \$ 889.015,54. Bilans na 31 października 1978 roku wyniósł \$ 814.074,87. W ciągu ostatniego roku sprawozdawczego wpłynęło: dotacje — \$ 116,90, wpływy z bingo — \$ 71.552,22 czyli ogólna suma wyniosła — \$ 885.743,99. Wpływy z lokaty kapitału i procenty wyniosły — \$ 70.641,45. W roku sprawozdawczym dotacje przyznane na sumę \$ 71.194,00 a wobec tego aktywa i pasywa ogółem (*total liabilities and equities*) — \$ 889.015,54. Z wymienionej sumy \$ 71.194,00 na dotacje przeznaczono: na szkolnictwo polonijne — \$ 11.200; na wydanie książki „Polonia 78” — \$ 4.000; na kursy i zjazdy młodzieżowe — \$ 4.500; na Harcerstwo — \$ 10.800; na zespoły taneczne i wokalne — \$ 3.200; na biblioteki — \$ 3.000; na Instytut Badawczy — \$ 5.000; na Polski Instytut Naukowy w Montrealu — \$ 3.000; na stypendium dla KUL-u — \$ 4.000; na wydział polonistyki University of Toronto — \$ 7.750; na indywidualne

stypendia — \$ 3.000. Wymieniliśmy tylko najważniejsze pozycje a zarazem najwyższe. ■ Pilotem transportowym i to w rejonie arktycznym jest 25-letnia Maria Krystyna Mazur, urodzona i wychowana w Montrealu, gdzie ukończyła szkołę średnią i rozpoczęła studia wyższe. Porzuciła je, aby poświęcić się lotnictwu. Dyplom pilota otrzymała w 1976 roku i od tego czasu pracuje w lotnictwie. Obecnie zatrudniona jest w Northward Airlines i mieszka w Inuvik, na Dalekiej Północy — Terytorium Północno-Zachodnie. ■ 8 listopada 1979 odbyła się w Montrealu uroczystość wręczenia odznaki „Sprawiedliwego wybawcy”, p. Barbarze Makuch, za jej działalność na rzecz Żydów w czasie okupacji niemieckiej. ■ Zbiórka na pomnik katyński przyniosła w listopadzie 1979 roku ponad 48 tys. dolarów kanadyjskich. ■ Walny Zjazd Związku Polaków w Kanadzie udzielił Zarządowi Głównemu pełnomocnictwa do dalszego prowadzenia rozmów z Zarządem Głównym Kongresu, zmierzających do powrotu ZPwK do Kongresu. Rozmowy te są już daleko zaawansowane i niemal wszystkie sprawy zostały już wyjaśnione, z tym jednak iż prezesem został po raz trzeci wybrany Henryk Łopiński. ■ W dniach 25. 11 - 2. 12. 1979 r. odbył się w Toronto „Tydzień kultury polskiej”, zorganizowany przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie przy współudziale OO. Oblatów, którzy przygotowali szereg imprez dla dzieci — w ramach Międzynarodowego Roku Dziecka. W programie tego tygodnia odbyły się: wystawa zbiorowa prac polskich artystów plastyków, wystawa prac szkolnych, wystawa filatelistyczna, wyświetlenie filmu z pobytu Papieża w Polsce, kiermasz książki, wystawienie sztuki „Przed sklepem jubilera”, wieczór autorski B. Czaplickiej, W. Iwanika, J. Jurkszus-Tomaszewskiej, W. Lieberta, F. Śmieji i A. Tomaszewskiego, prelekcja Tadeusza Wittlina, oraz wieczór wileński dla uczczenia 400-lecia Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie.

B. H.

## OBRAZY POLSKIE NA SPRZEDAŻ

Tade Makowski, Eugeniusz Żak, Józef Pankiewicz, Piotr Michałowski, Rafał Malczewski, Gustaw Gwozdecki, Eugeniusz Eibisch, Wacław Zawadowski, Eugeniusz Geppert, Teodor Axentowicz, Aleksander Orłowski, Juliusz Kossak, Zofia Stryjenska, Maja Berezowska oraz inni.

Duży wybór starych polskich map i sztychów XVI-XVIII wiek. Fotografie i informacje na żądanie.

THE LIPERT STUDIO  
17 Norton Road, East Brunswick,  
New Jersey, 08816 U.S.A.  
BBC — POLISH SECTION

Również kupujemy obrazy, sztychy, książki, srebro, porcelanę oraz inne dzieła sztuki polskiej.

## Listy do Redakcji

Stockholm, 30 stycznia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

W styczniowo-lutowym numerze *Kultury*, w „Kronice Niemieckiej” Andrzeja J. Chileckiego natknęłam się na passus dotyczący Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy w Polsce i jej 2 posłów w sejmie śląskim. Jeden z nich był moim ojcem i dlatego notatka wywołała zrozumiałe wzruszenie.

Byłabym bardzo wdzięczna Panu Redaktorowi za umieszczenie tego krótkiego listu celem sprostowania dwóch błędów, które — na pewno bez winy autora artykułu — zakradły się jednak do tekstu na str. 161. Otóż właściwe nazwisko mego ojca brzmi: Dr Zygmunt GLÜCKSMANN, a nie jak błędnie podano — Glückmann, oraz — co oczywiście jest o wiele mniej istotne — zmarł on nie na Syberii, a w Bucharze, w Uzbeckiej SRR, dokąd przybył z rodziną po zwolnieniu z zesłania na Północ, i spoczywa na tamtejszym cmentarzu.

Z poważaniem,

Ruth GLÜCKSMANN-KOBRYŃSKA

Toronto, styczeń 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z listem p. W. Wytwyckiego zamieszczonym w grudniowej *Kulturze* pragnę wyjaśnić:

Pan Wytwyckij dopatruje się w jednym pytaniu insynuacji a w innym prawie wymysłu. Ani jedno ani drugie nie jest prawdziwe. Myślę iż najbardziej uprawnionym do wysunięcia zastrzeżeń mógł być mój rozmówca. Nie zaprotestował jednak przeciw tym pytaniom, ale odpowiadał i to bardzo obszernie i szczegółowo. Przykro mi, iż muszę sprostować twierdzenie p. W. iż rok 1941 położył kres nadziejom jakie wiązały pewne odłamy ukraińskie z niemiecką polityką wschodnią. A kiedy wobec tego zorganizowana została dywizja Waffen SS „Galizien”? Wśród wielu pozytywnych w tej mierze lektur polecam mu najnowszą publikację! Roman Krochmalniuk *Zahrawa na Schodi*. Znajdzie w niej szereg interesujących dokumentów, świadczących iż pewne koła ukraińskie trwały niemal aż do końca po stronie niemieckiej.

Odnosnie drugiego pytania to stroną ukraińską był mój rozmówca a pretensje terytorialne aż pod Kraków znaleźć można w wypowiedziach różnych działaczy ukraińskich, publikowanych na łamach prasy. Nie trzeba wcale długo szukać. Jest takich pism wiele. Nie są może wpływowe, mają mały zasięg, ale za to są bojowe. Skoro p. Wytwyckij skłonny jest bagatelizować je, więcej — uważać, iż takie pretensje są wymaginowane — to dlaczego

żadna grupa ukraińska nie wypowiedziała się na ten temat na łamach prasy ukraińskiej? Czy np. uchwały zjazdów Łemków są wyrazem dobrej woli strony ukraińskiej?...

Pan Wytwyckij stara się poderwać zaufanie do mnie przypominając mi, że nie wyjaśniłem zarzutów pp. Prokopa i Łysiaka-Rudnyckiego. Otóż tutaj zawinił redaktor Giedroyc, który zapomniał ogłosić mojej natychmiastowej odpowiedzi, a gdy upomniałem się było już za późno. Korzystając jednak ze sposobności wyjaśniam, iż odnośnie prof. Rudnyckiego powstała tylko omyłka w druku gdyż jego wypowiedź znalazła się jako wypowiedź Lewyckiego czy też na odwrót, natomiast w sprawie merytorycznej podtrzymuję w całości swoje uwagi. Nie spotkałem się z żadnymi zastrzeżeniami ze strony licznych uczestników tej konferencji nie wyłączając jej organizatora prof. Potiecznego. A to wystarczy.

Benedykt HEYDENKORN

## LIST OTWARTY DO REDAKTORKI „CAHIERS DE L'EST”, Nr 18/19, ZOFII BOBOWICZ

Toronto, 6 lutego 1980.

Zostając na emigracji, myślałem że uniknę kontaktów z warszawskim reżymem i jego sowiecką kontrolą, dążącą do zniszczenia naszego dorobku kulturalnego i szybkiego wcielenia naszego kraju w orbitę zniewolonych sowieckich republik.

Myślałem że literatura emigracyjna będzie mogła rozwijać się swobodnie, z dala od cenzorów i sowieckiej gangreny, że nikt nie będzie nas kontrolował, katalogował, podjudzał na siebie i jątrzył, nikt — a zwłaszcza nowo przybyli z kraju, w dobrej lub złej wierze.

Zredagowany przez Panią podwójny numer *Cahiers* wypacza rzeczywisty stan literatury emigracyjnej i fałszuje jej obraz. Ale, niestety, tylko my, pisarze emigracyjni, możemy to sprawdzić, bo przecież głupi Francuz weźmie Pani robotę za dobrą monetę.

Jak można było pominąć w takim tomie twórczość Lechonia, Wittlina, Bohdanowiczowej, Bobkowskiego, Czapskich, obu Nowakowskich, Wieniewskiego, Terleckiego, Weintrauba, Mackiewicza, Chciuka, Straszewicza, i kilku innych jeszcze?

Jak można było potraktować aż tak pogardliwie czołowych współczesnych klasyków: Wierzyńskiego, Pawlikowską, Czuchnowskiego, Łobodowskiego, a wyolbrzymić płotki literackie, które historia pokryje z czasem zasłużonym milczeniem? Takie wypaczenie, to już nie brak uczciwości, to coś więcej.

Dlaczego pominięty został całkowicie tak ważny dział, jak redagowane przez Pawła Mayewskiego *Tematy*, z których — jak twierdzi Alicja Lisiecka — poeci w Polsce Ludowej uczyli się nowoczesnego wiersza? Wspomniało zaś o pretensjonalnych *Kontynentach*?

Reprezentowanie obcemu czytelnikowi czyjegoś dorobku poetyckiego jednym lub dwoma wierszami, to nic innego jak niedźwiedzia przysługa. Trzeba wtedy za zgodą autora wybrać najlepszy jego wiersz, a nie dający się łatwo przełożyć. Tu popełniła Pani wszystkie możliwe błędy, krzywdząc poetów, czytelnika i literaturę.

Gdy pani Lisiecka zwróciła się do mnie o wiersze, zaznaczyłem iż chodzi mi przede wszystkim o „Après le déluge”. Wiersz ten z całym kunsztem Mayewski przełożył na angielski, Dedecius świetnie oddał po niemiecku, Hostowiec napisał że jest to jeden z najpiękniejszych wierszy we współ-



czesnej poezji polskiej. Nie ważne są w tym wypadku pochwały, ważne jest życzenie autora, które w kulturze zachodniej bywa zazwyczaj uwzględniane.

Moje zarzuty w tym liście spowodowała zwykła uczciwość, oparta w literaturze na obiektywnych, hierarchicznie ustalonych sądach, a nie stronnictwem widzimi się.

Wacław IWANIUK

Londyn, grudzień 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pułkownikowi pil. W. Makowskiemu należą się słowa uznania za hołd, jaki złożył gen. pil. L. Rayskiemu w liście zamieszczonym w *Kulturze* z września 1979 roku, tym bardziej, kiedy sam przyznaje, że nie zgadzał się z nim „prawie we wszystkich zasadniczych sprawach”.

W drugiej części listu płk Makowski bardzo trafnie określił obecne władze Stowarzyszenia Lotników Polskich, i tu pozwolę sobie przytoczyć jego słowa: „Nasz zarząd i prezes, usadowiwszy się na tronie, mając pod sobą organ (pismo) stowarzyszenia, środki, używając demagogii i grając wyborami z udziałem „martwych dusz”, jak każdy dyktator będzie starał „dowodzić” niezłomnie i dożywotnie”.

Właśnie nasze lotnicze pismo *Skrzydła* znalazły się obecnie w rękach nieodpowiednich ludzi, łącznie z przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego i redaktorem. Jeden z członków redakcyjnego zespołu, publikując artykuły w Polsce (za co pobiera honoraria) szkalował gen. Rayskiego jako D-cę Lotnictwa i jego sztab, a tu na terenie Anglii, nawet w okresie załoby po śp. Generale atakował, w sposób niesmaczny, w prasie emigracyjnej osiągnięcia Tego, któremu płk Makowski złożył hołd i kwiaty na płycie, ufundowanej z indywidualnych składek kolegów lotników, w kościele Św. Krzyża w Warszawie.

Pomimo moich i wielu kolegów-lotników beznadziejnych, jak się okazuje starań i interwencji w zarządzie i u prezesa SLP o usunięcie niepożądanych i szkodliwych dla stowarzyszenia osób z Kom. Red. *Skrzydła*, na znak protestu zmuszony zostałem prosić o nieprzysyłanie mi dalszych numerów tego pisma.

Ze względu zaś na to, że zarząd i prezes, znając dobrze sytuację redakcji naszego pisma i upierają się w utrzymaniu swych pozycji, czym wprowadzają coraz większy rozłam wśród zrzeszonych w SLP lotników, ja, dożywotni członek SLP i jeden z niewielu pozostałych współpracowników Dowództwa Lotnictwa za czasów gen. Rayskiego, piszę o skreślenie mnie z listy członkowskiej Stowarzyszenia. Robię to z głębokim żalem, ale mój wiek i stan zdrowia nie pozwalają mi już na dalszą walkę o oczyszczenie stosunków w gronie Stowarzyszenia Lotników. Przykro jest w ten sposób rozstawać się z jedyną organizacją lotniczą i zrywać węzły jakie łączyły mnie z Lotnictwem od 1916 roku.

Mam jednak nadzieję, że podjęta przez płk. Makowskiego walka o uzdrowienie obecnie schorowanego SLP obudzi szerokie rzesze kolegów-lotników, którzy oddadzą swe sprawy w dobre i mądre ręce.

Z poważaniem,

Inż. Tytus KARPIŃSKI, płk pil.  
b. Zastępca Techn. D-cy Lotn.

New York, 28 grudnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym dopełnić podane w wywiadzie Benedykta Heydenkorna z Jarosławem Stećko (*Kultura* nr 9 z 1979 r.) informacje o Ukraińcach-więźniach koncentracyjnego obozu w Sachsenhausen.

Jak wiadomo oprócz Stefana Bandery, Jarosława Stećki i członków ich organizacji w obozie tym znajdowali się także liczni członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów płk. A. Melnyka oraz on sam i jego żona.

Spomiędzy wszystkich Ukraińców-więźniów obozu „organy bezpieczeństwa” Trzeciej Rzeszy wtenczas zamordowały, po ciężkich torturach, jedynie dr. Oleha Kandybę, zastępcę płk. A. Melnyka.

O męczeńskiej śmierci O. Kandyby czy nie pierwszy poinformował współwięźniów Ukraińców kapitan Jerzy Kuncewicz-Jakubjaniec (adiutant Marszałka Piłsudskiego?). Jego celi znajdowała się obok celi O. Kandyby. Lubelski biskup sufragan, o którym wspomina J. Stećko, nazywał się Władysław Góral. On odprawił w swojej celi mszę św. za spokój duszy zamęczonego.

Warto zaznaczyć, że dr O. Kandyba był wybitnym archeologiem i poetą (pseudonim literacki O. Olżycz). Niektóre jego wiersze jeszcze przed wojną przełożono na język polski.

Z wyrazem szacunku,

Oleh LASHCHENKO

## ODEZWAŁY SIĘ NOŻYCE

W wychodzącym w Tel-Avivie czasopiśmie *Nowiny-Kurier* (nr 19 z 22 stycznia 1980 roku) ukazał się artykuł pt. „Na marginesie prób rehabilitacji” — Haniebna rola Petlury”. Autor: Dawid Jabłonka. Redakcja dodała wyjaśniającą notatkę następującej treści: „Artykuł ten otrzyaliśmy w reakcji na publikację w paryskiej *Kulturze* (nr 11), pt. ‘Fałszywa legenda’, pióra Józefa Łobodowskiego”.

„Implikowanie Szwarebartowi — twierdzi p. Jabłonka — że był agentem GPU jest nieudolną insynuacją, pozbawioną sensu”. Każda dyskusja ma sens, pod zasadniczym warunkiem, że polemisci biorą pod uwagę wszystkie argumenty przeciwnika. P. Jabłonka zastosował odmienną metodę: najważniejsze moje argumenty pominął grobowym milczeniem. Jaskrawy przykład: „W czasie publicznego procesu — cytuję *expressis verbis* — historyk Czortkower przyniósł plik dokumentów, świadczących o haniebnej roli atamana Petlury, który, jako głównodowodzący armii, nie kiwnął nawet palcem, aby przerwać orgię pogromów, dokonywanych przez jego hajdamaków”.

W odpowiedzi na to strona ukraińska przedstawiła rozkazy Petlury, zapowiadające, że żołnierze winni udziału w pogromach będą rozstrzeliwani. P. Jabłonka o tym nie wie? Przecież powołałem się w moim artykule na owe rozkazy. Nie zauważył, zapomniał? Według niego Petlura „nie kiwnął nawet palcem”. To się nazywa polemiczna lojalność!

„Czyżby — zapytuje p. Jabłonka — socjalista Henry Torres podjął się obrony agenta GPU Czyżby głosił przywódca żydowscy (Motzkin, Tiomkin i inni) i Romain Rolland bronili agenta GPU?”.

Widocznie, p. Jabłonka posadza swoich czytelników o słabą pamięć. Jako jeden z nich zapewniam go, że jest w grubym błędzie. Wymienione osoby mogły nie orientować się w sytuacji, a ponadto nie brakowało wśród

nich (*exemplum* Romain Rolland) zdeklarowanych sowietofilów. Rolland brał udział w zjazdach pisarzy proletariackich w Sowietach już po samobójstwie Jesienina i Majakowskiego, po łagiernej śmierci Kamińskiego i Klujewa, po rozstrzelaniu Borisa Pilniaka i Izaaka Babiela. I był nieodmiennie zachwycony. To właśnie jego p. Jabłonka proponuje, jako autorytatywnego świadka. Cóż za znajomość historii literatury i jaka przenikliwość polityczna!

P. Jabłonka pominął fakt, że Szwarcbart po uniewinnieniu i zwolnieniu rozjeżdżał po Europie Zachodniej i Środkowej (do Polski go na szczęście nie puszczono) z odczytem „Jak zabiłem atamana Petlurę”. „Skromny pracownik” (tak go nazwał p. Jabłonka) zorganizował sobie to „tryumfalne” *tournée* na własny rachunek, czy też ktoś stał za nim? Kto?

P. Jabłonka zagłębił się także w dziejową przeszłość. Ironizuje na temat tego, co napisałem o roli żydowskich arendarzy na Ukrainie. „Raz więc — powiada z przekąsem — byli 'winni' żydowscy arendarze, choć było ich stosunkowo niewiele...”. Poruszając tę sprawę, przypisałem winę jednemu i drugiemu: polskiej szlachcie, że puszczała ukraińskie wsie w arendę, Żydom, że na to chętnie szli. Teraz okazuje się, że żadnej winy po ich stronie nie było, bo stosunkowo nieliczni. Czy p. Jabłonka może podać dane statystyczne, choćby w przybliżeniu? Czy wie, że często-gęsto taki arendarz trzymał klucze od cerkwi i pop prawosławny musiał opłacać się każdorazowo, by móc w niedzielę cerkiew otworzyć i odprawić nabożeństwo? Także i w tym wypadku odpowiedzialność była obopólna: polska i żydowska!

I wreszcie sprawa najważniejsza, którą p. Jabłonka znowu pominął milczeniem (obojętnym? niechętnym?). Dlaczego Szwarcbart tak długo zwlekał ze swoją „zemstą”? Przebywał w Paryżu, wkrótce po rewolucji wrócił na rodzinną Ukrainę, tam dowiedział się (ciągle według jego zeznań) o zamordowaniu całej rodziny, rzekomo przez petlurowców. Wrócił do Paryża, gdzie mniej więcej w tym samym czasie zamieszkał Petlura. Zdałoby się, że pod świeżym wrażeniem pogromu w Płoskirowie i zguby jego najbliższych „mściciel” powinien był działać natychmiast. A on — nie! Widocznie spodobał mu się polski przebój: „Ja mam czas, ja poczekam!”. Więc cierpliwie czekał. Spacerował po Paryżu, siadywał w parku, wstępował do barów na wino. Skończył się rok 1921, minęły dalsze trzy lata (1922-1924), „mściciel” ciągle czekał. Petlurę zamordował w niewiele dni po zamachu majowym Piłsudskiego. Skąd ta czteroletnia zwłoka? Aż tyle czasu Szwarcbart potrzebował, by podjąć swoją decyzję?

Zapewniam p. Jabłonkę, że na emigracji nie znajdzie ani jednego odpowiedzialnego Ukraińca, niezależnie od środowiska społecznego i filiacji polityczno-partijnej, który by miał najłżejsze choćby wątpliwości do do autorstwa zamachu na Petlurę. Wszyscy od samego początku uważali i nadal uważają, że Szwarcbart był jedynie narzędziem, zaś sprawcą bolszewicka Moskwa.

Powolywanie się na sprawę Kutiepowa i Trockiego nie stanowi żadnego argumentu. „Przecież — dowodzi p. Jabłonka — kiedy agencji GPU dokonali zamachu na Trockiego czy Kutiepowa i innych, natychmiast i wszystkim — wiadomo było, kto nastął morderców i kto był inspiratorem tych zbrodni”. Owszem, wiadano, na podstawie poszlak, podobnie, jak w wypadku zamachu na Petlurę. Śpiewaczka Skoblina nie przyznała się do niczego, gdy ją sądzono i skazano w Paryżu; dopiero w wiele lat później, gdy umierała w więziennym szpitalu, zwierzyła się swemu adwokatowi, że była agentką GPU. Morderca Trockiego w Meksyku nie wyznał niczego ani w śledztwie, ani na rozprawie. Po dziś dzień dobrze nie wiadomo, kim był i jak się naprawdę nazywał, bo używał kilku różnych nazwisk. I wszystko miało charakter poszlakowy. Skoblina i Morand skazani zostali, jako autorzy popełnionych czynów, a nie jako agenci GPU i NKWD, bo tego w przewodzie sądowym nie stwierdzono.

Uniewinniając Szwarcbarta, trybunał paryski pogwałcił obowiązujący kodeks karny. Uznał prawo każdego obywatela do prywatnego wymierzania sprawiedliwości. Z prawnego punktu widzenia wyrok paryski był oczywistym skandalem i niebezpiecznym precedensem. Twierdzenie, że wszystko wałkowało się i zdecydowało za kulisami, od pierwszej chwili uzyskało licznych zwolenników. Ambasada sowiecka zapewne też maczała swoje palce, choćby tylko pośrednio.

Przy okazji p. Jabłonka przypomniał zamach Herszela Grynszpana na sekretarza niemieckiej ambasady w Paryżu Ernsta von Ratha (listopad 1938). Tym razem wszystko rozwinęło się zupełnie inaczej, chociaż okoliczności zewnętrzne wyglądały identycznie. Za Grynszpanem, jak uprzednio za Dawidem Frankfurterem, nie stała policja żadnego potężnego mocarstwa, więc za sprawą Szwarcbarta nie ma żadnej analogii.

W zakończeniu swego oburzonego artykułu p. Jabłonka uznał za wskazane wrzucić kamyczek do mego ogródka. Cytuję: „Naród ukraiński odnajdzie sam siebie i odrodzi się do samodzielnego bytu. Niepotrzebni mu są nieproszeni suflerzy, natrętnie wtrącający swoje trzy grosze. Oni zdolni są tylko opóźnić ten proces odnowy”. Niech autor powyższej impertyncji popyta Ukraińców, jeśli ich ma wśród swoich znajomych, a dowie się, że jako publicysta, poeta i tłumacz zajmował się sprawą ukraińską jeszcze przed wojną i mam już za sobą pięćdziesięcioletnią działalność w tej dziedzinie. W charakterze „nieproszonego i natrętnego suflera”? Bo z artykułu p. Jabłonki wynikałoby, że wyskoczyłem niespodziewanie, jak Filip z konopi, i że Ukraińcy nie mają wyrobionej opinii o śmierci Petlury, a dopiero ja wlałem do budki suflera i zacząłem im podpowiadać.

Jeszcze jedno. Tu i ówdzie p. Jabłonka upożądał się na przyjaciela narodu ukraińskiego, a jednocześnie pisze: „Można 'rehabilitować' Chmielnickiego i Petlurę, Bałachowicza i Bandę i nawet uchwałać 'ordery' im poświęcone, ale nikt i nic nie zatrze w pamięci narodu żydowskiego tragedii niewinnych ofiar hajdamackich atamanów i watażków”. Skąd się na tej liście wziął Bałachowicz, nie wiadomo, bo przecież nie był Ukraińcem. Widocznie, nominacja, wywołana pośpiechem. Dam p. Jabłonce zyciową radę. Niech lepiej zejdzie z piedestału przyjaciela Ukraińców, bo uznania nie uzyska. Ktoś, kto w osobach Chmielnickiego, Petlury i Bandy widzi tylko morderców Żydów, niech maski ukrainofila nie zakłada. Nie dopasuje jej do wzburzonego oblicza.

Józef ŁOBODOWSKI

Sztokholm, 7 stycznia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem dziś po raz pierwszy fragment „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z dnia 11 lutego 1977 (opublikowany w *Kulturze* nr 5 z 1977 r., jeszcze przed moim przybyciem z PRL na Zachód) o utworze Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa - Pietuszki”. Pisał on w „Dzienniku”:

„Warstwa wierzchnia 'poematu' jest zatem satyryczna, odślania współczesną Rosję znaną dobrze każdemu, choćby przelotnemu podróżnikowi: Rosję pławiącą się w alkoholu, przemytą dziś wódką jak była wczoraj przemyta krwią w głośnej powieści rewolucyjnej Artiuma Wiesołego”.

Wszystko to prawda. Przyjechał z wycieczki do Leningradu mój przyjaciel Szwed i opowiadał mi długo, co się tam dzieje. Alkohol leje się strumieniami. Robotnicy po pracy wstępują do „bar'ków” tj. barów z piwem i wódką i piją do wieczora. Wódki „Stolicznej” nie można kupić w normalnych sklepach, bo tę sprzedaje się dla turystów dewizowych w

sklepach „Bieriozki”. Na jej miejsce sprzedaje się podłą, wysokoprocentową „Syberyjską”. Owych sklepów „Bieriozki” namnożyło się w centralnych punktach miast, kolą ludzi w oczy, bo obywatele sowieccy nie mają do nich wstępu. Zaopatrzenie w żywność jest niedostateczne, wszyscy mówią, że dopiero w okresie olimpiady pojawi się to wszystko w sklepach, aby dziennikarze zachodni byli oczarowani. Kwitnie przestępczość gospodarczo-handlowa, dyrektorzy instytucji handlowych, turystycznych, kierownicy sklepów, działacze partyjno-gospodarczy świadczą sobie usługi dostarczaniem towarów deficytowych, zwłaszcza delikatesowo-spożywczych z pominięciem sklepów. Niezwykle rozwinięta korupcja: aby kupić mieszkanie, samochód itd. trzeba znajomości lub łapówki. Z południa przyjeżdżają bogaci Gruzini i kupują w Leningradzie od pośredników dzinsy, garnitury, odzież damską (zachodnio-turystyczną: Finowie tu przyjeżdżają na *weekend*y w zorganizowanych grupach w celu wypicia taniej wódki, oddają odzież — otrzymują kawior itp. produkty eksportowe). Nawet tajniacy trudnią się... stręczycielstwem, załatwiają Finom i Szwedom 17-, 18-letnie dziewczyny. Potrzebne im są 100-dolarowe banknoty za które zapewniają wszelkie usługi, towary eksportowe lub ruble. Oczywiście dziewczyny kosztują taniej — kilka dolarów. Na 100-dolarówki jest obecnie duży popyt w Leningradzie. Domy akademickie Uniwersytetu służą pokojami dla dewizowych „gości”, przyprawdzanych tu przez stręczycieli. Ciekawą rolę pełnią studenci zagraniczni w Leningradzie (przybysze z Trzeciego Świata). Mogą swobodnie jeździć do Finlandii i Szwecji, więc przywożą stamtąd odzież za pieniądze zarobione „na czarno” (np. w knajpach Sztokholmu, przy myciu naczyń), mają swoich „odbiorców” nie tylko spośród leningradzkich, ale i moskiewskich handlarzy. Studentów egzotycznych jest w tym roku bardzo wielu, ale i Polaków przybyło na studia filologiczne i... filozoficzne. O Polakach Rosjanie mają pozytywne, wręcz przyjazne zdanie, chociaż o studentkach Polkach mówi się, że są może zbyt... łatwe dla tych nieubianych czarnuchów-studentów z dewizami zachodnimi. Zwyczaj mieszkaniec Leningradu pochłonięty jest udręką codziennej walki o produkty żywnościowe, o rzeczy codziennego użytku domowego, o odzież, o... papier toaletowy.

Przykład daje sam pierwszy sekretarz Kominetu Leningradzkiego, który na wesele swojej córki kazał przywieźć z Ermitażu XIV-wieczną podobno (?) zastawę porcelanową, wbrew woli dyrektora muzeum. Pijani goście porzabijali tę unikalną zastawę. Pisała o tym, o dziwo, *Literaturnaja Gazieta* krytykując po raz pierwszy członka Politbiura. I to się dzieje w mieście rewolucji 1917 roku.

Z wyrazami szacunku,

Władysław NOWIK

15 stycznia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Wandy Chylickiej — jakkolwiek pozytywna może być każda opinia członka z Kraju na temat działalności RWE — wprowadza, niestety, w błąd zarówno Polaków na emigracji, czytelników *Kultury*, jak i krajowych słuchaczy tego radia, wśród których nie ma z pewnością wielu, którzy by, przedzierając się uchem z trudem przez zgluszenia, wysłuchiwali codziennie cały blok programowy. A jest tego programu dziennie pięć godzin (nie licząc powtórzeń).

Nie chciałbym wdawać się w polemikę z twierdzeniami, jakoby RWE lansowała, czy też była trybuną jakiegoś ugrupowania opozycji demokratycznej w Polsce. Moim zdaniem (obserwatora z bliska) RWE nie jest trybuną żadnego ugrupowania, nie jest także trybuną opozycji demokratycznej

nej jako całości, jest po prostu (na miarę swych skromnych możliwości) informatorem m.in. o działalności opozycji demokratycznej w ogóle, starającym się o rzetelność tej informacji i nie wdającym się w wewnętrzne spory ugrupowań i animozje.

Przechodzę do spraw kultury, poruszonych w liście, jako że za ten odcinek pracy rozgłosiłem jestem odpowiedzialny. Przykłady „drastyczne”, wymienione przez p. Chylicką, zupełnie nie zgadzają się z rzeczywistością. Powieści Brandysa „Nierzeczywistość” — bądź co bądź, jednej z najważniejszych analiz literackich współczesności polskiej, jaka ukazała się na przestrzeni ostatniego półtoraroczca — poświęciła rozgłoszenia sygnalizującą wiadomość w audycji „Fakty, Wydarzenia, Opinie”, następnie (już w programie kulturalnym) dwie audycje typu recenzującego, pióra własnych współpracowników (dziesięciminutowe), oraz dodatkowo jedno omówienie tej powieści, autora krajowego, zaczerpnięte z któregoś z „samodruków” krajowych. Natomiast, jeśli chodzi o Gombrowicza, to jego „Dzienniki” na przykład, proponowane przez p. Chylicką do programu, zostały (z wyjątkiem fragmentów o charakterze dość intymnym) nadane w programie RWE w trzydziesto-odcinkowej serii (po piętnaście minut każdy odcinek) już w połowie roku 1974. Zresztą parę miesięcy wcześniej nadany został także „wieloodcinkowiec” wiążący się ściśle z „Dziennikami”, a prostujący głośne fałszerstwo, dokonane swego czasu na tym autorze przez *Miesięcznik Literacki*. Osobiście w roku 1977 w obszernej audycji recenzowałem odnalezioną w papierach pośmiertnych pisarza jego sztukę „Historia”, drukowaną w *Kulturze* i graną na scenie w RFN. W innej audycji w tym czasie omówione zostały „Problemy obiektywizmu i subiektywizmu w twórczości Gombrowicza”. Omówiona w programie również była obszernie — z papierów pośmiertnych wydana przez „Instytut Literacki” — książka Gombrowicza „Wspomnienia polskie”. Aby już jednak skończyć to (i tak bardzo niepełne) wyliczanie z lat dalszych — w roku ubiegłym w miesiącach sierpniu i wrześniu twórczości Gombrowicza i jego argentyńskiemu okresowi życia poświęcony został cykl pięciu audycji dwudziestominutowych. Nadto w październiku rozgłoszenia nadała dziesięciminutową audycję pod tytułem „Gombrowicz w kraju i świecie”.

Mogę zapewnić czytelników *Kultury*, tak krajowych, jak zagranicznych, że sprawy twórczości Gombrowicza przewijają się stale przez program RWE, jakkolwiek nie jest ona już dziś w tak nieszczęśliwym położeniu, jak twórczość wielu innych autorów obłożonych ścisłym indeksem cenzury, gdyż dla części twórczości tego pisarza indeks ten w Polsce przestał obowiązywać.

Także twórczości obecnego Papieża (od chwili jego wyboru do dzisiaj) poświęconych było w programie RWE kilkanaście audycji prezentujących ją, bądź omawiających.

Łączę wyrazy poważania,

Włodzimierz ODOJEWSKI

Monachium, 25 stycznia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze!

List „grupy Polaków, Rosjan i Ukraińców”, w którym zakwestionowano celowość planów reporterskiej obsługi letnich igrzysk olimpijskich przez Radio Wolna Europa i Radio Liberty, ukazał się na łamach styczniowej *Kultury* w czasie gdy tematem dnia stał się bojkot olimpiady w Moskwie. Podjęcie obecnie dyskusji na ten temat staje się w jakimś sensie bezprzedmiotowe jeśli punktem wyjścia ma być tylko sprawa olimpijskiej reporterki. Trudno jednak powstrzymać się od kilku sprostowań. I tak: odebranie reporterom RWE, wskutek wiadomych nacisków, akredytacji w

Innsbrucku stało się w efekcie triumfem dla tej rozgłośni. Dziesiątki artykułów i komentarzy w prasie zachodniej nie tylko wyraziły solidarność z tym co głosi Radio Wolna Europa ale i przypomniały opinii publicznej jak potrzebne jest swobodne przekazywanie idei i informacji. W Montrealu, z kolei zatrząskiwania drzwi i upokorzeń, jak chcą anonimowi autorzy listu, nie było.

W liście, o którym tu piszę, niepokojącą rzeczą poza tym jest jeszcze inny aspekt: chodzi mi o nieścisłości, jeśli nie wręcz brak prawdy w informacjach, które dla autorów listu stają się podstawą dla ich wywodów.

„Grupa Polaków, Rosjan i Ukraińców z Monachium” bije na alarm twierdząc, że o planach obsługi Olimpiady w Moskwie zainteresowani pracownicy RWE/RL nie byli w ogóle powiadomieni i dowiedzieli się o nich dopiero z prasy amerykańskiej. W rzeczywistości sprawa ubiegania się o akredytację reporterów obu rozgłośni na igrzyska w Moskwie omawiana była przez kierownictwo i redaktorów odpowiedzialnych za program sportowy począwszy od roku 1976, tuż po olimpiadzie w Montrealu.

Jeszcze w roku 1977 reporterom ze wszystkich sekcji, a wśród nich i niżej podpisanemu, dyrekcja postawiła całkiem formalnie pytanie czy byliby gotowi wziąć udział w ekipie sprawozdawczej, gdyby powstała możliwość wystąpienia jej także i do Moskwy.

Plany obsługi reporterskiej igrzysk w Moskwie były poruszone w wewnętrznej gazetce-biuletynie rozgłośni. Omawiał je publicznie, odpowiadając na pytania z sali na spotkaniu z całym zespołem, współpracownik profesora Brzezińskiego, p. Henze. *Last but not least* zamiar ubiegania się o akredytację olimpijską dla, symbolicznej zresztą, ekipy radiowej jasno przedstawił prezes naszej Organizacji, dr Ferguson, omawiając w listopadzie ubiegłego roku na dorocznym spotkaniu z personelem, bieżące problemy i dalsze plany kierownictwa obu rozgłośni.

To są informacje ścisłe i łatwe do sprawdzenia. Szkoda, że tego nie uczyniono, przekładając demagogiczne gołostowie, które podważa przecież tak potrzebną w każdej dyskusji dobrą wolę.

Łączę wyrazy należnego szacunku,

Władysław S. PONCET  
etatowy pracownik  
Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa

5 grudnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem Polakiem z Kraju, krótko przebywającym na Zachodzie, człowiekiem młodym (30 lat). To, że zdecydowałem się sięgnąć po pióro i napisać ten list, zdecydował wspaniały artykuł w nr. 11 (1979) Pańskiego pisma. Jest to jeden z bardzo niewielu artykułów demaskujących prawdziwe oblicze p. Kuronia, pozbawione aspiracji prawdziwie niepodległościowych. Na Zachodzie dominuje zachwyt nad programem ideowym p. Kuronia, wynikający chyba z faktu, że coś takiego jak „opozycja” w Polsce w ogóle funkcjonuje.

Nie związany jestem z żadnym z ugrupowań opozycyjnych w kraju, ale stwierdzić mogę, że jakkolwiek p. Kuroń w miarę „rozpracował” środowisko warszawskie o tyle tzw. „teren” zdecydowanie chyba popiera alternatywne ugrupowania. Nie to jest jednak celem mojego listu. Chciałem po prostu wyrazić Panu Redaktorowi wdzięczność za publikację artykułu Socjusza. Publikacja bowiem przez pismo tak znaczące jak *Kultura* krytycznego artykułu wobec „Zasad ideowych” p. Kuronia otworzy może wreszcie pole do prawdziwie pełnej analizy polskich ugrupowań opozycyjnych.

Może emigracja zrozumie wreszcie to, co w Kraju jest już jasne, że „KOR” to nie cała polska opozycja, ale tylko pewien jej procent (wcale nie bezwzględnie większy). Może ukażą się wreszcie obiektywne oceny innych ugrupowań. Może wreszcie „KOR” utraci absolutny monopol (w każdym razie absolutną większość) na emigracyjne pieniądze, tym bardziej że nie podejmuje idei Socjusza współpracy z całą opozycją, natomiast chętnie w swych „Zasadach ideowych” godzi się na współpracę z pewnymi frakcjami partyjnymi. Pan Kuroń, odrzucając możliwość uwolnienia się od kurateli ZSRR, nazywając deklaracje niepodległościowe „budzącymi litość”, ukazuje w gruncie rzeczy jak dalece jako aktywista partyjny sprzed 20-tu laty, ma jeszcze zaszczone partyjne metody myślenia. Stwierdzić mogę z pełną odpowiedzialnością jedynie, że na szczęście polskie społeczeństwo zaczyna rozumieć, że opozycja to nie tylko p. Kuroń czy Michnik. Dowodem na to tak liczne (coraz liczniejsze) w wielu miastach demonstracje niepodległościowe (choćby 11 listopad, czy wrześniowe), które z „KOR”-em niewiele mają wspólnego.

Tak dzieje się, mimo że Radio Wolna Europa jest praktycznie tubą KOR-u i innym ugrupowaniom swego czasu antenowego nie używa prawie wcale. Nawiasem mówiąc, z dużym wyczuciem aktualnych nastrojów polskich ocenia Pan Redaktor Radio R.W.E., które jest niestety jedyną liczącą się alternatywą Polskiego Radia Warszawa i tylko dlatego jest tak słuchane. Uczciwa zaś robota dziennikarska pozostawia bardzo dużo do życzenia w pracy tej rozgłośni.

Raz jeszcze w imieniu „czytelników krajowych” dziękuję za ten głos Socjusza w imię idei pluralistycznych. Jeśli tych kilkanaście zdań ma charakter nieco chaotyczny, proszę mi wybaczyć.

Z wyrazami szacunku,

(Nazwisko znane Redakcji)

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Leszek Lektorowicz. — Artykułu Pana nie zamieścimy.

Roman Retman, Kanada. — Nie wydaje się nam celowe polowanie na czarownicę. Lepiej oceniać ludzi według ich zachowania się po opuszczeniu kraju.

Jerzy Skrodzki, Kanada. — Nie możemy zamieścić Pana listu otwartego do premiera M. Begina. Jego wystąpienie było już w *Kulturze* wyczerpująco poruszone.

A. K., Dania. — Nie zamieścimy. Pana artykuł zawiera szereg słusznych myśli ale jest napisany nieporadnie, nie mówiąc o błędach ortograficznych, naprawdę rażących.

## SPROSTOWANIE

Do mojej korespondencji w nr. 12, 1979, str. 58-59, wkrały się błędy drukarskie i rzeczowe. Nowy metropolita ukraiński Filadelfii nazywa się Lubacziwskyj (nie Labacziwsky). Św. Jozafat Kuncewicz, abp Połocka, patron unitów ukraińskich i białoruskich, zamordowany został w roku 1623 (nie 1632) przez prawosławnych, sfanatyzowanych mieszczan witebskich (nie przez Kozaków — pomyliłem ze św. Andrzejem Bobolą). Kanonizacja nastąpiła w 1867 roku (nie 1921 roku). Relikwie przewieziono najpierw do Wiednia w roku 1916, a stamtąd do Rzymu w roku 1949 (a nie na początku lat 20-tych za pontyfikatu Piusa XI).

## Dokumenty

### APEL CHRZEŚCIJAN, PRZEDSTAWICIELI EUROPY WSCHODNIEJ W RZYMIE\*

„Z troską myślimy o naszych braciach oskarżanych i może skazanych na śmierć fizyczną lub cywilną za wyznawanie własnej wiary...”. Przypominamy te słowa Jana Pawła II ponieważ i Andrej Sacharow, ostatnia ofiara w ciągnącym się łańcuchu prześladowań, został aresztowany i deportowany za swą wiarę w wolność. Sacharow był zawsze niestrudzonym obrońcą więźniów skazanych za śmiałość niezależnego myślenia i wierzących wszelkich wyznań. Dlatego zmuszono go do milczenia. Jego deportacja wynika z nieubłaganej logiki, której konsekwencji nie widzą tylko ślepi. Bardziej niż aresztowanie Sacharowa, zdumiewa naiwność tych, którzy są dziś zaskoczeni i którzy sądzą, że system komunistyczny może ulec samowolnej liberalizacji lub jest już na tej drodze. Przypominamy jedynie ostatnie ofiary z niekończącej się listy uwieczonych w ZSSR: Lew Regelson, kapłani prawosławni, Gleb Jakunin, założyciel Komitetu obrony praw wierzących i Dymitry Dudko „proboszcz Moskwy” oraz litewscy katolicy A. Terlaskas, J. Sasnauskas, V. Skuodis.

Sacharow utrzymywał zawsze, że obojętność świata zachodniego wzmacnia prześladowania w ZSSR, że wolni ludzie powinni czynnie angażować się i stale domagać się zmniejszenia ucisku. W chwili kiedy jego apele zaczynały odnosić skutek, kiedy Zachód zaczął wykazywać, iż nie jest dłużej gotów biernie znosić antydemokratycznych praktyk Kremla, właśnie w tym momencie nałożono mu knebel na usta. Świadczy to, że miał rację i nie należy zapominać o jego orędziu do świata.

Apelujemy do włoskiej i międzynarodowej opinii publicznej by nie pozostawała obojętna wobec kurtyny gwałtów i nadużyć, w ZSSR, z jaką od lat zderzają się podstawowe prawa człowieka, wobec ciężkiej obrazę jakiej doznają najszlachetniejsze uczucia „ludzkie. Przypominamy, że bez poszanowania wolności religijnej, znajdującej się w centrum wolności człowieka, wszystkie inne prawa ludzkie i obywatelskie w ZSSR będą nadal bezkarnie łamane. Prawdziwe odprężenie i pokój społeczny mogą i powinny opierać się na „sile prawdy” i na wzajemnym zaufaniu — jak oświadczył „papież przybyły z daleka”.

*Ewgenij WAGIN*, filolog prawosławny, b. więzień łagrów — Rosja;  
*Ks. prałat Vincas MINCEVICIUS*, red. biuletynu *Elta-Press* — Litwa;

\* Przekład z włoskiego. Liczne gazety włoskie, w tym *Osservatore Romano*, przytoczyły ten apel w dn. 26 i 27 stycznia br. Ukazał się w całości na łamach znanego miesięcznika *Prospettive nel mondo*.

*Dominik MORAWSKI*, publicysta, współpracownik prasy i telewizji włoskiej — Polska;  
*Ks. Karel SKALICKI*, docent teologii na papieskim uniwersytecie late-raneńskim — Czechosłowacja;  
*Mihalyj GEZA*, dziennikarz, prezes Akcji katolickiej na wychodźstwie — Węgry;  
*Cicerone VERNOGURA*, literat — Rumunia.

Rzym, 25 stycznia 1980 r.

Przewodniczący Papieskiej Akademii Nauk wysłał do prezesa sowieckiej Akademii depeszę wyrażającą „solidarność i poparcie dla akademika Andreja Sacharowa wraz z życzeniami, by mu przywrócono pełną swobodę wypowiedzi, poruszania się i łączności niezbędnej dla postępu wiedzy i rozwoju społecznego”.

### LIST DO A. SACHAROWA

Wrocław, 29 stycznia 1980.

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Jesteśmy wielce poruszeni wiadomością o Pańskim zatrzymaniu i przymusowym osiedleniu w mieście Gorki. Zawsze solidaryzowaliśmy się z Pana nieugiętą walką o przestrzeganie podstawowych praw człowieka w ZSSR. Za tę walkę, związaną z osobistym poświęceniem otrzymał Pan pokojową nagrodę Nobla. Nic tak bowiem nie przybliży pokoju jak starania o realizację praw człowieka w każdym kraju. Dla wielu postawa Pana jest źródłem inspiracji dla podejmowania podobnych do Pańskich działań, choć oczywiście w innych warunkach i innej skali. Głos takich ludzi jak Pan będzie ich zawsze utwierdzał w przekonaniu, że walczą o wartości ogólnoludzkie, uniwersalne i niezbywalne. Wśród nich prawo do wolności sumienia i do swobodnego wypowiedzenia swoich poglądów mają znaczenie pierwszorzędne. Przekazujemy Panu profesorowi wyrazy wzruszenia i podziwu dla Pana i wszystkich, którzy w Pańskim kraju bronią godności i praw osoby ludzkiej.

*Mirostawa CHAMCÓWNA*, TKN, jedagóg;  
*Aleksander GLAJGEWICHT*, fizyk, Klub Samoobrony Społecznej;  
*Krzysztof GRZELCZYK*, student, Klub Samoobrony Społecznej;  
*Sławomir NAJNIKER*, student, SKS;  
*Adam PLEŚNIAR*, prawnik, uczestnik Ruchu Wolnych Demokratów;  
*Tadeusz PUCZKO*, ROBCIO, polonista;  
*Jan WASZKIEWICZ*, matematyk, Klub Samoobrony Społecznej;  
*Tadeusz ZIPSERT*, urbanista, TKN.

KSS „KOR”

Warszawa 24 1. 1980.

### OŚWIADCZENIE

W dniu 22 stycznia 1980 roku, zatrzymano w Moskwie laureata pokojowej nagrody Nobla, Andrieja Sacharowa, i zesłano go do miejscowości Gorki skazując na faktyczną izolację.

Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” wyraża pełną solidarność z wybitnym rosyjskim obrońcą praw człowieka i obywatela. Utrzymywaliśmy z nim, jak i z innymi obrońcami praw ludzkich w Związku Radzieckim, żywe kontakty i wspólnie występowaliśmy w obronie więzionych Czechów i Słowaków. Przyłączamy się do protestu ludzi dobrej woli na całym świecie przeciw zsyłce Andrieja Sacharowa. Gotowi jesteśmy wziąć udział w inicjatywach międzynarodowych, podejmowanych dla jego zwolnienia.

KSS „KOR”

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA  
W POLSCE

Warszawa, 24. 1. 1980.

## OŚWIADCZENIE

Wraz z podjęciem agresywnych działań zewnętrznych przez ZSRR wzmożły się w tym kraju represje polityczne. Napływają niepokojące wiadomości, iż Profesor Andrej Sacharow, jedna z czołowych postaci ruchu demokratycznego w ZSRR, został wraz z żoną deportowany z Moskwy do miasta Gorki. Zaostrzenie represji w stosunku do A. Sacharowa wiąże się ze wzmożeniem prześladowań demokratycznych działaczy rosyjskich, ukraińskich, litewskich, gruzińskich, tatarskich i innych, którzy łączą obronę praw ludzkich i obywatelskich z odnową dążeń wolnościowych i niepodległościowych. Więzienia i łagry wypełnione są setkami tysięcy prześladowanych za przekonania. Deportacja A. Sacharowa będącego rzecznikiem wielu wspólnych przedsięwzięć sił demokratycznych w ZSRR ma niechybnie na celu odcięcie go od środowisk wolnościowych aby osłabić solidarne ich działania i wyciszyć ich głos kierowany do światowej opinii publicznej. Ruch Obrony dołącza się do głosów powszechnego oburzenia i potępienia prześladowań wobec A. Sacharowa i innych bojowników o prawa ludzkie i obywatelskie w ZSRR. Żądamy zaprzestania prześladowań z przyczyn politycznych i narodowościowych w ZSRR, stosowanych również wobec mniejszości POLSKIEJ która pozbawiona jest prawa do polskości.

RADA SYGNATARIUSZY RUCHU OBRONY

## KOMITET POROZUMIENIA NA RZECZ SAMOSTANOWIENIA NARODU

Warszawa, 17 stycznia 1980.

Do Rady Państwa PRL  
Warszawa, Sejm

W dn. 29. 12. 1977 zostały opublikowane w dzienniku ustaw PRL nr 38 Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka, ratyfikowane przez Radę Państwa PRL w dniu 4. 3. 1977. Są one zatem obowiązującą normą prawa w PRL. Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych gwarantuje w art. 1 prawo do samostanowienia realizowane w rzetelnie przeprowadzonych wyborach, o czym mówią przepisy art. 25 tego paktu. W 1975 roku akt końcowy konferencji helsińskiej, podpisany również przez PRL przyjął jako

wiążące jego sygnatariuszy postanowienie: Na mocy zasady równouprawnienia i samostanowienia narodów, wszystkie narody mają zawsze prawo, w warunkach pełnej wolności, określać kiedy i jak sobie życzą swój wewnętrzny status polityczny, bez ingerencji z zewnątrz. Zasada ta nie da się urzeczywistnić bez powołania najwyższego organu władzy Państwa: Sejmu Ustawodawczego, w drodze rzetelnie przeprowadzonych powszechnych, równych, tajnych bezpośrednich i proporcjonalnych wyborów. Tylko tak wybrany Sejm może być przedstawicielem woli niepodległego Narodu i suwerennej Rzeczypospolitej.

W ubiegłym roku zwróciliśmy się do społeczeństwa polskiego o czynne poparcie obywatelskiej akcji, o egzekwowanie prawa samostanowienia narodu w drodze wolnych wyborów. Pod apelem tym podpisało się kilkuset obywateli reprezentujących wszystkie środowiska społeczne. Trwa nadal akcja podpisywania wniosku obywatelskiego do Rady Państwa PRL domagającego się przeprowadzenia reformy prawa wyborczego w myśl niżej przedstawionych czterech postulatów.

W imieniu sygnatariuszy i własnym prosimy przeto, w oparciu o art. 86 Konstytucji PRL o przeprowadzenie zgodnie z art. 1 i art. 25 Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych takich zmian w prawie wyborczym, które:

1. Zapewnią wszystkim obywatelom czynne i bierne prawo wyborcze,
2. Dopuszczą do list wyborczych wszystkich kandydatów zgłoszonych przez poszczególne grupy obywateli w danym okręgu wyborczym,
3. Umożliwią wszystkim kandydatom i ugrupowaniom politycznym i społecznym prowadzenie kampanii wyborczej w państwowych środkach przekazu na zasadach pełnej równorzędności.
4. Zagwarantują taką kontrolę społeczną, która umożliwi wszystkim wyborcom swobodne wyrażenie ich rzeczywistej woli.

Ponadto w imieniu Komitetu Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu prosimy, aby wyznaczony przez Radę Państwa PRL termin wyborów do Sejmu PRL na dzień 23 marca 1980 roku został przesunięty w celu dokonania niezbędnych zmian w przepisach prawa wyborczego.

W przeciwnym wypadku przeprowadzenie wyborów w myśl dotychczasowej ordynacji wyborczej, w moc obowiązującego prawa byłoby nielegalne a zatem i nieważne.

KOMITET POROZUMIENIA NA RZECZ SAMOSTANOWIENIA  
NARODU.

Z upoważnienia:

Edward STANIEWSKI, Warszawa, ul. Grochowska nr 234/240 m. 59.  
Wojciech ZIEMBIŃSKI, Warszawa, Sady Żoliborskie nr 7a m. 21.

## OŚWIADCZENIE JACKA KURONIA

Ostatnio w jednej z audycji Radia Wolna Europa ogłoszono informację, że na pytanie zagranicznego korespondenta odpowiedziałem: KSS KOR nie organizuje demonstracji w dniu jedenastym listopada. Informacja ta nie jest ścisła i dlatego pragnę oświadczyć co następuje: Demonstracje patriotyczne uważam za doniosły element niezależnej działalności społeczeństwa

polskiego. Środowisko Komitetu Samoobrony Społecznej KOR uczestniczyło we wszystkich dotychczasowych demonstracjach i udzielało wszelkiej możliwej pomocy kolegom z Ruchu Obrony, którzy brali na siebie główny trud ich organizowania. Ten udział środowiska KOR-owskiego znany jest Służbie Bezpieczeństwa, która usiłując uniemożliwić zorganizowanie demonstracji w dniu jedenastym listopada zatrzymała między innymi kilkudziesięciu członków i współpracowników Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Demonstracji w dniu jedenastym listopada nie organizował Komitet Samoobrony Społecznej, lecz — jak to powiedział w przemówieniu przy Grobie Nieznanego Żołnierza Andrzej Czuma — członkowie i współpracownicy tego Komitetu oraz uczestnicy Ruchu Obrony.

Korzystam z okazji, aby wyrazić panu Andrzejowi Czumie wyrazy uznania i solidarności za jego postawę w trakcie demonstracji.

Jacek KURON

## OŚWIADCZENIE

Z DNIA 16 GRUDNIA 1979 ROKU  
W ROCZNICĘ WYPADKÓW NA WYBRZEŻU

17 GRUDNIA 1970 - 17 GRUDNIA 1979

17 grudnia wspominać będziemy robotników zamordowanych na Wybrzeżu w 1970 roku. Jeśli chodzi o poległych nikt ich nie wskrzesi. Śmierć pozostanie symbolem walki Polaków o wolność, równość i niezawisłość. Robotnicy Wybrzeża domagali się prawa najprostszego — prawa, które mamy z racji urodzenia się ludźmi — obywatelami nie poddanymi, prawa do współrzędzenia własnym krajem. Przeciwno nim wytoczono czołgi i karabiny maszynowe. Wielu żołnierzy odmówiło wykonania ludobójczych rozkazów, lecz znaleźli się ludzie, którzy do bezbronnnych strzelali. Odpowiedzialność za to spada na komunistyczne władze, tak jak spada na nie odpowiedzialność za marnotrawstwo 35-letniego wysiłku narodu, za złą organizację gospodarki, za katastrofalne warunki życia najuboższych, za coraz większą zależność od ZSRR. W ciągu tych ostatnich 35-ciu lat wielokrotnie usiłowano nas ze sobą skłócić. Inteligencji przeciwstawiano robotników, robotników przeciwstawiano chłopom, wojsko — narodowi. Robiono wiele, by tworzyć fałszywe konflikty i pozorne sprzeczności. Grudniowa tragedia polega też na tym, iż robotnicy Wybrzeża byli wtedy samotni. Ten dług musimy spłacić. Testament poległych to także lekcja, że wobec przemocy obowiązują przede wszystkim solidarność. Robotniczy protest nie był bezowocny. Od tego czasu władze komunistyczne bardziej muszą się liczyć z postawą społeczeństwa. Od tego czasu łatwiej nam się z sobą porozumieć. Lepiej widzimy, że system totalitarny jest naszym wspólnym wrogiem. Wśród Polaków występuje dzisiaj wiele różnic politycznych i światopoglądowych, lecz w sprawach, które uczynili swoimi robotnicy Wybrzeża 9 lat temu różnic nie ma. Jesteśmy przekonani, że nie można podejmować decyzji politycznych i gospodarczych bez zgody Narodu, że wolne związki zawodowe i ich swobodne zrzeszenie się to gwarancje ładu demokratycznego, że tylko wolność słowa zapewni prawdę w życiu społecznym, że niepodległość to wartość, do której Polacy muszą dążyć. Historia Polski zna wielkie tragedie. Zapadną w pamięć powszechną daty i symbole: 1944, 1947, 1956, 1968, 1970, 1976. Tak tworzyła się współczesna historia naszego kraju, historia uporczywej walki z narzuconym nam systemem komunistycznej dyktatury. Walka ta przybierała różne formy i różne rzeczy stawiano na pierwszym miejscu. Zawsze jednak chodziło o to samo, o chleb, o prawdę, o wolność. W historii tej protest robotniczy to wielokrotnie powtarzany

plebiscyt nie tylko w sprawie cen, lecz przede wszystkim w sprawie rządzenia. Gdyż, rzeczywiście — nie ma chleba bez wolności. Protest robotniczy to ważny składnik polskiej tradycji niepodległościowej. Wychowanie do niepodległości, składa się ze zmuśnionej nauki działań zbiorowych — najpierw małych grup, potem całych warstw społecznych, wreszcie Narodu. Wspominamy dzisiaj bunt robotniczy z roku 1970. W działaniu naszym staraliśmy się realizować testament tych wszystkich, którzy w ubiegłych latach dążyli do odzyskania niepodległości i budowy sprawiedliwego ładu społecznego. Tworząc niezależne instytucje społeczne, domagając się przestrzegania praw ludzkich i obywatelskich, przybliżamy chwilę osiągnięcia tych celów. Dziś chodzi o to, byśmy umieli coraz lepiej działać wspólnie, byśmy umieli zawsze korzystać z przysługujących nam praw, byśmy umieli odmawiać wykonywania poleceń godzących w te prawa, godzących w Polskę, byśmy umieli żyć bez kłamstwa. Na tej drodze ważne jest każde, choćby najdrobniejsze zwycięstwo. Wolne związki zawodowe i niecenzurowana prasa, zrzeszenia i partie polityczne, a wreszcie Sejm, wybrany w wolnych wyborach, to narzędzia, które umożliwią naprawę gospodarki, odzyskanie demokracji i niepodległości. A wtedy ofiara poległych nie pójdzie na marne.

Bronisław KOMOROWSKI, Marian PIŁKA, Ludwik DORN, Urszula DOROSZEWSKA, Antoni MACIEREWICZ, Piotr NAIMSKI, Andrzej CZUMA, Kazimierz JANUSZ, Emil MORGIEWICZ, Wojciech ZIEMBIŃSKI.

## KWARTALNIK POLITYCZNY

# ANEKS 22

W numerze m.in.: L. Kotakowski: Rewolucja jako piękna choroba; J. T. Gross: W zaborze sowieckim; J. Lewandowski: Wokół biografii K. K. Baczyńskiego; B. Dębicki: Sztuka i rewolucja; SŁOWIANOFIL — Wywiad z A. Siniawskim; Anonim: Naród — religia — misja — odpowiedzialność; A. Besançon: Sołżenicyn i Zachód; A. Janow: Państwo idealne G. Szymanowa; DOKUMENTY: Towarzystwo Kursów Naukowych.

Upřednio w numerze 21: Wywiad z Raymondem Aronem; St. Gomułka: Sytuacja gospodarza Polski; JEZYK TOTALITARNY: A. Wat: Semantyka języka stalinowskiego; J. Etkind: Polityka i prawda; K. Mueller: Komunikacja sterowana; L. Bod: Język i polityka; I. Grudzińska-Gross: Świat zaarrestowanych słów; T. Strzyżewski: Zamiast postawia do „Czarnej Księgi Cenzury PRL”; O książce A. Micewskiego; L. Dembiński: Totalizm i prawo do sprzeciwu; A. Pospieszalski: Jak korzystać z marginesów wolności.

ROCZNIE 4 numery — \$ 15,00, FF/Skr 50,00, w Wielkiej Brytanii — £ 6,00.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

ANEKS

61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX, ENGLAND

# PULS 2

nieregularny kwartalnik literacki wydawany w Polsce  
poza cenzurą ukazał się na Zachodzie  
nakładem Puls Publications

W PULSIE 2: wiersze — proza — eseje:  
Stanisława Barańczaka, Jacka Bierzina, Jacka Bocheńskiego, Lecha  
Dymarskiego, Aleksandra Galicza, Zdzisława Jaskuły, Kisiela, Ma-  
riana Klechy, Tadeusza Korzeniewskiego, Adama Michnika, Leszka  
Szarugi, Tan. Tala, Jacka Woźniakowskiego.  
Przegląd kulturalny i niekulturalny, fotografie Bartosza Pietrzaka.  
Wybór rysunków zakwestionowanych przez cenzurę.

PULS 2 do nabycia w PULS PUBLICATIONS i w księgarniach  
polskich na Zachodzie. W przypadku zakupu u wydawców, zamó-  
wienia prosimy kierować do:

**PULS PUBLICATIONS**  
**BCM Box 697, London WCIV 6XX, United Kingdom**

załączając czeki lub przekazy pieniężne, wystawione na PULS  
PUBLICATIONS.

Cena pojedynczego egzemplarza wynosi:

pocztą zwykłą — £ 3.50 (\$ 8,50);  
pocztą lotniczą — £ 3.75 (\$ 9,00).

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 12-ty — \$ 40,00 .....	F. 160,00
Przyjaciele z Węgier .....	F. 75,00
Kazimierz Rożankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Hertza — \$ 18,00 .....	F. 72,00
Krystyna i Aleksander Schenker, Hamden, Conn. (USA) — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza — \$ 50,00 .....	F. 200,00
M. Sieńko, South River, N.J. (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 32,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 12-ty Wojciech Skalmowski, Bruksela — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza .....	F. 100,00
Irena Strutyńska, Knutange Nilvange (Francja) .....	F. 300,00
Tadeusz Stupka, Gossau (Szwajcaria), po raz 3-ci — Fs. 10,00	F. 100,00
K. Styś, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 6-ty .....	F. 25,00
S. Sznalski, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz 4-ty — \$ c. 60,00	F. 15,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz 10-ty — \$ c. 30,00	F. 210,00
Władysław Wieczorek, Rueil-Malmaison (Francja) .....	F. 105,00
Mgr. Zygmunt Wierski, Paryż — dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Hertza .....	F. 30,00
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 16-ty .....	F.1.000,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, Ohio (USA), po raz 2-gi — \$ 50,00	F. 75,00
Dr St. Wowczak, Hannover (RFN) .....	F. 200,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Ca. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Z. Kliszewskiego z Los Angeles — \$ 30,00 .....	F. 150,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 32-gi .....	F. 120,00
Wacław Zielonko, Fort Frances, Ont. (Kanada), po raz 2-gi — \$ c. 6,00 .....	F. 100,00
Norbert Żaba, Stockholm — na Fundusz im. Zygmunta Hertza	F. 21,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Ar. (USA), po raz 14-ty — \$ 45,00	F. 150,00
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA), po raz 12-ty — \$ 5,00	F. 180,00
Bezimiennie z Farsta (Szwecja) .....	F. 20,00
Bezimiennie z Flushing, N.Y. (USA), po raz 5-ty — \$ 34,00	F. 50,00
Bezimiennie z Holandii .....	F. 136,00
Bezimiennie z Kano (Nigeria), po raz 2-gi — \$ 747,50 .....	F. 50,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 12-ty .....	F.2.990,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 17-ty .....	F. 280,00
Bezimiennie z Milwaukee (USA), po raz 15-ty — \$ 8,00 .....	F. 51,00
Bezimiennie z USA, po raz 3-ci .....	F. 32,00
Bezimiennie z Paryża .....	F.3.167,00
Bezimiennie z Paryża .....	F. 700,00
Bezimiennie z RFN .....	F. 50,00
Bezimiennie ze Szwajcarii — Fs. 100,00 .....	F. 150,00
Bezimiennie ze Sztokholmu .....	F. 250,00
Bezimiennie z Upper Grand View, N.Y. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00 .....	F. 200,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz 10-ty — \$ c. 25,00	F. 32,00
	F. 87,50

Bezimiennie z Brisbane (Australia) — roczne opodatkowanie  
się na pomoc dla opozycji demokratycznej w Kraju —  
\$ A. 120,00 .....
 F. 516,00 || Bezimiennie z RFN — na pomoc dla opozycji w Polsce ..... | F. 150,00 |



Delegatura A.K. na Płd. Kalifornię — na pomoc dla Ruchów Oporu w Kraju — \$ 80,00	F. 320,00
F. H., Hamilton, Ohio (USA) — na pomoc dla aresztowanych w Kraju — \$ 10,00	F. 40,00
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — zamiast kwiatów dla śp. Zygmunta Hertza — na opozycję w Kraju — \$ 50,00	F. 200,00
Tadeusz Rytko, Winterthur (Szwajcaria) — na pomoc dla opozycji w Polsce roczną składkę F. 366,00 plus symbolicznych F. 40,00 w 40-tą rocznicę bestialskiej zbrodni sowieckiej w Katyniu	F. 406,00
Adam Zalewski, Sztokholm — na opozycję w Polsce — opodatkowanie się za miesiące październik 1979 - luty 1980	F. 250,00
J. Wiśniewski, Neu Issenburg (RFN) — na opozycję w Polsce	F. 93,00

DZIĘKUJEMY!

## WPŁATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Hägersten (Szwecja)	F. 30,00
Bezimiennie z Longmeadow, Mass. (USA) — \$ 50,00	F. 200,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 20,00	F. 70,00
Bezimiennie z USA — \$ 10,00	F. 40,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 50,00	F. 110,00
Kamila Januszkiewicz, Ceresco, Mich. (USA) — \$ 25,00	F. 100,00
A. Siemak, West Covina, Ca. (USA) — \$ 5,00	F. 20,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00

## WPŁATY NA ROPCiO

Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji w PRL (Kanada)	F. 1.800,00
<i>Wiadomości Polskie</i> w Sydney, N.S.W. (Australia) — zebrane od pp.: S. I. Żywczakowie — \$ 20,00; L. D. Mierzwicy, S. Korwin-Krukowski, H. J. Redlerowie, V. Eymont, Bezimiennie z Sydney, Rodzina Dunin-Karwickich, B. Korpowski, S. J. Jankowscy, H. M. Arterowie z córkami po \$ 10,00; Bezimiennie z Sydney — \$ 5,00; Zofia Powch i A. Makarewicz po \$ 10,00 — razem \$ 135,00	F. 594,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00

## WPŁATY NA P.P.N.

Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00
-------------------------------------	-----------

## WPŁATY NA KASĘ POMOCY NAUKOWEJ (T.K.N.)

Bezimiennie z Toronto (Kanada) — \$ c. 25,00	F. 87,50
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — 1-sza miesięczna rata rocznego stypendium ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM. 100,00	F. 220,00
Michał Kaniowski, Rzym	F. 200,00

K. L., Lidingo (Szwecja) — K.s. 500,00	F. 500,00
Teresa i Józef Lewandowscy, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Hertza	F. 75,00
Anita i Aleksander Leyfell, Cambridge, Mass. (USA) — dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza — \$ 25,00	F. 100,00
Piłsudski Institute of America, New York, N.Y. — \$ 500,00	F. 2.000,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00

E. Bregman, Londyn — na fundusz wydawniczy <i>Pulsu</i> — £ 10,00	F. 90,00
Bezimiennie z Cambridge, Mass. (USA) — na Niezależną Oficynę Wydawniczą (NOW-a) — \$ 70,00	F. 280,00
Stały Czytelnik ze Szwajcarii — jako prezent wielkanocny dla członków <i>Bratniaka</i> , pozbawionych pracy w swoim zawodzie	F. 2.000,00
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA) — dla <i>Redakcji Gospodarza i Placówki</i> — \$ 25,00	F. 100,00
K. L. Lidingo (Szwecja) — na Ruch Młodej Polski — K.s. 500,00	F. 500,00
Z. M. z Los Angeles, Ca. (USA) — na Ruch Młodej Polski — \$ 10,00	F. 40,00

Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przewodniczący Komitetu — Bonawentura Migala, skarbnik — Jan Jurewicz nadesłali:	
na KSS „KOR” — \$ 1.000,00	F. 4.000,00
na ROPCiO (grupa Czumy) — \$ 500,00	F. 2.000,00
na ROPCiO (grupa Moczulskiego) — \$ 500,00	F. 2.000,00
na NOW-ą — \$ 500,00	F. 2.000,00
na doraźną pomoc — \$ 500,00	F. 2.000,00
na Komitety Chłopskie — \$ 500,00	F. 2.000,00
na Studenckie Komitety Solidarności — \$ 250,00	F. 1.000,00
na Fundusz Kultury — \$ 50,00	F. 200,00
ogółem nadesłano: \$ 3.800,00 tj. F. 15.200,00).	

Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: <i>Oddział Boston</i> — \$ 74,00; <i>Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”</i> — \$ 130,00; w <i>Redakcji Listów do Polaków</i> — \$ 15,00. Razem: \$ 219,00 z czego na:	
KSS „KOR” — \$ 35,00	F. 140,00
Konfederację Polski Niepodległej (L. Moczulski) — \$ 84,00	F. 336,00
Radę Sygnatariuszy Ruchu Obrony (A Czuma) — \$ 50,00	F. 200,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 50,00	F. 200,00
Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: <i>Oddział Boston</i> — \$ 94,00; <i>Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”</i> — \$ 136,00; w <i>Redakcji Listów do Polaków</i> złożono — \$ 70,00. Razem: \$ 300,00 z czego na:	
KSS „KOR” — \$ 30,00	F. 120,00
Konfederację Polski Niepodległej (L. Moczulski) — \$ 70,00	F. 280,00
Radę Sygnatariuszy Ruchu Obrony (A. Czuma) — \$ 70,00	F. 280,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 90,00	F. 360,00

Studenckie Komitety Solidarności, Gdańsk — \$ 40,00 ..	F. 160,00
Bezimiennie ze Sztokholmu nadesłano F. 4.466,40 z przeznaczeniem na:	
pomoc dla opozycji w Polsce .....	F. 366,40
Kasę Pomocy Naukowej T.K.N. ....	F. 700,00
pomoc dla Kazimierza Świtonio .....	F. 200,00
Radę Sygnatariuszy Ruchu Oporu (A. Czuma) .....	F. 300,00
Radę Funduszy Praw Człowieka (L. Moczulski) .....	F. 300,00
KSS „KOR” .....	F. 300,00
pomoc dla więźniów politycznych .....	F. 300,00
S.K.S. w Krakowie .....	F. 300,00
Fundusz Samoobrony Chłopskiej .....	F. 300,00
Redakcję <i>Pulsu</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Drogi</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Bratniaka</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Opinii</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Głosu</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Gospodarza</i> .....	F. 200,00
Redakcję <i>Krytyki</i> .....	F. 200,00

◆

Czytelnicy *Pomostu*, Chicago, Ill. (USA) przekazali dla:

Redakcji <i>Robotnika</i> — \$ 150,00 .....	F. 600,00
Redakcji <i>Bratniaka</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Redakcji <i>Głosu</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Redakcji <i>Gazety Polskiej</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Redakcji <i>Drogi</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Redakcji <i>Respublica</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Redakcji <i>Biuletynu Dolnośląskiego</i> — \$ 50,00 .....	F. 200,00

◆

Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: *Oddział Boston* — \$ 77,00; *Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”* — \$ 129,00; za pośrednictwem *Listów do Polaków* zebrane w Placówce 103 SWAP, Wallingford — \$ 45,00 — ogółem: \$ 251,00 z czego na:

Konfederację Polski Niepodległej — \$ 92,00 .....	F. 368,00
Radę Sygnatariuszy Ruchu Obrony (A. Czuma) — \$ 59,00 .....	F. 236,00
Towarzystwo Kursów Naukowych — \$ 50,00 .....	F. 200,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 50,00 .....	F. 200,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt Légal: 1<sup>er</sup> Trimestre 1980.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönla-terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23 .....	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury” .....	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w kele-garniach polskich w Paryżu .....	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissin-gen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra-suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio. 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze-chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Ksiegarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327-5590 & 851-0748.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F. 95.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

# Nowości wydawnicze

TOM 313 — SERIA „DOKUMENTY”

## RAPORT O STANIE NARODU I PRL

Tom poprzedzony *Przedmową* Andrzeja Brzeskiego zawiera opracowania: Stefana Kurowskiego: *Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL*; *Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach do jej naprawy* opr. przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”; Józefa Kuśmierka: *O czym wiedziałem*; *Robotnicy nabrali odwagi* — wywiad z B. Borusewiczem; wyjątki z *Komunikatu 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski*.

Str. 224.

Cena F. 65,00.



TOM 314 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera opracowania A. Ciołkosza: *Kartki z przeszłości*; P. Wandycza: *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej*; K. Kraczkiewicza: *Przyczyny drugiej wojny światowej i rola polityki polskiej w ostatnich latach przed jej wybuchem*; J. Erdmana: *Wyrok na brata*; dokończenie wspomnień ks. inf. Teofila Skalskiego; RECENZJE: J. Ciechanowskiego: *Generał ostatniej nadziei*; P. Wandycza: *Nowe książki*; M. Hellera: *Historia sowiecka w interpretacji amerykańskiej*; T. Heinricha: *Niewykorzystane doświadczenie sueskie*; W. Babińskiego: *Polskie siły zbrojne w drugiej wojnie światowej*; POLEMIKI; OKRUCHY HISTORII i obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.